Daniel Keyes

KWIATY DLA ALGERNONA

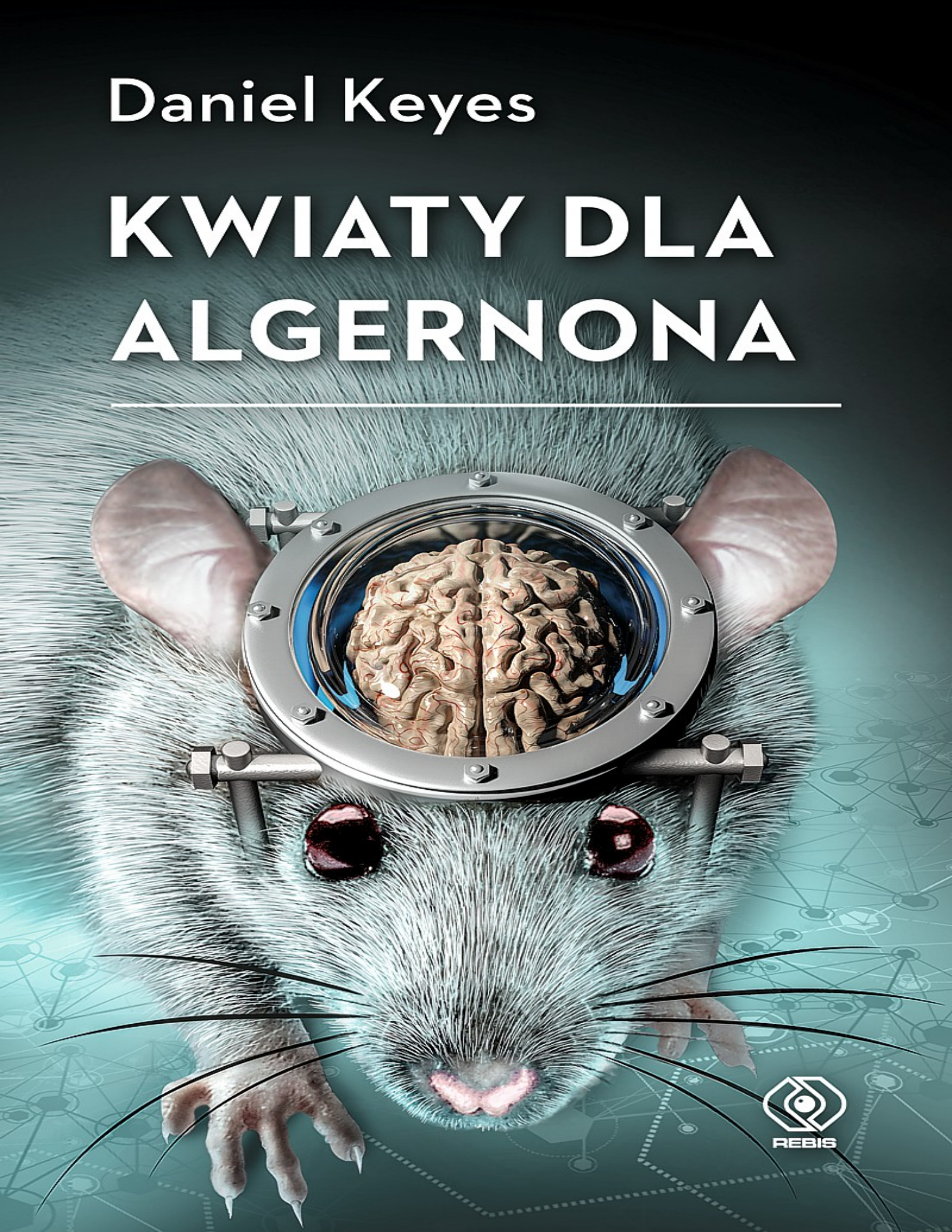

REBIS

Daniel Keyes

KWIATY DLA ALGERNONA

Przełożył
Krzysztof Sokołowski

Dom Wydawniczy REBIS

Matce
i pamięci ojca poświęcam

„Gdyby ktoś miał rozum, toby pamiętał, że dwojakie bywają zaburzenia w oczach. Jedne u tych, którzy się ze światła do ciemności przenoszą, drugie u tych, co z ciemności w światło. Więc gdyby wiedział, że to samo dzieje się i z duszą, to kiedykolwiekby widział, że się któraś miesza i nie może niczego dojrzeć, nie śmiałby się głupio, tylko by się zastanowił, czy ona wraca z życia w większej jasności i teraz ulega zaćmie, czy też z większej ciemnoty weszła w większą jasność i zbytni blask ją olśnieniem napełnia – wtedy by jej stan i jej życie uważał za szczęście, a litowałby się nad tamtą. A gdyby się śmiał i z niej, to mniej śmieszny byłby jego śmiech nad nią niż pod adresem tamtej, która z góry, ze światła przychodzi”.

Platon, *Państwo*, przełożył Władysław Witwicki

dźeńk 1 – 3 mażec

Doktur Sztros muwi ja mam pisać co myśle i pamientam i fszystko co sie mi dziać od dziś. Nie wiem po co ale doktur muwi że czeba to oni zobaczo czy sie nadam. Hciałby sie nadać bo pani Kinnian muwi że może ja zmondżeć. A ja chce zmondżeć. Jestem Charlie Gordon pracuje w piekarni pana Donnera pan Donner daje mi 11 dolary na tydzień i hleb i ciasto jak hce. Mam 32 lat i nastempny miesionc urodziny. Ftedy muwie doktur Sztrosowi i presur Nemurowi że nie pisze dobże ale on muwi to nic i pisz jak potrafi i jak pisze pracuwania w klasie pani Kinnian w szkole bikmina dla poślednih umysłowo tam hodze tszy razy na tydzień jak mam wolne. Doktur Sztros muwi pisz dużo fszystko co myśleć i dziać sie ale już nic myśleć bo nic do pisania niemieć wienc hyba koniec dziś… z poważaniem Charlie Gordon.

dźeńk 2 – 4 mażec

Dziś test. Hyba nie zrobił i może nie użyjo mnie teraz. Bo poszedł do pokoja presur Nemura w pszerwie obiadowej jak oni mi każo jego sekratarka mnie zabiera do miejsca co sie nazywa wydz. psyhulogi napisane na dżwiah z długim korytażem i mnustwem małyh pokoi z biurkami i kszesłami tylko. Miły jeden pan był w takim pokoiu i ma białe kartki papiera na kture on atrament rozlał. On muwi siadaj Charlie czuj sie dobże jak w domu. Ma biały fartuh jak doktur ale moim zadaniem nie jest doktur bo nie kazał mi otwożyć usta i powiedzieć a. Ma białe karty i nic wiencej. Muwi ja jestem Bert. Zapomniałem jak dalej bo pamienć to mam niezadobro.

Nie wiedział o co mu hodzi wienc sie czymam kszesła mocno jak czasami kiedy u dentysty tylko Burt dentysto też nie jest i powtaża czuj sie wygodnie i ja sie zaczo bać bo to zawsze znaczy że boli.

Wienc Burt teraz muwi Charlie co ty widzi na tej kartce. Widzi atrament rozlany i zaczo sie bać bardzo hociasz miał kruliczo łapke w kieszeni bo jak był mały to w szkole zawsze nie pisał testy i robił plamy atramenta na nie.

Powiedział Bertowi to plama atramenta na papieże a Bert na to tak i uśmieha to czuje sie lepiej. Odwracał fszystkie kartki to ja mu muwie że ktoś plamy atramenta zrobił na nih, czerwone i czarne. Myślał łatwy test ale kiedy wstał Burt mnie postszymał muwi sionć Charlie to jeszcze nie końec. Jest wiencej z tymi kartkami. Ja nie rozumie ale siadł bo doktur Sztros muwi rup fszystko co testujoncy każe nawet jeśli sensu nie widzisz bo to test.

Niezadobro pamientam co Bert muwi ale pamientam on hce żeby mu powiedzieć co jest w atramencie. Ja nic w atramencie nie widze ale Burt muwi w nih so obraski. Nie widział żadnego obraska. Prubował naprawde. Czymałem kartki blisko a potem daleko. Potem muwie może jak okulary mam pewnie widze lepiej ja je kłade do telewizji tylko albo kina ale muwie może pomogo zobaczyć obraski w atramencie. Włożył je i muwie teraz pokasz kartki to ja napewno fszystko widze teraz.

To ja prubował ale nie widzi obraska. Atrament tylko. To muwie Burtowi pewnie potszebuje nowe okulary. Zapisał coś na papieże i ja sie znuf bałem że test zalał. Powiedział mu to pienkny obrazek w atramencie z ślicznymi kropkami po fszystkih bżegah ale on głowo poczons wienc to nie to. Spytał go czy ludzie widzo obrazek w atramencie a on tak wyobraża sobie obrazek w plamie atramentu. Tak powiedzieć plamie atramentu nie atramenta.

Bert jest miły muwi powoli jak pani Kinnian w klasie dla poślednih dorosłyh gdzie ja ucze czytać. Muwi to jest *test ros szasz*. Muwi ludzie widzo żeczy. Ja go pyta gdzie on mi nie pokaże tylko powtaża *myśl* wyobraś jest coś na karcie. Ja mu muwie wyobraził sobie plame atramentu o tu. On poczonsa głowo wienc to też nie plama. On muwi co ci to pszypomina udaj coś jest. Ja oczy zamkno długo udaje i potem muwie wyobraził sobie atrament na białej papieże. Ftedy ołuwek mu sie złamał i wstali i wyszli my.

Hyba nie zdał testa ros szasz.

dźeńk 3

5 mażec – Dr Sztros i Prof Nemur muwio ten atrament na białem papieże to nic nie szkodzi. Ja im muwi nie ja atramentu rozlał i niczego w plamie go nie widze. Oni muwio może i mnie użyjo. Ja muwie doktur Sztros pani Kinnian nigdy mi takiego testa nie da tylko pisać i czytać każe. On muwi pani Kinnian muwi mu ja jej najlepszy uczeń w Szkole Bikmana dla poślednih umysłowo i prubuje mocniej bo że hce sie mocniej uczyć czytać i pisać niż hyba te mondżejsze ode mnie.

Dr Sztros muwi jak to zrobiłeś Charlie że poszedłeś do szkoły sam bez nikogo wogule. Jak ty sie o niej dowiedział. Ja muwie mu nie pamienta.

Prof Nemur muwi dlaczego ty hciał wogule uczy sie pisać i czytać. Ja muwie całe życie hciał być mondry nie głupek i mama zawsze każe mi prubuj ucz sie jak pani Kinnian muwi ale to trudno być mondry i nawet jak sie czego ucze to potem zapominam dużo.

Doktur Sztros pisze coś na kartce papiera i Prof Nemur muwi do mnie bardzo poważnie. On muwi Charlie wiesz my nie wiemy czy spermint pujdzie na ludzie bo my tylko prubowali go na zwieżenta. Muwie pani Kinnian mi to muwi ale ja nie boje sie nawet kiedy boli albo coś bo jestem mocny i bede cienszko pracować.

Hce być mondry jeśli tylko mi pozwolo. Muwio że bendo potszebować pozwolenie od rodziny ale muj wuj Herman co sie mno zajmował umar a ja nie pamientam rodziny. Nie widziałem mamusi tatusia ani małej siostszyczki Normy od bardzo bardzo bardzo długo. Może oni tesz umarli.

Dr Sztros muwi gdzie wy mieszkali. Ja muwie hyba w bruklinie. On muwi sprawdzo to może by ih znajdo.

Bardzo hciałbym żeby już nie musieć pisać dźeńka bo to jest długo hodze spać puźno i jestem zmeczny w pracy rano. Gimpy na mnie kszyczy bo raz upuścił tace bułeczek kturo nius do pieca. Ubrudziły sie i un musiał je wytszeć pszed pieczeniem. Gimpy dużo na mnie kszyczy kiedy coś spaskudze ale naprawde mnie lubi bo my pszyjaciele. Ale sie zdziwi kiedy już bede mondry.

dźeńk 4

mażec 6 – Miał dziś dużo takih zwarionyh testuw po to gdyby mnie użyli. W tym samym miejscu tylko rużnym pokoiku do testuw. Miła pani ktura mi robi testy muwi jak sie nazywajo a ja pytam jak to sie pisze żeby muc dobże na pisać w dźeńku. TESTY APERCEPCJI TEMATYCZNEJ. Tyh dwu drugih słuw nie wiem ale że wiem słowo test to tszeba zdać albo dwuja.

Najpierw ja myśle to łatwy test bo widać obraski. Tylko że miła pani nie każe mi opowiadać co na nih. To mnie zmyliło. Ja jej muwie wczoraj Burt muwi powiedz co w atramencie. Ona mnie muwi to nie rużnica ten test jest rużny. Teraz musisz powiedzieć historyki o tyh ludziah na obraskah.

Ja muwie jak mam opowiedzieć historyki o ludziah kturyh nie znam. Ona muwi wymyśl a ja jej muwie to kłamstwo a ja już nie kłamie bo jak był mały i powiedział kłamstwo dostawał lanie. Mam w portfele zdjencie Norma i wujo Herman ktury zrobił mnie spszontaczem u Donnera nim umar.

Ja muwie moge o nih zrobić historyki bo mieszkałem z wujo Hermanem dużo czasu ale miła pani nie hciała. Powiedziała ten test i ten inny test ros szasz były do zrobienia osobości. Ja sie śmiał. Muwie jej jak to zrobić z kart na kture ktoś rozlał atrament i zdjenć ludzi kturyh nie zna. Miła pani wyglondała jak zła i zabrała zdjencia. Nic mnie nie ophodzi.

Hyba ten test też zalałem.

Potem narysowałem jej pare obraskuf ale nie umie dobże rysować. Puźniej ten inny tester Bert w białym fartuhu sie pojawił imie ma Bert

Selden i wzioł mnie w inne miejsce na tym samym 4 pientsze Uniwersyteta Beekmana co ma na dźwiah napis LABORATORIUM PSYCHOLOGICZNE. Burt muwi że psychologiczne oznacza umysł a laboratorium bo tam robio sperminty. Myślałem że to jak z gumo do żucia albo coś ale teraz myśle że to gry i układanki bardziej bo to my robili.

Nie umie robić układanki dobże bo była rozłożona i kawałki nie pasowały w dziurki. Jedna gra to był papier z mnustwem linii w każdo stronę i mnustwem kwadratów. Po jednej stronie było START a po drugiej META. On muwi ta gra to robilint i mam wzionć ołuwka i jehać nim od START do META nie najeżdżać na żadno linie.

Nie rozumiałem robilint i zużyli mnustwo papiera. Burt muwi potem słuhaj ja ci coś pokaże hodźmy do robotora sperminta może to coś ci da. Wjehali my na 5 pientro do innego pokoja z mnustwem klatek w środku na zwieżaki małpy i trohe myszy. Śmierdziało śmiesznie jak stare śmieci. Byli inni ludzie w białyh fartuhah co sie bawili ze zwieżakami też wienc myślałem że to sklep ale nie było klientuf. Burt wyjo z klatki białe mysz i pokazał jo mi. Burt muwi że to Algernon i bardzo dobże robi co robilint. Ja muwi żeby mi pokazał jak on robi to.

No i tak bo on włożył Algernona do pudełka jak duży stuł z mnustwem rużnyh zakrentasów i START i META jak na papieże. Tylko że te były ściany w tym dużym stole. No i Burt wyjo zegareka wyjo wysuwane dżwi i muwi dawaj Algernon a mysz powonhała ze 2 3 raza i zaczeła biec. Najpierw pobiegła długo korytażem ale kiedy zobaczyła że nie ma dalej gdzie biec wruciła skond wyszła i tak stała pszes minute mahajonc wonsami a potem biegnie w drugo strone i już.

To było tak jakby robiła to samo co Burt hciał zrobić mi z liniami na papieże. Śmiał sie bo myślałem że dla myszy to bedzie trudna żecz. Ale

Algernon biegał sobie po tym robilincie skrencał gdzie czeba dobiegł do META i pisno. Burt muwi że to z radości bo dobże sie spisał.

Jejku muwie a to sprytna mysza. Burt muwi czy hciałbyś ścigać sie z Algernonem. Ja muwi pewnie a on muwi że ma inny robilint cały dżewniany z wydubanymi rofkami i elektrycznym prentem jak ołuwek. I że Algernon robilint może tak ustawić jak ten że my bendziemy robicie to samo dokładnie.

Poruszał fszystkie ścianki wokuł stołu Algernona bo je mugł wyjmować i układać inaczej jak hciał. Potem położył zasłone na guże żeby Algernon nie pszeskoczył nad ściankami kiedy biegnie do META. Potem dał mi elektryczny prent i pokazał jak go wsadzić w rowek i muwi że nie wolno go podnieść z podstawy tylko prowadzić po wgłembieniu aż nie bendzie mugł sie ruszyć dalej albo prond mnie leciutko porazi.

Wyjoł zegarek i prubował go shować. Wienc ja prubował na niego nie patszeć i bardzo sie zdenerwował.

Kiedy powiedział już ja prubował ruszyć sie ale nie wiedział gdzie. Nie wiedział kturo drogo ruszyć sie. Potem usłyszał Algernona piszczoncego z pudła na stole i drapanie nużek jakby już bieg. Ja ruszył ale źle zatszymał sie i prond mnie porazi wienc wrucił do START ale jak sie wogule ruszył to źle i stawał i był prond. Nie bolał ani nic tylko skakałem tak a Burt muwi że to żeby pokazać ja nie to zrobił co tszeba. Był w połowie robilinta kiedy usłyszałem jak Algernon piszczy jakby znuw był zadowolona mysz co znaczy że wygrał.

Kiedy to tylko robio my dwaj Algernon zawsze wygrywa bo ja nie potrafie znaleść dobryh rofkuf do tego META. Nie martwie sie bo patszył na Algernona i nauczył jak kończyć robilinta hociasz to mi czas zabiera.

Nie wiedział że myszy so taki mondre.

dźeńk 5 mażec 6

Znaleźli mojo siostre Norme co mieszka razem z mamusio w Brooklynie i dała pozwolenia na reperacje. Wienc mnie użyjo. Tak mnie to ucieszyło że prawie nie umie zapisać. Ale tylko Prof Nemur i Dr Sztros sie jeszcze kłucili. Siedziałem w gabinecie Prof Nemury kiedy pszyszli Dr Sztros i Burt Selden. Prof Nemur boi sie mnie użyć ale Dr Sztros mu muwi że ja wyglandam lepiej ze fszystkih co dotond testowali. Burt muwi pani Kinnian mnie komendowała najlepszy z ludzi co uczy w centrum dla poślednih dorosłyh. Gdzie hodze.

Doktor Sztros muwi ja mam coś bardzo dobre. On muwi ja mam dobro motor wacoś. Nawet nigdy nie wiedział że coś mam takiego. Ucieszył sie kiedy muwi nie fszystkie z aj kiu 68 majo takie to coś jak ja mam. Nie wiem skond to mam i gdzie ja dostał ale on muwi Algernon też to ma. Motor wacoś Algernona jest ser co mu kłado ale to nie może tylko ser bo ja pszes tydzień nie jad sera.

Prof Nemur sie boi że moje aj kiu bendzie za wysoko z mojego co za nisko i że od tego zahoruje. A doktor Sztros muwi Prof Nemur coś co nie zrozumiał wienc kiedy oni muwi zapisał niekture słuw w notesie do dźeńka żeby pisać.

On muwi Harold to imie Prof Nemury wiem Charlie nie to co hciałeś do pierwszego pokolenia swoih intelek** nie zapisałem słowa *** superman. Ale wienkszość ludzi z tak niskim półczyni** inte** jest niepszyja** i wro** i so zwykle tempe i apaty** trudno do ih dotszeć. Charlie jest dobra duszny ciekawy i pszyjaciel.

Potem Prof Nemur muwi pamientajcie to pierwsza istoto ludzko bendzie z inteligencjo podniesiono pszes reperacje. Dr Sztros muwi o to dokładnie mi hodzi. Gdzie my znajdziemy jeszcze pośledni dorosły z tako wielko motor wacoś do nauki. Wybitny osiong**

Nie zapisałem fszystkih słuw bo oni muwi za szybko ale ja muwi to hyba Dr Sztros i Bert zajeli mojo strone a Prof Nemur pszeciw.

Burt muwi Alice Kinnian muwi czuje on ma psze** pociong do nauki. On błaga go użyć. To prawda bo ja hce być mondry. Dr Sztros wstał pszeszed za stuł muwi moim zdaniem użyjmy Charliego. Bert kiwa. Prof Nemur podrapał sie w głowe, potarł nos kciukem i muwi może macie racje. Użyjemy Charliego. Ale musimy mu wytłomaczyć że spermint może sie nie uda.

Kiedy on to muwi ja był taki szczenśliwy i radosny że aż podskoczył i złapał go za renke że taki dla mnie dobry. Hyba sie pszestraszył jak to zrobiłem.

On muwi Charlie my pracowali nad tym długo ale tylko ze zwieżenta jak Algernon. My pewni nie ma dla cie niebezpieczeństwa fizyczne ale so inne sprawy co nie wiemy jeśli nie prubujemy. Muwi musisz rozumieć że może nic nie wyjdzie albo nic nie bendzie. Albo uda sie na krutko a potem bendzie jeszcze bardziej źle dla ciebie. Czy ty rozumie co muwi. Jeśli tak bendzie my musimy wrucić cie do przytułka Warren do mieszkania.

Ja muwi nie szkodzi i niczego sie nie boje. Jestem mocny i zawsze dobże robi a poza tym mam łapke kruliczo na szczenście i w życiu nie zbił lustro. Zbił dużo naczyń raz ale to sie nie liczy na peha.

Potem Dr Sztros muwi Charlie nawet jeśli sie nie uda ty nauke popyhasz. Nasz spermint był dobry na dużo zwieżont ale nigdy nie prubowali człowieka. Ty bendziesz pierszy.

Ja muwi dzienki doktor nie pożałuje pan że mi dał 2 szanse jak pani Kinnian muwi. I prawde muwie. Bede prubował być mondry. Bede prubował być mondry bardzo prubował.

dźeńk 6 mażec 8

Boje sie. Dużo ludzi co pracuje w szkole i ludzi ze szkoły doktoruw pszyszło życzyć szczenścia. Bert od testuw pszynius mi kwiaty muwi że to od wydziału psyhologi. Życzy mi szczenście. Hce mieć szczenście. Mam kruliczo łapke i szczenśliwy pienionżek i podkowe. Dr Sztros muwi nie bondź taki pszesondny Charlie to nauka. Nie wiem co nauka jest ale fszystkie muwio nauka nauka to może coś jest co pomaga ludziom mieć szczenście. W końcu w jednej rence mam kruliczo łapke a szczenśliwe pienionżek w drugiej z dziurko. Znaczy penionżek jest z dziurko. Żałuje że nie moge zabrać ze sobo podkowy ale jest cienszka wienc jo zostawie w kurtce.

Joe Carp z piekarni pszynius mi ciastko czekoladowe od pana Donnera i innyh z piekarni i życzenia żeby mi sie poprawi szypko. W piekarni oni myślo ja hory bo to Prof Nemur kazał mi powiedzieć fszystkim i nic o reperacji po kturej bede mondry. To tajemnica aż sie okaże że nie działa albo coś jest źle.

Potem pani Kinnian pszyszła mnie odwiedzić pszyniosła ze sobo magazyny do czytanie wyglondała jak zdenerwowana i bojonca. Ułożyła mi kwiaty na stoliku i fszystko ułożyła ładnie nie jak ja kiedy jest bałagan. I ułożyła mi poduszke pod głowo. Ona mnie lubi bardzo bo ja prubuje sie uczyć bardzo nie jak niektuży z ludzi w szkole ih nie obhodzi. Hce żebym zmondżał. Wiem.

Potem Prof Nemur muwi nie moge mieć wiencej gości bo musze odpoczonć. Pytam Profesor czy po reperacji pobije Algernona a on muwi może. Jeśli reperacja pujdzie dobże to pokaże tej myszy że bende równie

mondry jak ona a może lepiej. Potem bende mug czytać lepiej i pisać i wiedzieć mnustwo żeczy tak jak inne ludzie. Jejku ale to fszystkih dziwi! Jeśli reperacja uda i zmondżeje może znajde mamusie tatusia i siostre i im pokaże. Jejku jak sie zdziwio że jestem mondry jak oni i siostra.

Prof Nemur muwi że jeśli sie uda i wynik bendzie stały to oni innyh też zrobio mondryh. Może mondryh na całym świecie. Muwi to znaczy robie wielko żecz nauce i bende sławny i moje imie bendzie w ksionszkah. Nie hce wcale żeby być sławny hce być mondry jak inne ludzie żeby mieć dużo pszyjaciuł co mnie lubio.

Dziś nie dali jeść. Nie wiem co jedzenia ma do bycia mondry jestem głodny Prof Nemur zabrał mi ciastko czekoladowe. Ten Prof Nemur to niemiłe. Dr Sztros muwi ja je dostane po reperacji. Nie moge jeść pszed reperacja. Nawet sera.

Dziennik 7 marzec 11

Reperacja nie boli. Dr Sztros zrobił jo kiedy ja spał. Nie wiem jak bo nie widział ale mam bandaże na oczah i głowie pszes 3 dni wienc nie mógł pisać DZIENNIKA aż do dziś. Huda siostra ktura mnie pilnuje muwi ja źle pisał DZIENNIK i pokazała jak pisze i MARZEC też. Musze pamientać. Mam zło pamienć do błenduf. No, bo ściongneli mi bandaże z oczuw dziś wienc moge już pisać DZIENNIK ale na głowie dalej mam bandaże.

Bałem sie kiedy pszyszli i muwio czas na reperacje. Kazali wstać z łuszka i pszejść na drugie łuszko takie z kulkami wywieźli mnie z pokoja i korytażem do drugih dżwi z napisem hirurgia. Jejku ale sie dziwiłem że to duży pokuj ma zielone ściany i dużo doktoruw siedzi wokuł wysoko patszy na reperacja. Nie wiedziałem że to jak kino.

Do stołu podszed menszczyzna cały na biało i z biało szmato na tważy całkiem jak w tej telewizji i gumowyh renkawiczkah muwi odprensz sie Charlie to ja Dr Sztros. Muwie cześć doktorku ja sie boje. Muwi nie masz sie czego bać Charlie muwi bendzie tak jakbyś poszed spać. Muwie tego sie właśnie boje. On mnie po głowie poklepał a dwa inni w białyh maskah też podeszli i zwionzali rence i nogi że sie ruszyć nie moge to sie bardzo pszestraszyłem i w bżuhu mnie ścisneło jakbym miał zabrudzić fszystko ale nie tylko trohe zmoczyłem hciałem płakać ale położyli mi gume na tważy żebym w niej oddyhał śmiesznie pahniała. Cały czas Dr Sztros muwi głośno o reperacji muwi fszystkim co ma robić. Ale ja nic nie rozumiał z tego i myślał może po reperacji bende mondry i rozumiał to fszystko o czym muwi. No to wdehłem głemboko i hyba był bardzo zmenczony bo zasnoł.

Kiedy sie obudził leżałem w łuszku znowu było ciemno strasznie. Nie widział nic ale słyszał ktoś muwi. To była siostra i Bert a ja powiedział o co hodzi dlaczego nie włonczycie światła kiedy się zacznie reperacja. Oni śmieli się i Burt muwi Charlie już koniec. Ciemno jest bo masz bandaże na oczah.

Śmiesznie zrobili to kiedy spałem.

Bert pszyhodzi codziennie tu spisać to fszystko temperatury i ciśńeńe krwi i fszystko o mnie. Muwi to naukowa metoda. Muwi pisać muszo fszystko żeby robić fszystko drugi raz jak hco. Nie mnie tylko innym jak ja co nie so mondży.

To dlatego musze pisać ten ~~dźeń~~ dziennik Burt muwi to czeńść eksprymenta zrobio kopie ~~dźeń~~ dziennika żeby je czytać i wiedzieć co mam na myśli. Nie wiem jak majo się dowiedzieć co mam na myśli po tym co pisze. Czytam je czytam mnustwo razy żeby zobaczyć co napisał i nie wiem co mam na myśli to skond oni majo.

No bo to jest nauka musze prubować być mondry jak inne ludzie. Kiedy bende mondry bendo ze mno rozmawiać a ja bende mug usionść z nimi i słuhać jak Joe Carp i Frank i Gimpy robio kiedy rozmawiajo i dyskutujo o ważnyh sprawah. Kiedy pracujo to muwio o takim czymś jak bug i po co prezydent wydaje tyle pieniendzy i o republikanah i demokratah. Tak sie podnieco jakby zaras mieli dostać jakiegoś ataka aż pan Donner musi pszyjść i muwić im wruco do pracy albo ih fszystkih wywali i do diabła ze zwionskami. Ja też hce tak rozmawiać.

Kiedy jesteś mondry masz mnustwo pszyjaciuł do rozmowy i nigdy nie jesteś zawsze sam cały czas.

Prof Nemur muwi dobże możesz muwić o fszystkim co ci sie zdażyło w dzienniku ale muwi ja powinien pisać wiencej o tym co czuje i co hyba

pamienta z pszeszłości. Muwie mu ja nie wiem jak myśleć pamientać on muwi sprubuj tylko sprubuj.

Cały czas kiedy miałem bandaży na oczah to prubował myśleć i pamientać ale nic nie stało. Nie wiem o czym myśleć i pamientać. Może jak go zapytam on muwi mi jak myśleć teraz kiedy hyba mam być mondry. Co myślo mondre ludzie albo pamientajo. Pewnie to strasznie dzikie zobacze. Szkoda że jeszcze nie znam nic dzikiego.

12 marzec – Nie musze pisać DZIENNIK pszed każdy dzień kiedy zaczynam nowe kartki bo Prof Nemur zabrał stare. Data na guże starcza. To oszczendza czas. Dobry pomysł. Moge siedzieć w łuszku wyglondać pszes okno na trawe na dżewa. Huda siostra ma na imie Hilda i jest dla mnie bardzo dobra. Pszynosi mi rużne jedzenia ściele łuszko i muwi że byłem bardzo dzielny że pozwoliłem im gżebać w głowie. Muwi nie pozwoliła by im gżebać w muzgu za żadne skarby świata. Powiedziałem że nie za skarby świata. Że bende może mondry. Muwi może nie mieli prawa zrobić mnie mondry skoro bug chciał by mnie mieć mondry to by mnie tak zrobił. A co z Adamem i Ewo i z gżechem z dżewem wiadomości i jabłkiem po kturym upadli. Może Prof Nemur i Dr Sztros bawio sie czymś czym nie majo prawa sie bawić.

Jest bardzo huda a kiedy muwi jest bardzo czerwona na tważy. Muwi może mudl sie do boga proś niech wybaczy za to co ci zrobili. Nie jadłem jabłek nie robiłem gżesznie. Teraz sie boje. Może trzeba nie pozwolić reoperować muzgu pszecież muwi to pszeciw bogu. Nie chce żeby bug sie gniewał.

13 marzec – Zmienili mi siostre. Ta jest ładna. Ma na imie Lucille pokazała mi jak je pisać do dziennika ma żułte włosy i niebieskie oczy. Muwie gdzie Hilda ona muwi Hilda już nie pracuje w tej czeńści szpitala. Tylko na położnym dziale z dziećmi tam nie szkodzi że za dużo muwi.

Kiedy spytałem co to położny dział ona muwi że tam majo dzieci ale kiedy muwie jak sie ma dzieci tylko zaczerwieniła się na tważy jak Hilda i muwi musi wzionć od kogo temperature. Nikt nic mi nie muwi o dzieciah. Może jeśli reperacja sie uda i bende mondry to sie dowiem.

Pani Kinnian pszyszła mnie dziś zobaczyć ona muwi Charlie wyglondasz wspaniale. Ja muwie czuje sie dobże ale jeszcze nie czuje sie mondry. Myślałem że jak reperacja sie skończy i zdejmo mi bandaży z oczu bende mondry i wiedział rużne żeczy żeby czytać i muwić o ważnych żeczach jak fszyscy.

Ona muwi to nie tak bendzie Charlie. Pszyjdzie powoli i musisz cienszko pracować żeby być mondry.

Tego nie wiedział. Jeśli i tak musze pracować to po co musze mieć reperacje. Ona muwi nie jest pewna ale reperacja była bo zrobi że kiedy pracuje żeby być mondry to fszystko zostaje a nie jak pszedtym kiedy nie zostawało za dobże.

To ja jej muwie że czuje sie nie za dobże bo myślał że od razu bende mondry i wruce zaraz do piekarni pokazać chłopcom jaki jestem mondry i rozmawiać z nimi o rużnych żeczach a może nawet zostać asystentem piekaża. Że chciał pujść sprubować znaleść mamusie i tatusia. Ale sie zdziwio kiedy zobaczo jaki jestem mondry bo mama zawsze chciała żebym też był mondry. Może mnie już nie wyżuco kiedy zobaczo jaki jestem mondry. Muwie pani Kinnian ja prubuje cienszko być mondry taki mondry jak potrafie. Poklepała mnie po dłoni i muwi wiem że bendziesz. Wieże w ciebie Charlie.

Dziennik 8

15 marzec – Wyszedł ze szpitala ale jeszcze nie wruce do pracy. Nic sie nie dzieje. Mam mnustwo testuw i rużne wyścigi z Algernonem. Nienawidze tej myszy. Zawsze mnie bije. Prof Nemur muwi musze z nim sie ścigać i musze robić te fszystkie testy odnowa i nowa.

Te robilinty to so gupie. Te obraski też so gupie. Lubie rysować obraski menszczyzn i kobiet ale nie bende kłamał o ludziach.

I nie umie układać układanek.

Głowa mnie boli od tego że prubuje tak dużo myśleć i pamientać. Dr Sztros obieca że mnie pomoże ale nie pomug. Nie muwi co myśleć ani kiedy bende mondry. Każe mi kłaść sie na kozetce i muwić.

Pani Kinnian pszychodzi zobaczyć mnie na psychologi tesz. Ja jej muwie nic sie nie dzieje. Kiedy bende mondry. Ona muwi cierpliwości Charlie to tszeba czasu. Bendzie szło tak wolno że wogule nie bendziesz wiedział. Muwi Bert jej muwi że fszystko ze mno dobże.

Ciongle myśle te wyścigi i te testy to głupie i myśle że ten dziennik to głupi też.

16 marzec – Zjadłem śniadanie z Bertem w stołuwce uniwersyteta. Majo tu rużne pyszne jedzenie i też płacić za to nie musze. Lubie siedzieć i patszeć na chłopcuf i dziewczyny studentuw. Czasami sie wygłupiajo ale pszeważnie to muwio o rużne żeczy zupełnie jak piekaże u pana Donnera. Bert muwi to o sztuce polityce religi. Nie wiem co to te żeczy ale myśle

religia to bug. Mama mi o nim muwiła i o żeczach kture zrobił żeby zrobić świat. Muwiła że zawsze go musze kochać i sie do niego modlić. Nie wiem jak sie do niego modlić ale hyba mama uczyła mnie modlić dużo kiedy był mały żeby mnie zrobił lepszy nie hory. Nie pamienta jak był hory. To chyba hodzi że nie był mondry.

No bo Bert muwi jak eksperment uda sie to bende rozumiał fszystko o czym te studenci muwio a ja muwie czy myślisz bende mondry jak one a on sie śmieje i muwi te dzieciaki wcale nie so takie mondre i psześcigniesz je jakby stali w miejscu.

Przedstawił mnie sporo tych studentuw niekture patszyli na mnie dziwnie jakbym nie miał prawa być na uniwersytecie tu. Prawie zapomniał i zaczo muwić niedugo bende taki mondry jak one ale Bert pszerwał i muwi im ja spszontam wydział psychologi. Puźniej wytłumaczy mi nie może być reklama co znaczy to sekret.

Nie rozumie czego to ma być sekret. Bert muwi jeśli sie nie uda Prof Nemur nie hce żeby ludzie sie śmiały a już guwnie te z fundacji Welberga co mu dały pieniondze na projekt. Ja muwie mnie nie pszeszkadza jak sie ze mnie śmiejo. Mnustwo ludzi sie śmieje a to pszyjaciele i sie bawimy. Bert mnie objoł i muwi on sie nie boi że bedo sie śmiać z ciebie tylko że z niego.

Nie myśle żeby sie śmieli z Prof Nemura bo to naukowiec na uniwersytecie ale Bert muwi żaden naukowiec nie jest ważny dla koleguw i asystentów. Bert jest asystent na psychologii i jak na dźwiach rabolatora. Nie wiedziałem że może być asystent Bert myślał tylko pan Bert albo pani Bert może być.

Ale mam nadzieje że szybko sie zrobie mondry bo hce wiedzieć o fszystkim na świecie jak te studenty tu. O sztuce polityce i bogu.

17 marzec – Obudził sie dziś rano i od razu pomyślałem jestem mondry ale nie. Każdy rano myśle jestem mondry ale nie. Może sperimint sie nie udał. Może nie bende mondry i pujde mieszkać w przytułku Warren. Nie lubie testuw nie lubie robilinta nie lubie Algernona.

Pszedtym nigdy nie wiedział że jestem gupszy od myszy. Nie ma ohoty na pisanie dziennika. Zapominam żeczy nawet kiedy je zapisze czasami nie potrafie odczytać co pisał i to bardzo cienszko. Pani Kinnian muwi cierpliwości ale czuje sie źle i jestem zmenczony. Cały czas mnie głowa boli. Hce iść do pracy w piekarni i już nie pisać ~~dzeń~~ dziennika.

20 marzec – Ide do pracy w piekarni. Dr Sztros powiedział do Prof Nemura żeby lepiej było jak pracuje ale ciongle nie moge nikomu powiedzieć o reperacji po co była i mam pszyhodzić do rabolatora na 2 godziny cowieczur po pracy na testy i pisać ten gupi dziennik. Oni bendo mi płacić co tydzień jak za godziny bo tak sie umuwili z fundacjo Welberga kiedy dostali pieniondze. Ciongle nie wiem co to ta Welberga jest. Pani Kinnian tłumaczyła ale nie rozumiem. Wienc skoro nie jestem mondry dlaczego mi płaco za pisanie tego gupiego dziennika. Jeśli mi płaco bende pisać. Ale pisać mi cienszko.

Ciesze sie że wracam do piekarni bo mi brak pracy w piekarni i fszystkich pszyjaciuł i jak wesoło jest.

Doktor Sztros muwi powinienem mieć notatnik w kieszeni pszy sobie na żeczy co nie pamientam. I nie musze pisać dziennika codziennie tylko kiedy coś pomyśle albo sie zdaży. Muwie mu mnie nic sie nie zdaża zawsze i hyba ten eksperment też sie nie zdaży. On muwi nie zniehencaj sie Charlie

to potszeba czasu zdaża sie powoli nawet nie zauważysz. Muwi mi jak to było długo nim Algernon zrobił sie tszy razy mondrzejszy niż był.

Dlatego Algernon bije mnie zawsze w tym robilincie do wyścigu on też miał reperacje. To specjalna mysza pierwsze zwieże tak długo mondre po reperacji. Nie wiedział że jest specjalna mysza. To ružnica. Ja pewnie zrobie tego robilinta szypciej niż zwykła mysza. Może kturego dnia pobije Algernona. Ojejej, toby dopiero było. Dr Sztros muwi że na razie wyglonda jakby Algernon miał być taki mondry na zawsze i że to dobże znak bo miałem tako samo reperacje.

21 marzec – Dziś w piekarni mieliśmy mnustwo zabawy. Joe Carp muwi hej popatszcie tylko że gdzie Charlie miał to reperacje to tam mu dołożyli klepek. Hciał mu powiedzieć że bende mondry ale pszypomniał sobie Prof Nemura i powiedziałem nie. Potem Frank Reilly powiedział co ty zrobiłeś Charlie dżwi w drugo strone otwierałeś. Zaczołem sie śmiać. To pszyjaciele i naprawde mnie lubio.

Mnustwo pracy bo nie mieli nikogo do spszontania bo to pszeciesz moja praca ale jest ten nowy hłopiec Ernie na dostawy które ja robiłem. Pan Donner muwi że go zatszyma na troche żebym miał szanse odpoczonć i nie pracował tak cienszko. Muwie mu ja w porządku moge donosić moge spszontać jak zawsze ale pan Donner muwi że zatszyma hłopca.

Wienc muwie a co mam robić. A pan Donner poklepał mnie po ramieniu i muwi Charlie ile ty masz lat. Ja muwie 32 33 na następne urodziny. On muwi a od kiedy tu jesteś. Ja muwie nie wiem. On muwi nastałeś tu siedymnaście lat temu. Twuj wuj Herman niech ma dusza w spokoju był najlepszy pszyjaciel. Pszyprowadził cie tu i muwi żebym ci pozwolił pracować i żebym sie tobo opiekował jak najlepiej potrafie. A kiedy umar 2

lata potym a matka wysłała cie do przytułku Warren załatwiłem że cie zwolnili na prace w mieście. To było siedymnaście lat Charlie i masz wiedzieć że piekarnia to nie taki biznes jak był ale masz tu prace do końca życia. Wienc nie martw sie że mam kogo na twoje miejsce. Nigdy nie musisz wrucić to tego przytułku.

Ja sie nie martwie tylko po co mu Ernie na dostawy i ružne takie kiedy to ja zawsze nośłem paczki. On muwi hłopiec potszebuje pieniendzy wienc go zatszymam jako czeladnika żeby sie wyuczył na piekaża. Ty możesz być jego asystent i pomagać mu kiedy potszebuje pomocy.

Ja nigdy nie był asystent. Ernie jest bardzo mondry ale inne ludzie w piekarni to wcale go tak znowu nie lubio. To fszystko moi dobży pszyjaciele i my żartujemy i śmiejemy się zawsze.

Czasami to ktoś muwi hej patsz Frank Joe albo i Gimpy. Tym razem to jusz wycioł Charlie Gordona. Nie wiem czemu to muwio ale zawsze sie śmiejo i ja tesz sie śmieje. Dziś rano to Gimpy był zmianowy on ma zło noge i kuleje i powiedział moje imie kiedy kszyczał na Erniego bo Ernie popsuł tort urodzinowy. Powiedział Ernie na rany hrystusa aleś wycioł Charlie Gordona. Nie wiem po co powiedział. Nie popsułem żadnej paczki nigdy.

Muwie panu Donnerowi czy moge sie uczyć być czeladnik jak Ernie. Muwie ja sie moge uczyć tylko szanse da.

Pan Donner to na mnie śmiesznie patszył długo bo ja hyba to nie zawsze tyle muwie. Frank mnie usłyszał i śmiał sie śmiał tak aż pan Donner powiedział mu zamknij sie i idź pilnować pieca. Potem pan Donner muwi mi na to jeszcze mnustwo czasu Charlie. Praca piekaża to ważna i bardzo trudna i nie powinieneś sie pszejmować takimi ważnymi i trudnymi sprawami.

Szkoda że nie moge powiedzieć mu i innym ludziom o prawdziwej reperacji. Szkoda że jeszcze nie zadziałało żebym był mondry jak fszyscy ludzie.

24 marzec – Prof Nemur i Dr Sztros przyszli dziś do mojego pokoja zobaczyć dlaczego nie chodze do robotoria jak powinien. Muwie im, że jusz nie chce wyściguw z Algernonem. Prof Nemur muwi że na troche to nie musze sie ścigać z nim ale powinienem pszychodzić tak czytak. Pszynius mi prezent ale to nie był prezent ale pożyczka. Powiedział to maszyna do nauki taki telewizor. Muwi i robi obraski i mam jo włonczyć nim ide spać. Ale Prof Nemur muwi też że jeśli chce być mondry musze robić co muwi. Ja muwie że nie myśle żebym wogule zmondżał.

Potem Dr Sztros podszedł położył mi dłoń na ramieniu muwi Charlie nic nie wiesz ale mondrzejesz cały czas. Nie widzisz tego jeszcze to jak z mało wskazuwko zegara. Takie to so zmiany w tobie. Zmieniajo sie tak wolno że nie widać. Ale my widzimy z testuw i z tego jak muwisz i piszesz dziennik. Muwi Charlie musisz wieżyć w nas i wieżyć w siebie. Nie wiemy czy to bendzie zmiana nazawsze ale jesteśmy pewni że wkrutce bendziesz bardzo inteligientnym młodym człowiekiem.

Powiedziałem dobże a ftedy Prof Nemur pokazał mi jak włonczyć ten telewizor co wcale nie jest telewizor. Spytałem go co on robi. Najpierw sie znowu obraził bo go zapytałem co robi a on muwi żebym sie słuchał nie pytał. Ale Dr Sztros mu muwi żeby wyjaśnił bo zaczołem kwestionować autorytet. Nie wiem co to znaczy ale Prof Nemur przygryz warge jakby miał jo odgryźć. Potem wyjaśnił powoli że maszyna robi mi coś w głowie. Czasami kiedy już już już zasypiam to uczy mnie żeczy bo słysze głos choć

już nie widze obrazkuw. Inne żeczy w nocy to robi że mam sen i pamientam co sie zdażyło dawno dawno kiedy byłem mały dzieciak.

Troche straszne.

A tak zapomniałem. Pytałem Prof Nemura kiedy moge wrócić do klasy pani Kinnian w centrum dla poślednich dorosłych a on muwi że pani Kinnian szybko pszyjdzie na uczelnie i bendzie mnie uczyła specjalnie. Ciesze sie. Prawie jej nie widziałem po reperacji.

25 marca – Ten gupi telewizor nie da mi zasnonć cało noc. Jak moge zasnonć jak coś mi wrzeszczy do uszu jakieś gupoty. I te gupie obrazki. Jej! Nie wiem co muwi kiedy nie śpie wienc jak mam wiedzieć co muwi kiedy śpie. Zapytałem Berta a on muwi w pożondku. Muwi że muzg mi sie uczy tuż nim zasne i że to mi pomoże kiedy pani Kinnian zacznie lekcje na uczelni. To centrum tam to nie szpital zwierzont jak kiedyś myślałem tylko robotorium dla nauki. Nie wiem co to nauka tylko że pomagam jej ekspermentem.

Nic nie rozumie z tym telewizorem. Po mojemu to on jest gupi. Jeśli można zmondrzeć spając to po co ludzie chodzo do szkoły. Nic tu nie zadziała. Oglondałem nocne kina i później jeszcze film w telewizorze i nigdy nie zmondrzałem. Może tylko inne filmy robiom cie mondrym. Może tak jak tele turnieje.

26 marca – Jak mam pracować w dzień kiedy to coś mi nie da w nocy spać. Obudziłem się w środku nocy i nie mogłem pujść spać bo to mi powtarzało *przypomnij sobie… przypomnij… przypomnij…* no wienc hyba

coś sobie przypomniałem ale nie pamientam co ale to było o pani Kinnian i szkole kiedy sie nauczyłem o czytaniu. Jak tam poszłem.

Dawno temu zapytałem kiedyś Joe Carpa jak sie nauczył czytać i czy ja też bym mug. Śmiał sie jak zawsze kiedy powiem coś śmiesznego i muwi Charlie po co czas marnować jak nikt ci muzgu nie zapcha kiedy żadnego nie ma. Ale Fanny Birden mnie usłyszała i spytała kuzyna który studiuje na uniwersytecie Bikmana i muwi że jest centrum dla poślednich dorosłych ludzi na uniwersytecie.

Napisała mi nazwe na papieże a Frank sie śmiał i muwi tylko nie wyucz sie tak żebyś nie rozmawiał ze starymi pszyjaciułmi. Ja muwie nie martw sie nie żuce pszyjaciuł choćbym czytał i pisał. Śmiał sie i Joe Carp też sie śmiał aż Gimpy pszyszedł i kazał im dalej robić bułki. To fszystko moi dobży pszyjaciele są.

Po pracy pszeszedłem kawał drogi sześć pszecznic do szkoły i bał sie. Byłem taki szczenśliwy że naucze sie czytać i pisać że kupił gazete i zabrał ze sobo żeby pszeczytać kiedy sie naucze.

Kiedy tam był zobaczyłem długi korytaż i mnustwo ludzi zlonkł się że co złego powie i zawrucił do domu. Ale nie wiem czemu zawrucił i jednak fszedłem do środka znuf.

Czekałem puki wienkszość nie poszła z wyjontkiem kilku ludzi pszy dużym zegaże jaki mamy w piekarni też i spytałem pani czy mugłby nauczyć sie czytać i pisać bo chce czytać fszystko w gazecie i pokazał jej gazete. To była pani Kinnian ale jeszcze ftedy nie wiedziałem. Muwi wruć jutro zarejestruj sie to cie naucze czytać. Ale musisz zrozumieć to zabieże dużo czasu może lata żeby czytać. Muwie nie wiedziałem że tak długo ale

chce sie uczyć mimo to chce sie uczyć bo udaje do ludzi czensto. To znaczy udaje że umie czytać naprawde to chce sie nauczyć.

Uścisneła mi dłoń muwi miło było pana poznać panie Gordon. Bende pana uczyć. Nazywam się pani Kinnian. Wienc tak poszedł uczyć sie czytać i tak spotkałem panio Kinnian.

Myśleć i pamientać to trudno i już nie śpie więcej tak dobże bo ten telewizor jest za głośny.

27 marca – Teraz kiedy zaczoł mieć sny i pamientać Prof Nemur muwi musze chodzić na terapie do Dr Sztrosa. Muwi terapie to jak kiedy ci jest źle wienc muwisz żeby było lepiej. Ja muwie że nie czuje sie źle i że muwie dużo cały dzień wienc po co mam chodzić na terapie ale on sie obraża i muwi masz chodzić mimo to.

Ta terapia to jest tak że kłade sie na kozetce a Dr Sztros siada na krześle obok i muwie fszystko co mi pszyjdzie do głowy. Długo nie muwiłem nic bo nic mi nie pszychodziło. Potem opowiedział mu o piekarni i o tym o co tam chodzi. Ale to głupie pszeciesz chodzić do gabineta kłaść sie na kozetce żeby muwić kiedy to fszystko pisze w dzienniku i zawsze może sobie pszeczytać. Wienc dziś pszyniosłem dziennik ze sobo i muwie może po prostu sobie pszeczyta a ja sie pześpie na kozetce. Byłem zmenczony bo ten telewizor to mnie cało noc budził ale on muwi nie tak sie nie da. Więc mu muwiłem a potem mimo fszystko zasnołem na kozetce.

28 marca – Głowa mnie boli. Nie pszez telewizor tym razem. Dr Sztros pokazał mi jak go pszyciszyć żebym mugł spać. Nic nie słysze. I nic nie rozumiem co muwi. Kilka razy włonczyłem go rano żeby zobaczyć czego

sie nauczył nim zasnoł i kiedy spał ale nie rozumiem słowa. Może to inny jenzyk czy co. Ale prawie cały czas brzmiał jak nasz. Tylko muwi za szybko.

Spytałem Dr Sztrosa co mi daje jak mondrzeje kiedy śpie kiedy ja chce być mondry kiedy nie śpie. Muwi że to to samo i że mam dwa umysły. Jest NIEŚWIADOMOŚĆ i ŚWIADOMOŚĆ (tak to sie pisze) i jedna nie muwi drugiej co robi. Dlatego śnie. Jejku, ale mi sie śniło. Jej. Od tej nocnej telewizji. Od tej bardzo bardzo nocnej telewizji.

Zapomniałem spytać Dr Sztrosa czy to ja czy każdy ma dwa umysły.

(Właśnie sprawdziłem słowa w słowniku Dr Sztros mi dał. NIEŚWIADOMOŚĆ (rzecz.) dotyczy operacji umysłowych niedostępnych świadomości, jak np. „Nieuświadomiony konflikt pragnień”). Wiencej tam jest, ale ciongle nie wiem co to znaczy. Nie dobry słownik dla głupkuf jak ja.

Bo w ogóle głowa mnie boli od pszyjencia. Joe Carp i Frank Reilly zaprosili mnie żebym z nimi poszed do baru Hallorana sie napić. Nie lubie pić łyski ale powiedzieli bendziemy sie dobże bawić. Dobże sie bawiłem. Bawiliśmy sie w gry i tańczyłem na baże z abażurem na głowie i fszyscy sie śmiali.

Potem Joe Carp muwi powinienem pokazać dziewczynom jak myje toalete w piekarni i dał mi szczotke. Pokazałem im i fszyscy sie śmiali kiedy muwie pan Donner muwi jestem najlepszym cieciem i dostafco jakiego miał bo lubie mojo prace dobże jo robie nie spuźniam sie ani nie biore wolnego hyba że na reperacje.

Muwie pani Kinnian zawsze muwi Charlie bondź dumny z pracy bo ty dobże pracujesz.

Fszyscy sie śmiali a Frank muwi ta pani Kinnian musi mieć nieruwno pod sufitem jeśli podoba się jej nasz Charlie a Joe muwi posłuchaj Charlie

a to robicie. Muwie nie wiem o co ci chodzi. Stawiali mi dużo a Joe muwi nasz Charlie jest cudo kiedy sie nawali. To chyba muwi że lubio mnie. Dobże sie bawimy ale nie moge sie doczekać kiedy bende mondry jak moi najlepsi pszyjaciele Joe Carp i Frank Reilly.

Nie wiem jak sie skończyło pszyjencie ale poprosili mnie żebym poszed za rug sprawdzić czy tam pada a kiedy wruciłem jusz ich nie było. Może poszli mnie szukać. Ja ich fszendzie szukałem aż było puźno. Ale sie zgubiłem i źle poczułem bo sie zgubiłem bo napewno Algernon biegałby po tych ulicach ze sto razy i nie zgubił jak ja.

Potym już dobże nie pamientam ale pani Flynn muwi do domu odprowadził mnie jakiś miły policjant.

W nocy śniła mi sie mama i tata tylko nie pamientam jej tważy była cała biała i zamazana. Płakałem bo byliśmy w wielkim sklepie i ja sie zgubiłem i nie mogłem jej znaleźć i biegałem fszendzie wokuł wielkich lad w sklepie. Potem pszyszed menszczyzna i zabrał mnie do wielkiego pokoju z ławkami dał mi lizaka i muwi że taki duży chłopiec to nie powinien płakać bo mama i tata napewno pszyjdo i mnie znajdo.

No bo to mi sie śniło a poza tym głowa mnie boli i mam guza i czarne i niebieskie sińce fszendzie. Joe Carp muwi że może sie pszewróciłem albo policjant mi dołożył. Nie wieże żeby policjanci robili takie rzeczy. Ale wogule nie hce już pić łyski.

29 marca – Pobiłem Algernona. Nawet nie wiedziałem że go pobiłem puki Bert Selden mi nie powiedział. Potem drugi raz pszegrałem taki byłem podniecony. Ale potem pobiłem go jeszcze 8 razy. Chyba robie sie mondry skoro pobiłem tako mondro mysz jak Algernon. Ale nie czuje sie mondry.

Chciałem sie jeszcze pościgać ale Bert muwi nie na dziś starczy. Pozwolił mi troche potszymać Algernona. Algernon to miła mysz, mienka jak watka. Mruga a kiedy otworzy oczy to so czarne i rużowe naokoło.

Muwie czy moge go nakarmić bo go pobiłem i mi gupio a hce być miły i mieć pszyjaciuł. Bert muwi nie Algernon to nie zwykła mysz i miała reperacje jak ja. To piersze ze fszystkich zwieżont co mondre so tak dugo i muwi że jest taki mondry że za każdym razem musi otwożyć sobie pszejście co sie zmienia żeby dostać jedzenie. Smutno mi sie zrobiło bo jeśli sie nie nauczy to nie dostanie jeść i bendzie godny.

Moim zdaniem nie wpożondku żeby zdać egzamin kiedy jeść. Bert jak czuł sie by kiedy egzamin za każdym razem egzamin kiedy chce sie jeść. Hyba zaprzyjaźnimy sie z Algernonem.

To mi pszypomina. Dr Sztros muwi powinienem zapisać każdy sen i oczym myśle że jeśli pszyjde do gabinetu to mu muwić moge. Ja mu muwie jeszcze nie wiem jak myśleć ale on muwi że więcej żeczy takich jak napisałem o mamie i tacie i kiedy zaczołem szkołe z panio Kinnian i fszystko co sie zdażyło przed reperacjo to fszystko myślenie a ja napisałem w dzienniku.

Nie wiedziałem że myśle i pamientam. Może to znaczy że coś sie ze mno dzieje. Nie czuje sie inaczej ale jestem taki podniecony że nie moge spać.

Dr Sztros dał mi kilka różowych pigułek żebym lepiej spał. Muwi że musze dobrze spać bo ftedy najwiencej sie zmienia mi w muzgu. To musi być prawda bo Wujek Herman spał u nas w domu cały czas kiedy nie był w pracy na starej sofie w dużym pokoju. Był gruby i trudno mu było znaleźć prace malować ludziom domy bo bardzo powoli whodził i shodził po drabinie.

Kiedy raz muwie mamie że hce być malażem jak Wujek Herman moja siostra Norma muwi aha Charlie bendzie artystom w rodzinie. Tata udeżył

jo po buzi i muwi żeby nie była taka holernie niepszyjemna dla brata. Ja nie wie co jest artystom ale Norma udeżona po buzi wienc pewnie nie dobra rzecz. Zawsze źle kiedy Norma boli bo zła dla mnie. Kiedy zmondrzeje to jo odwiedze.

30 marca – Dziś po pracy pani Kinnian pszyszła do pokoju szkolnego koło labotorium. Hyba cieszyła sie że mnie widzi ale była zdenerwowana. Wyglonda młodziej niż jo pamientam. Muwie jej że bardzo sie staram być mondry. Ona muwi wieże w ciebie Charlie tak sie starałeś nauczyć czytać i pisać wiencej niż wszyscy inni. Wiem że sobie poradzisz. Najgożej to będziesz miał fszystko to tylko na troche ale coś zrobisz dla innych pośledzonych ludzi.

Zaczeliśmy czytać bardzo trudno ksionszke. Nigdy nie czytałem takiej trudnej ksionszki. Nazywa sie Robinson Kruzo i jest o człowieku wyżuconym na bezludno wyspe. Jest mondry i wymyśla rużne żeczy wienc ma dom i jedzenie i umie dobże pływać. Tylko mi go żal bo jest całkiem sam i nie ma pszyjaciuł. Ale myśle że musi być ktoś na tej wyspie bo jest jego obrazek jak stoi pod śmiesznom parasolkom i patrzy na ślady stup. Mam nadzieje że zdobendzie pszyjaciuł i nie bendzie taki sam.

31 marca – Pani Kinnian uczy mnie jak pisać lepiej. Muwi spujrz na słowo zamknij oczy i muw je raz i raz. Mam mnustwo problemów z *korzeń i ósemka* co sie pisze ż i u i tak muwi. Musisz pisać rz i ó. Inaczej pisałem nim sie robiłem mondry. Nie ma to dla mnie sęsu pani Kinnian mówi nie martw się nikt nie twierdzi, że ortografia ma mieć sęs.

Dziennik 9

1 kwietnia – Fszyscy w piekarni przyszli mnie dziś zobaczyć bo zacząłem nowo prace przy mieszarce. Tak było. Oliver który pracował przy mieszarce odszed wczoraj. Przedtem mu pomagałem przynosiłem worki monki do ciasta. W każdym razie nie wiedziałem że wiem jak pracować przy mieszarce. Jest cięszko i Oliver przez rok chodził do szkoły nim sie wyuczył na asystenta piekarza.

Ale Joe Carp ~~ktury~~ który jest muj ~~pszyjaciel~~ przyjaciel muwi Charlie dlaczego nie weźmiesz pracy Olivera. Fszyscy z tego piętra przyszli i się śmiali a Frank Reilly mówi tak Charlie pszeciesz już wystarczajonco długo tu pracujesz. Sprubuj. Gimpiego nie ma to nie będzie wiedział że prubowałeś. Bałem się bo Gimpy jest mistrzem piekarskim i muwi mi nigdy nie podchodź do maszyny bo możesz zrobić sobie krzywde. Fszyscy muwio sprubuj z wyjątkiem Fannie Birden która muwi przestańcie dlaczego nie zostawicie w spokoju tego biednego człowieka.

Frank Reilly muwi zamknij się Fanny jest primaaprilis i jeśli Charlie popracuje na mieszarce może załatwi ją na amen aż będziemy mieli wolny dzień. Mówie że załatwić to nie potrafie ale pracować moge bo od kiedy wruciłem to podpatrywałem Olivera.

Więc włączyłem mieszarke i fszyscy byli zdziwieni ale już najbardziej to Frank Reilly. Fanny Birden ucieszyła się bo muwi nauka mieszania ciasta Oliverowi to zabrała 2 lata i hodził do szkoły piekarskiej. Bernie Bate co pomaga przy maszynie mówi że robiłem to szybciej niż Oliver i lepiej. Nikt

się nie śmiał. Kiedy Gimpy wrócił i Fanny mu powiedziała zezłościł się na mnie za to że pracowałem na mieszarce.

Ale ona powiedziała patrz jak on to robi. Chcieli z niego zażartować na primaaprilis a on zażartował sobie z nich. Gimpy patrzył i widziałem że jest zły na mnie bo nie lubi kiedy ludzie robio nie to co im każe zupełnie jak Prof Nemur. Ale widział jak pracuje więc podrapał się po głowie i muwi widze ale oczom nie wierze. Potem zawołał pana Donnera i powiedział mi żebym mu pokazał jak pracuje żeby pan Donner mógł zobaczyć.

Bałem się że będzie zły i będzie wżeszczał na mnie więc skończyłem i muwie czy już moge wracać do pracy. Musze pozamiatać w sklepie za lado. Pan Donner to patszył na mnie dziwnie przez dłuższy czas. Potem muwi robicie mi chłopcy jakiś dowcip na primaaprilis tylko o co wam chodzi.

Gimpy muwi ja też myślałem że to jakiś żart. Hodził kulejonc wokół maszyny i muwi do pana Donnera też nic z tego nie rozumiem ale Charlie wie jak obsługiwać maszyne i musze pszyznać że robi lepiej niż Oliver.

Fszyscy się wokuł tłoczyli i rozmawiali o tym więc sie przestraszyłem bo patszyli na mnie dziwnie i byli podnieceni. Frank muwi muwiłem wam w Charliem jest ostatnio coś dziwnego. A Joe Carp muwi tak wiem co masz na myśli. Pan Donner posłał fszystkich zpowrotem do roboty i zabrał mnie ze sobo do sklepu.

Muwi Charlie nie wiem jak to zrobiłeś ale w końcu czegoś sie uczysz. Chce żebyś był ostrożny i robił cotylko możesz. Masz nową prace i pięć dolarów podwyżki.

Muwie mu że nie chcę nowej pracy bo lubie czyścić zamiatać nosić towar i robić coś dla przyjaciół ale pan Donner muwi do diabła z przyjaciółmi potrzebuje cie do tej roboty. Nie jestem najlepszego zdania o człowieku który nie hce awansu.

Pytam co to awans. Podrapał się po głowie i spojrzał na mnie nad okularami. Nie ważne Charlie od dziś pracujesz na mieszarce muwi. To awans.

Więc teraz zamiast nosić paczki myć toalety i wyrzucać śmiecie. Jestem nowym piekarzem. To awans. Jutro powiem pani Kinnian. Hyba będzie szczęśliwa ale niewiem czemu Frank i Joe są na mnie wściekli. Spytałem Fanny a ona mówi nie przejmuj się tymi głupcami. Mamy primaaprilis chcieli zażartować z ciebie a zato zrobili głupców z siebie.

Spytałem Joego jakim cudem zrobili z siebie głupców a on mówi idź się wyphaj. Hyba się wściekli bo pracowałem na maszynie i nie mieli wolnego dnia jak się spodziewali. Czy to znaczy że robie się mondrzejszy?

3 kwietnia – Skończyłem Robinsona Crusoe. Chciałbym dowiedzieć się więcej co mu się przydarzyło ale pani Kinnian mówi że więcej nie ma. DLACZEGO.

4 kwietnia – Pani Kinnian mówi że uczę się szybko. Przeczytała kawałki dziennika i dziwnie na mnie spojrzała. Powiedziała że jestem dobry człowiek i że im wszystkim pokażę. Zapytałem co. Powiedziała że nieważne ale nie powinienem się martwić jeśli odkryję że nie wszyscy ludzie są tacy mili jak mi się wydaje. Powiedziała że jak na człowieka któremu Bóg dał tak mało zrobiłeś więcej niż mnóstwo ludzi którym nigdy nie przyszło do głowy użyć ich mózgów. Powiedziałem że fszyscy moi przyjaciele są mądrzy i też dobrzy. Lubią mnie i nigdy nie zrobili mi przykrości. Wtedy coś jej wpadło do oka i musiała uciec do łazienki.

Siedziałem w sali szkolnej czekając na nią i myślałem o tym jaka pani Kinnian jest miła jak by była moja matka. Hyba pamiętam jak matka powiedziała mi żebym był dobry dla ludzi. Powiedziała też ale uważaj bo niektórzy mogą nie zrozumieć i pomyśleć sobie że szukasz kłopotów.

To mi przypomniało jak kiedyś mama musiała nas opuścić i zostawiono mnie z sąsiadką panią Leroy. Mama poszła do szpitala. Tata powiedział że nie jest hora ani nic tylko poszła do szpitala po małego braciszka albo siostrzyczkę dla mnie. (Nadal nie wiem jak to zrobili). Powiedziałem im że hcę braciszka żeby się z nim bawić i nie wiem dlaczego zamiast braciszka przynieśli mi siostrzyczkę ale była śliczna jak laleczka. Tyle że cały czas płakała.

Nigdy jej nie skrzywdził ani nic.

Położyli ją do kołyski w swoim pokoju i raz słyszałem jak tata mówi nie bój się Charlie jej nie skrzywdzi.

Była jak taki różowy pakuneczek i czasami tak krzyczała że nie mogłem spać. A kiedy zasnołem to nocami mnie budziła. Jednego razu płakała kiedy byli w kuchni a ja u siebie w pokoju. Poszedłem i wziołem ją żeby się uspokoiła tak jak widziałem że mama ją brała. Ale mama wpadła krzycząc i mi ją zabrała. I uderzyła mnie tak mocno że aż upadłem na łóżko.

A potem to dopiero wrzeszczała. Nie wasz się jej dotykać. Skrzywdzisz ją. Jest taka malutka. Nie wolno ci jej brać na ręce. Wtedy nie wiedziałem ale teraz mi się wydaje że myślała że mogę skrzywdzić dziecko bo jestem za głupi żeby wiedzieć co robię. Teraz to mi smutno bo przecież nigdy nie skrzywdziłbym dziecka.

Kiedy następnym razem przyjdę do gabinetu doktora Straussa to mu to wszystko opowiem.

6 kwietnia – Dzisiaj, dowiedziałem się, o *przecinku*, to, jest, ten, przecinek (,) kropka, z ogonkiem, pani Kinnian, mówi, że, jest, ważny, bo, robi, że, pisze, się, lepiej, mówi, można stracić, wiele, pieniędzy, jeśli przecinka, nie ma, gdzie, powinien, być, mam, trochę pieniędzy, które, oszczędziłem, z wypłat, i tego, co płaci, mi, fundacja, ale, nie, wiele, i, nie wiem, jak, przecinek, może, zrobić, że je, stracę.

Ale, mówi, wszyscy, używają, przecinków, więc ja, też, będę, ich, używał,,,,

7 kwietnia – Źle używałem przecinka. To się nazywa *interpunkcja*. Pani Kinnian poradziła, żebym co trudniejsze słowa sprawdzał w słowniku, to się nauczę jak je pisać. Ja mówię co za różnica, jeśli i tak można je przeczytać. Powiedziała, że muszę się nauczyć, więc teraz będę szukał wszystkich słów co do których nie mam pewności. Takie pisanie zabiera strasznie dużo czasu, ale chyba udaje mi się zapamiętywać coraz więcej i więcej.

W każdym razie nie miałem żadnych problemów ze słowem *interpunkcja*. Tak wygląda w słowniku. Pani Kinnian mówi, że kropka to też interpunkcja i że trzeba będzie nauczyć się jeszcze wielu znaków. Powiedziałem jej, że myślałem, że wszystkie kropki muszą mieć ogonki i nazywać się przecinkami. A ona na to że nie.

Powiedziała: musisz, je. Wspólnie? Używać; Pokazała: mi? jak” je; wspólnie! Używać/ I, teraz’ mogę? Wspólnie, używać (je? Wszystkie znaki interpunkcyjne – kiedy. Piszę! Jest) ich wiele: do. Nauczenia! Takich) reguł/ Ale „szybko” się, ich? Uczę;

jest jedno? Co) lubię’ w Szanownej Pani Kinnian: (tak, pisze’ się) w listach – oficjalnych (czy ja kiedyś?! Napiszę; list! Oficjalny,) Ona:

zawsze’ odpowiada mnie; na „pytania. Jest – genialna! Szkoda? Że nie’ jestem. taki; mądry! jak ona?

Interpunkcja, to? Fajna! Zabawa;

8 kwietnia – Ale ze mnie idiota! Nie zrozumiałem ani słowa z tego, co do mnie mówiła! Zeszłej nocy przeczytałem podręcznik gramatyki, w którym wszystko zostało przystępnie wyjaśnione. Zrozumiałem, że to dokładnie tak, jak próbowała mi wytłumaczyć pani Kinnian, tylko że wtedy nie rozumiałem. Obudziłem się w środku nocy i nagle wszystko zrobiło się jasne i proste.

Pani Kinnian powiedziała mi także, że pomógł telewizor pracujący tuż przed zaśnięciem i wtedy, gdy śpię. Powiedziała, że to *przełom*. Przełom to jak rzeka przepływająca przez góry.

Kiedy zrozumiałem wreszcie, co to interpunkcja, przeczytałem zapisy z dziennika, wszystkie, od samego początku. Jezu, niesamowitą miałem ortografię i interpunkcję! Powiedziałem pani Kinnian, że powinienem napisać wszystko od początku, poprawiając błędy, ale ona na to: „Nie, Charlie, profesor Nemur chce je mieć takimi, jakie są. Dlatego robi sobie odbitki, a tobie oddaje oryginały. Dzięki temu możesz śledzić własne postępy. Uczysz się błyskawicznie, Charlie”.

Ucieszyłem się bardzo, kiedy mi to powiedziała. Po lekcji poszedłem pobawić się z Algernonem. Już się nie ścigamy.

10 kwietnia – Jestem chory. Nie tak, żeby iść do lekarza, ale w sercu czuję pustkę, jakby sięgnął ręką i je wycisnął.

Nie chcę o tym pisać, ale chyba powinienem, ponieważ to ważna sprawa. Dziś po raz pierwszy z premedytacją nie poszedłem do pracy.

Wczoraj wieczorem Joe Carp i Frank Reilly zaprosili mnie na zabawę. Było dużo dziewczyn, a także Gimpy i Ernie. Pamiętam, jak pochorowałem się ostatnim razem, kiedy wypiłem za dużo whisky, więc powiedziałem Joemu, że nie chcę pić. Dał mi coca-colę. Smakowała dziwnie, ale pomyślałem sobie, że pewnie tak mi się tylko wydaje.

Przez jakiś czas nieźle się bawiliśmy.

– Zatańcz z Ellen – powiedział w końcu Joe. – Nauczy cię kroków. – I mrugnął do niej, jakby coś mu wpadło do oka.

– Dlaczego nie dasz mu spokoju? – spytała Ellen.

Joe trzepnął mnie w ramię.

– To Charlie Gordon – powiedział. – Mój kumpel, mój dobry przyjaciel. I niezwykły facet. Dostał awans i pracuje przy mieszarce. Przecież poprosiłem tylko, żebyś z nim zatańczyła. Chcę, żeby się dobrze bawił. Czy to coś złego?

Popchnął mnie, aż się do niej przytuliłem. Trzy razy się przewróciłem i nie wiedziałem dlaczego, ponieważ tańczyliśmy tylko my, ja z Ellen. A przewracałem się za każdym razem dlatego, że któryś z nich wyciągał nogę.

Siedzieli dookoła, obserwując nas i śmiejąc się z tego, jak stawiamy kroki. Głośniej śmieli się za każdym razem, kiedy padałem, a ja śmiałem się z nimi, bo takie to było śmieszne. Ale kiedy przewróciłem się ostatnim razem, już mi nie było do śmiechu. Próbowałem się podnieść, a Joe pchnął mnie tak, że znów usiadłem.

Nagle dostrzegłem, jak Joe na mnie patrzy, i serce podjechało mi do gardła.

– Niesamowity gość – powiedziała któraś z dziewcząt i wszyscy znów się roześmieli.

– Och, miałeś rację, Frank. – Ellen aż się krztusiła. – Jednoosobowy cyrk. – A potem dodała jeszcze: – Charlie, weź jabłko. – Dała mi jabłko, ale kiedy próbowałem je ugryźć, okazało się, że jest sztuczne.

– Mówiłem ci, że je zje – powiedział Frank, rycząc ze śmiechu. – Wyobrażałaś sobie kiedyś, że zobaczysz durnia jedzącego sztuczne owoce?

– Nie śmiałem się tak od czasu, kiedy wysłaliśmy go, żeby zobaczył, czy pada za rogiem – powiedział Joe. – Wtedy, kiedy uciekliśmy mu z „Halloran’s”.

Nagle zobaczyłem obraz z dzieciństwa. Dzieci z naszej ulicy pozwoliły mi bawić się z sobą w chowanego. Kryłem. Kilka razy policzyłem do dziesięciu, na palcach, a potem zacząłem szukać. Szukałem ich i szukałem, a kiedy zapadł zmrok i zrobiło się zimno, wróciłem do domu.

Nikogo nie znalazłem. Nie wiedziałem dlaczego.

Słowa Franka wszystko mi przypomniały. To samo zdarzyło się w „Halloran’s”. To samo zrobili Joe i cała reszta. Śmiali się ze mnie. Dzieci, z którymi bawiłem się w chowanego, żartowały sobie ze mnie i też się śmiały.

Siedziałem na podłodze i widziałem tylko zamazane roześmiane twarze. Wszyscy się ze mnie śmiali.

– Popatrzcie na niego. Jaką ma czerwoną gębę.

– Zarumienił się. Charlie się zarumienił.

– Hej, Ellen, coś ty zrobiła z naszym Charliem? Nigdy się tak nie zachowywał.

– Cholernie się musiał napalić!

Nie wiedziałem, co robić, dokąd uciekać. Kiedy się tak o mnie ocierała, było mi dziwnie. Wszyscy się ze mnie śmiali i nagle poczułem się, jakbym

był nagi. Tak bardzo chciałem się schować, gdziekolwiek, byleby mnie nie widzieli. Uciekłem z mieszkania. To było mieszkanie w wielkim bloku, z mnóstwem korytarzy. Szukałem schodów, zupełnie zapomniałem o windzie. W końcu znalazłem schody, wybiegłem na ulicę i – nim wróciłem do swojego pokoju – długo spacerowałem. Nigdy przedtem nie zaświtało mi w głowie, że Joe, Frank i inni dobrze się czują w moim towarzystwie tylko dlatego, że mogą się ze mnie naśmiewać.

Teraz już wiem, co mieli na myśli, kiedy mówili „wyciąć Charliego Gordona".

Jest mi wstyd.

I jeszcze jedno. Śniła mi się ta dziewczyna, Ellen, tańcząca i ocierająca się o mnie, a kiedy się obudziłem, prześcieradło było mokre i lepkie.

13 kwietnia – Nadal nie chodzę do pracy w piekarni. Poprosiłem właścicielkę domu, panią Flynn, żeby zadzwoniła do pana Donnera i powiedziała mu, że jestem chory. Ostatnio pani Flynn patrzy na mnie dziwnie, tak jakby się mnie bała.

Moim zdaniem dobrze się stało, że wreszcie wiem, że wszyscy się ze mnie śmieją. Wszystko sobie dokładnie przemyślałem. Chodzi o to, że jestem taki głupi, że nawet nie wiem, kiedy robię coś głupiego. Ludzie sądzą, że skoro głupiec nie umie zachować się tak jak oni, to jest śmieszny.

W każdym razie teraz wiem, że z dnia na dzień robię się odrobinę mądrzejszy. Poznałem interpunkcję i nieźle ortografię. Lubię sprawdzać trudne wyrazy w słowniku i zapamiętuję, jak się je pisze. Próbuję też pisać dziennik bardzo uważnie, ale to wcale nie takie łatwe. Dużo czytam; pani Kinnian mówi, że czytam bardzo szybko. Nawet rozumiem bardzo wiele z tego, co przeczytałem, i prawie nic nie zapominam. Zdarza się, że

zamykam oczy, myślę o przeczytanej stronie i ta strona pojawia mi się w wyobraźni jak obraz.

Czasami widzę także inne obrazy. Zamykam oczy i one tam są. Na przykład dzisiaj rano, kiedy, zaraz po przebudzeniu, leżałem na łóżku z otwartymi oczami. Nagle poczułem się tak, jakby jakaś tama pękła mi w głowie, jakby pojawiła się w niej dziura, przez którą mogłem przejść. To chyba przeszłość… dawna przeszłość, kiedy zacząłem pracować w piekarni Donnera. Widzę ulicę, przy której stoi piekarnia. Obraz jest najpierw zamazany, a potem pojawiają się w nim rzeczy tak wyraźne, jakby były teraz, tu, tuż przede mną, ale inne obrazy nadal są niewyraźne, więc nie jestem pewien…

Niski staruszek z przerobionym dziecinnym wózkiem, na którym stoi piecyk na węgiel drzewny, zapach pieczonych kasztanów, na ziemi leży śnieg. Młody chłopak, chudy, z szeroko otwartymi oczami, na twarzy przerażenie, wpatruje się w szyld. Co jest na tym szyldzie? Nie mogę odczytać liter. Wiem *teraz*, że napisane jest tam PIEKARNIA DONNERA, ale przyglądając mu się oczami wyobraźni, nie umiem odczytać napisu, który widzi chłopiec. Patrząc jego oczami, nie umiem odczytać żadnego napisu. Ten ktoś z wyrazem przerażenia na twarzy to prawdopodobnie ja.

Jasny blask neonów. Przybrane choinki, handlarze na chodnikach. Ludzie owinięci w płaszcze, postawione kołnierze, szaliki na szyjach. Chłopiec nie ma rękawiczek. Zimno mu w ręce. Stawia na chodniku ciężką paczkę brązowych papierowych toreb. Zatrzymał się i przygląda się zabawkom, które nakręca handlarz: misiowi fikającemu koziołki, podskakującemu psu, foce kręcącej piłkę na nosie; zabawkom fikającym, skaczącym, kręcącym

piłki. Gdyby to były jego zabawki, byłby najszczęśliwszym człowiekiem na świecie.

Chce spytać handlarza o zaczerwienionej twarzy, którego palce wystają z brązowych bawełnianych mitenek, czy mógłby przez chwilę potrzymać fikającego koziołki misia, ale się boi. Podnosi paczkę toreb, opiera ją na ramieniu. Jest chudy, ale silny, od wielu lat ciężko pracuje.

– Charlie! Charlie… ten przygłup tu wali!

Otaczają go dzieci, roześmiane, drażniące się z nim jak małe pieski próbujące złapać człowieka za kostkę. Charlie się do nich uśmiecha. Chciałby odłożyć torby, chciałby się z nimi pobawić, ale kiedy o tym myśli, dostaje na plecach gęsiej skórki i czuje się tak, jak kiedy starsi chłopcy czymś w niego rzucają.

Wracając do piekarni, widzi chłopców stojących przy bramie prowadzącej do ciemnego korytarza.

– Hej, patrzcie, to Charlie!

– Hej, Charlie, co tam masz? Idziesz z nami?

– Chodź, nic ci nie zrobimy.

Lecz w czarnej dziurze wejścia jest coś… mrok, śmiech… i Charlie znów dostaje gęsiej skórki. Próbuje zrozumieć, o co chodzi, ale pamięta tylko błoto i szczyny na ubraniu, i wujka Hermana krzyczącego, kiedy wrócił do domu cały brudny, i pamięta, jak wuj wybiegł z domu z młotkiem w ręku, jak chciał złapać chłopców, którzy mu to zrobili. Charlie cofa się przed stojącymi w bramie chłopakami, upuszcza torby, zbiera je i resztę drogi do piekarni biegnie.

– Czemu tak długo, Charlie? – krzyczy stojący przy tylnym wejściu Gimpy.

Charlie wchodzi przez wahadłowe drzwi i kładzie torby na wózku. Opiera się o ścianę, chowa ręce w kieszeniach. Żałuje, że nie ma swojego

sznurka.

Lubi piekarnię, podłogę pokrytą mąką, bielszą niż okopcone ściany i sufit. Mąką pokryte są grube podeszwy jego butów i oczka, przez które przewleka się sznurowadła, i same sznurowadła. Ma mąkę pod paznokciami i na popękanej skórze dłoni.

Odpręża się tak, siedząc w kucki, oparty o ścianę; o ścianę oparł też głowę, aż daszek baseballowej czapeczki ozdobionej wielkim „D” zjeżdża mu na oczy. Lubi zapach mąki, słodkich bułeczek, chleba, ciast i rogalików. Piec grzeje, potrzaskując, Charlie robi się senny…

Słodycz… ciepło… sen…

Nagle pada na bok, uderza głową o ścianę. Ktoś podciął mu nogi.

Tylko tyle pamiętam. Pamiętam doskonale… ale nie wiem, dlaczego to się stało. To zupełnie tak, jak wtedy, gdy chodziłem do kina. Za pierwszym razem nic nie rozumiałem, wszystko działo się za szybko, ale za czwartym czy piątym rozumiałem już, o czym mówili. Muszę zapytać o to doktora Straussa.

14 kwietnia – Doktor Strauss twierdzi, że najważniejsze to przywoływać takie wspomnienia jak to, które miałem wczoraj, i zaraz je zapisywać. Potem, u niego w gabinecie, możemy o nich porozmawiać.

Doktor Strauss jest psychiatrą i neurochirurgiem. Dopiero teraz się o tym dowiedziałem. Przedtem myślałem, że jest po prostu zwykłym lekarzem. Ale kiedy dziś rano wszedłem do jego gabinetu, od razu uświadomił mi, jak ważne jest, żebym wszystkiego się o sobie nauczył i zrozumiał swoje problemy. Powiedziałem mu, że nie mam żadnych problemów.

Doktor Strauss roześmiał się, wstał z fotela i podszedł do okna.

– Im szybciej będziesz się rozwijał, tym więcej będziesz miał problemów, Charlie – powiedział. – Twój rozwój intelektualny daleko wyprzedzi emocjonalny. W miarę postępów w nauce z pewnością odkryjesz, że jest wiele rzeczy, które chciałbyś ze mną przedyskutować. Pamiętaj: jeśli uznasz, że potrzebujesz pomocy, zawsze znajdziesz ją tu.

Nadal nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi, ale doktor Strauss twierdzi, że choć mogę nie rozumieć snów i wspomnień oraz mechanizmów, które je wywołują, kiedyś, w przyszłości, wszystkie one połączą się i wiele się o sobie nauczę. Twierdzi, że bardzo ważne jest, bym odkrył, co ci ludzie z moich wspomnień mówią. Że jest to związane z dzieciństwem i że powinienem pamiętać, co się wówczas działo.

Przedtem zupełnie nie zdawałem sobie z tego sprawy. Być może jest tak, że im inteligentniejszy się stanę, tym lepiej będę rozumiał pojawiające się we wspomnieniach słowa i wreszcie dowiem się wszystkiego o stojących w bramie chłopcach i o wuju Hermanie, i o rodzicach. Ale naprawdę doktorowi chodzi o to, że nie sprawi mi to przyjemności i że mogę zachorować na głowę.

Więc teraz muszę chodzić do jego gabinetu dwa razy w tygodniu i mówić mu o sprawach, które mnie niepokoją. Siedzimy po prostu i rozmawiamy, ja opowiadam, a on słucha. Nazywa się to „terapia”, co oznacza, że mówienie ma mi poprawić samopoczucie. Powiedziałem doktorowi, że jedną z niepokojących mnie spraw są kobiety, na przykład to, jak bardzo podniecił mnie taniec z Ellen. Więc rozmawialiśmy i kiedy mu mówiłem o Ellen, poczułem się dziwnie, było mi zimno, pociłem się, w głowie mi się zakręciło i omal nie zwymiotowałem. Pewnie dlatego, że zawsze myślałem, że to brzydko i źle rozmawiać o takich sprawach. Ale doktor Strauss

powiedział, że wtedy, po zabawie, miałem erotyczny sen i że to naturalne u chłopców.

Więc nawet jeśli robię się inteligentny i uczę się mnóstwa nowych rzeczy, w stosunku do kobiet doktor nadal uważa mnie za chłopca. Trochę to niejasne, ale mam zamiar dowiedzieć się o mym życiu wszystkiego.

15 kwietnia – Dużo ostatnio czytam i niemal wszystko zapamiętuję. Zdaniem pani Kinnian obok historii, geografii i matematyki powinienem się uczyć także języków obcych. Profesor Nemur dał mi kilka nowych taśm do odgrywania podczas snu. Nadal nie wiem, jak właściwie działa świadomość i nieświadomość, ale doktor Strauss twierdzi, że na razie nie powinienem się tym zajmować. Kazał mi obiecać, że kiedy zacznę studia, za parę tygodni, nie dotknę żadnego podręcznika psychologii, oczywiście do chwili, kiedy udzieli mi pozwolenia. Mówi, że zrobiłyby mi tylko zamęt w głowie i myślałbym wyłącznie o teoriach, a nie o własnych uczuciach i przemyśleniach. Wolno mi jednak czytać powieści. W tym tygodniu przeczytałem *Wielkiego Gatsby'ego*, *Tragedię amerykańską* i *Spójrz ku domowi, aniele*. Nigdy nie słyszałem o mężczyznach i kobietach zachowujących się tak dziwnie.

16 kwietnia – Dziś jest mi już znacznie lepiej, ale nadal wściekam się na myśl o ludziach, którzy śmiali się i żartowali sobie ze mnie. Kiedy stanę się tak inteligentny, jak obiecuje profesor Nemur, to znaczy moje IQ z 70 wzrośnie do 140 i więcej, może ludzie mnie polubią i znajdę sobie przyjaciół.

W gruncie rzeczy nie wiem, czym jest to IQ. Profesor Nemur mówi, że mierzy inteligencję, jak waga w sklepie ciężar, ale doktor Strauss ostro się temu sprzeciwił. Twierdzi, że IQ wcale nie waży inteligencji, tylko pokazuje potencjał, jak cyferki na menzurce. Najpierw menzurkę trzeba jednak czymś napełnić.

Kiedy zapytałem Burta Seldena, który robi mi testy na inteligencję i pracuje z Algernonem, odpowiedział, że wielu ludzi nie zgodziłoby się z żadnym z nich i że w części artykułów, które czytał ostatnio, twierdzi się, że IQ mierzy wiele rzeczy łącznie z tym, czego już się nauczyłeś, i że wcale nie jest dobrym miernikiem inteligencji.

No więc nadal nie wiem, czym jest IQ; każdy mówi inaczej. Moje na razie wynosi 100, wkrótce ma przekroczyć 150, ale nadal trzeba napełniać tę menzurkę. Wolałem na razie nie zabierać głosu w tej sprawie, ale nie rozumiem, jakim cudem, nie wiedząc, *co* to jest ani *gdzie* jest, ludzie mierzą coś, co podobno masz.

Profesor Nemur mówi, że pojutrze zrobią mi *test Rorschacha*. Ciekawe, co to takiego.

17 kwietnia – Tej nocy miałem koszmar. Dziś rano, zaraz po przebudzeniu, zacząłem się bawić w swobodne skojarzenia, tak jak kazał mi doktor Strauss w przypadku snów, które zapamiętałem. Mam myśleć o śnie i pozwolić umysłowi iść własną drogą, aż pojawią się w nim jakieś inne myśli. No więc kojarzyłem swobodnie, aż nie byłem w stanie myśleć w ogóle. Doktor Strauss twierdzi, że oznacza to, iż dotarłem do punktu, w którym nieświadomość blokuje świadomość, uniemożliwiając pojawienie się wspomnień. To taka ściana między teraźniejszością a przeszłością. Ta ściana czasami stoi, a czasami się wali i wtedy widzę, co się za nią kryje.

Jak dziś rano.

Śniło mi się, że pani Kinnian czyta mój dziennik. We śnie siadam, żeby go pisać, ale nie umiem już ani pisać, ani czytać. Po prostu nie umiem. Boję się, więc proszę Gimpy'ego z piekarni, żeby pisał za mnie. Ale kiedy pani Kinnian zaczyna czytać, drze w złości kartki, bo są na nich brzydkie słowa.

Kiedy wracam do domu, czekają już na mnie profesor Nemur i doktor Strauss. Dają mi lanie za to, że zapisałem w dzienniku brzydkie słowa. Kiedy wychodzą, zbieram podarte kartki, a te zmieniają mi się w rękach w koronkowe walentynki, całe pokryte krwią.

Był to straszny sen, ale jednak wstałem z łóżka, zapisałem go, a potem zacząłem swobodne skojarzenia.

Piekarnia… pieczenie… pojemnik… ktoś mnie kopie… padam… wszędzie pełno krwi… piszę… wielki ołówek, czerwona walentynka… małe złote serduszko… medalion… łańcuszek… całe pokryte krwią… on się ze mnie śmieje…

Łańcuszek od medalionu… kręcę nim… odbija mi słońce w oczy. Lubię patrzeć, jak się kręci… patrzeć na łańcuszek… splątany, obracający się, kręcący… patrzy na mnie mała dziewczynka.

Nazywa się pani Kin… to znaczy Harriet.

„Harriet… Harriet… Wszyscy kochamy Harriet".

I więcej nic. Ściana.

Pani Kinnian czyta mi dziennik przez ramię.

~~My są~~ Jesteśmy w centrum dla upośledzonych. Czyta mi przez ramię, kiedy piszę dziennik.

Centrum zmienia się w Szkołę Podstawową nr 13, a ja mam jedenaście lat i pani Kinnian też ma jedenaście lat, ale teraz nie jest już panią Kinnian, tylko małą piegowatą dziewczynką o długich, kręconych włosach i ma na imię Harriet. Wszyscy kochamy Harriet. Jest Dzień Świętego Walentego.

Pamiętam…

Pamiętam, co zdarzyło się w Szkole Podstawowej nr 13 i dlaczego musiano mnie przenieść do Szkoły Podstawowej nr 222. To z powodu Harriet.

Widzę Charliego. Ma jedenaście lat i mały złoty medalion, który znalazł na ulicy. Łańcuszka nie znalazł i trzyma medalion na sznurku. Lubi nim obracać, tak że medalion nawija mu się na palec, a potem patrzy, jak się odwija i kręci. Słońce odbija się w nim i czasami błyska mu w oczy.

Niekiedy koledzy grający w zbijaka pozwalają mu grać w środku, a on próbuje złapać piłkę, nim jeden z nich ją złapie. Lubi grać w środku, choć nie umie złapać piłki. Raz, kiedy Hymie Roth przypadkiem upuścił piłkę i udało mu się ją złapać, i tak nie pozwolili mu rzucać. Musiał zostać w środku.

Kiedy Harriet przechodzi obok nich, chłopcy przestają grać i wszyscy się na nią patrzą. Wszyscy chłopcy kochają Harriet. Charlie nie rozumie, dlaczego robią tyle zamieszania wokół dziewczyny i dlaczego zawsze chcą z nią rozmawiać (on sam wolałby grać w zbijaka albo w zdobywanie twierdzy, albo kopać po boisku puszkę), ale wszyscy chłopcy kochają Harriet, więc on też ją kocha.

Harriet nigdy nie wyśmiewa się z niego jak inne dzieci, więc on robi dla niej różne sztuczki. Kiedy nauczyciela nie ma w klasie, chodzi po ławkach. Wyrzuca gumki przez okno, bazgrze po tablicy i ścianach. A Harriet chichocze i piszczy. „Patrzcie, co wyprawia Charlie. Jaki on śmieszny! Jaki głupiutki!”

Jest Dzień Świętego Walentego i chłopcy rozmawiają o walentynkach, które mają zamiar dać Harriet, więc Charlie mówi: „Ja też dam Harriet walentynkę!”.

Śmieją się, a Barry mówi:

– Skąd ty weźmiesz walentynkę?

– Dam jej bardzo ładną. Zobaczycie.

Ale Charlie nie ma pieniędzy na walentynkę, więc postanawia dać Harriet swój medalion w kształcie serca, taki jak walentynki na wystawach. Wieczorem bierze bibułkę z szuflady mamy; bardzo długo trwa, nim udaje mu się zapakować medalion i przewiązać go czerwoną wstążeczką. Następnego dnia podczas dużej przerwy idzie do Hymiego Rotha i prosi, żeby napisał od niego liścik.

Prosi Hymiego, żeby napisał: „Droga Harriet, moim zdaniem jesteś najbardziej najpiękniejszą dziewczyną na świecie. Bardzo cię lubię i kocham. Chcę ci dać walentynkę. Twój przyjaciel Charlie Gordon”.

Hymie pisze na kawałku papieru powoli, wielkimi literami i cały czas się śmieje, a potem mówi Charliemu:

– O rany, jak to zobaczy, wywinie orła. Tylko poczekaj!

Charlie boi się, ale chce dać Harriet medalion, więc po szkole idzie za nią i czeka, aż dziewczynka wejdzie do domu. Potem wślizguje się na korytarz i wiesza paczuszkę na wewnętrznej klamce. Dzwoni dwa razy i ucieka na drugą stronę ulicy. Chowa się za drzewem.

Harriet schodzi i rozgląda się, nie wiedząc, kto dzwonił. Nagle dostrzega paczuszkę. Zabiera ją, wraca na górę. Charlie idzie do domu i dostaje lanie, bo bez pytania wziął bibułkę i wstążkę z szuflady mamy, ale nic go to nie obchodzi. Jutro Harriet będzie miała na szyi medalion i powie wszystkim chłopcom, od kogo go dostała. Wtedy zobaczą.

Następnego dnia biegnie do szkoły jak na skrzydłach. Przybiega za wcześnie. Harriet jeszcze nie przyszła. Charlie jest bardzo podniecony.

Ale kiedy Harriet przychodzi do szkoły, nawet na niego nie patrzy. I nie ma na szyi medalionu. I chyba jest urażona.

Kiedy pani Janson nie patrzy, Charlie robi różne rzeczy. Stroi miny. Śmieje się głośno. Staje na ławce i kręci pupą. Rzuca nawet w Harolda kawałkiem kredy. Ale Harriet nie patrzy na niego ani razu. Może zapomniała. Może założy medalion jutro. Mija Charliego na korytarzu, ale kiedy on chce do niej podejść i zapytać, przechodzi obok niego bez słowa.

Na boisku czekają na niego jej dwaj starsi bracia.

Gus pcha Charliego.

– Ty mały sukinsynu, to ty napisałeś ten świński list do mojej siostry? – pyta.

Charlie odpowiada, że nie pisał żadnych świńskich listów.

– Dałem jej walentynkę – mówi.

Oscar, grający w szkolnej drużynie futbolowej, łapie Charliego za koszulę, obrywając mu dwa guziki.

– Trzymaj się z dala od mojej siostrzyczki, zboczeńcu – mówi. – W ogóle nie powinieneś chodzić do tej szkoły.

Pcha Charliego na Gusa. Gus łapie go za gardło. Charlie jest przerażony. Płacze.

Potem obaj zaczynają go bić. Oscar uderza go w nos, a Gus podcina mu nogi i kopie w bok. Później obaj go kopią, najpierw jeden, potem drugi, a inne dzieciaki na boisku – przyjaciele Charliego – podbiegają, krzycząc i klaszcząc. Krzyczą: „Bójka! Bójka! Biją Charliego!”.

Charlie ma podarte ubranie. Nos mu krwawi. Złamali mu ząb. Gus i Oscar odchodzą, a on siedzi na ziemi i płacze. Krew ma kwaśny smak. Wokół niego stoją dzieci, śmieją się i krzyczą: „Charlie dostał lanie! Charlie dostał lanie!”. Potem przychodzi pan Wagner, woźny, i przepędza je. Zabiera Charliego do łazienki, każe mu przed pójściem do domu zmyć z rąk i twarzy krew i brud…

Chyba rzeczywiście byłem bardzo tępy, skoro wierzyłem w to, co mówili mi ludzie. Nie powinienem ufać ani Hymiemu, ani w ogóle nikomu.

Do wczoraj nic z tego nie pamiętałem, ale przypomniałem sobie wszystko z powodu snu. Ma to coś wspólnego z uczuciem, którego doświadczyłem, śniąc, że pani Kinnian czyta mój dziennik. W każdym razie jestem szczęśliwy, że już nie muszę prosić nikogo, żeby pisał za mnie. Teraz już sam umiem pisać.

Właśnie zdałem sobie z czegoś sprawę. Harriet nie zwróciła mi medalionu.

18 kwietnia – Już wiem, czym jest ten Rorschach. To test z plamami atramentu – ten, który miałem przed operacją. Jak tylko się zorientowałem, strasznie się przestraszyłem. Wiedziałem, że Burt każe mi odkryć obrazki w plamach atramentu, i wiedziałem, że żadnego obrazka nie zobaczę. Myślałem, że dobrze by było znać sposób na odkrycie, jakie obrazki się w nich kryją. Myślałem, że może nie ma tam żadnych obrazków. Może to tylko taka sztuczka, żeby sprawdzić, czy jestem wystarczająco głupi i zacznę szukać czegoś, czego nie ma. Już same te myśli sprawiły, że się rozgniewałem.

– No dobrze, Charlie – powiedział Burt. – Widziałeś już te karty, pamiętasz?

– Oczywiście, że pamiętam!

Sposób, w jaki to powiedziałem, uświadomił mu, że jestem rozgniewany. Spojrzał na mnie zdziwiony.

– Coś nie tak, Charlie?

– Nie, wszystko w porządku. Tylko te plamy wyprowadzają mnie z równowagi.

Burt uśmiechnął się i potrząsnął głową.

– Nie ma powodu, żebyś się denerwował – powiedział. – To jeden ze standardowych testów osobowości. Teraz, proszę, przyjrzyj się tej karcie. Co na niej widzisz? Różni ludzie widzą w tych plamach różne rzeczy. Powiedz mi, czym są dla ciebie… o czym myślisz, patrząc na nie.

Aż mnie poraziło. Popatrzyłem na kartę, a potem na niego. Spodziewałem się, że powie coś zupełnie innego.

– To tu nie ma żadnych obrazków?

Burt zmarszczył brwi i zdjął okulary.

– Co?

– Obrazki! W plamach atramentu. Ostatnim razem mówiłeś, że wszyscy je widzą i że chcesz, żebym też je znalazł!

– Nie, Charlie. Tego nie mogłem powiedzieć.

– O co ci chodzi?! – krzyknąłem na niego. Tak się bałem tych plam, że aż z tego strachu wściekłem się na siebie i na Burta. – Sam mi to powiedziałeś. Może i jesteś taki mądry, że skończyłeś studia, ale to cię nie upoważnia do robienia sobie ze mnie żartów. Mdli mnie, kiedy wszyscy się ze mnie śmieją. Rzygać mi się chce!

Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek przedtem był taki zły. I nie złościłem się wyłącznie na Burta – po prostu nagle wszystko się we mnie zagotowało. Rzuciłem karty na stół i wyszedłem. Korytarzem szedł akurat profesor Nemur; kiedy przebiegłem obok niego, nie mówiąc nawet „Dzień dobry”, od razu zorientował się, że coś jest nie tak. Dogonili mnie z Burtem, kiedy wsiadałem do windy.

– Charlie! – Profesor Nemur złapał mnie za ramię. – Zaczekaj. O co ci chodzi?

Wyrwałem mu się. Głową wskazałem Burta.

– Mam dość śmiejących się ze mnie ludzi. Aż mnie od nich mdli. Tylko o to mi chodzi. Być może przedtem nie zdawałem sobie sprawy z tego, że ludzie się ze mnie śmieją, ale teraz owszem i wcale mi się to nie podoba.

– Nikt tu się z ciebie nie śmieje, Charlie – powiedział Nemur.

– A co z testem Rorschacha? Poprzednio Burt zapewniał mnie, że w plamach ukryte są obrazki… że wszyscy je widzą… i ja…

– Spokojnie, Charlie. Chciałbyś sprawdzić, co dokładnie powiedział ci Burt i co ty powiedziałeś? Całą sesję nagraliśmy. Możemy ci ją odtworzyć, usłyszysz wszystko słowo w słowo.

Wróciłem z nimi na Wydział Psychologii. Uczucia miałem mieszane. Byłem pewien, że ze mnie żartowali, że kpili sobie ze mnie, kiedy byłem za głupi, by się zorientować. Gniew wydawał mi się uczuciem atrakcyjnym; nie miałem zamiaru się poddawać. Byłem gotów do kłótni.

Nemur podszedł do półek poszukać taśmy, Burt tymczasem tłumaczył się:

– Ostatnim razem użyłem niemal dokładnie tych samych słów co dziś. Procedura przeprowadzania testu wymaga, by wyjaśnienia za każdym razem były identyczne.

– Uwierzę ci dopiero po przesłuchaniu taśmy.

Ale na siebie spojrzeli! Poczułem, jak krew napływa mi do twarzy. Znowu się ze mnie śmiali! Lecz nagle zdałem sobie sprawę z tego, co powiedziałem, i słysząc samego siebie, zorientowałem się, dlaczego wymienili te spojrzenia. Wcale się nie śmiali, po prostu wiedzieli, co się ze mną dzieje. Wkroczyłem na wyższy poziom; gniew i podejrzliwość były moimi pierwszymi reakcjami na otaczający mnie świat.

Z taśmy rozległ się donośny głos Burta: „Teraz, proszę, przyjrzyj się tej karcie. Co na niej widzisz? Różni ludzie widzą w tych plamach różne

rzeczy. Powiedz mi… o czym myślisz, patrząc na nie”.

Te same słowa, niemal ten sam ton, którego kilka minut temu użył w laboratorium. Usłyszałem też swe odpowiedzi – dziecinne, tak strasznie głupie.

Padłem na krzesło za biurkiem profesora Nemura.

– To naprawdę ja? – wyszeptałem.

Wróciłem z Burtem do laboratorium. Zrobiliśmy test Rorschacha powoli, karta za kartą. Tym razem odpowiadałem inaczej. W plamach atramentu „widziałem” różne rzeczy. Dwa ciągnące się z wysiłkiem nietoperze. Dwóch mężczyzn walczących na miecze. Wyobrażałem sobie nieprawdopodobne sceny, lecz mimo to stwierdziłem, że nie jestem już w stanie w pełni zaufać Burtowi. Obracałem karty, sprawdzając, czy z tyłu nie wypisano czegoś, czego nie udało mi się dostrzec.

Podglądałem go też, kiedy robił notatki, ale stawiał tylko jakieś znaczki, wyglądające mniej więcej tak:

WF + A DdF-Ad orig. WF – A SF + obj.

Ten test nadal nie miał dla mnie sensu. Wydaje mi się, że każdy może kłamać, nie widząc niczego. Skąd wiedzą, że nie robiłem z nich głupków, opowiadając coś, czego wcale sobie nie wyobrażałem?

Może dowiem się tego wszystkiego, kiedy doktor Strauss pozwoli mi zająć się psychologią. Coraz trudniej przychodzi mi opisywać myśli i uczucia, ponieważ wiem, że ludzie przeczytają to, co napisałem. Może będzie lepiej, jeśli fragmenty dziennika zachowam na razie dla siebie. Muszę spytać doktora Straussa.

Dlaczego nagle zaczęło mnie to niepokoić?

Dziennik 10

21 kwietnia – Wymyśliłem nowy sposób ustawienia mieszarek w piekarni, tak by przyspieszyć produkcję. Pan Donner twierdzi, że oszczędzi mu to wydatków na pracowników i zwiększy zyski. Dał mi pięćdziesiąt dolarów premii i dziesięć dolarów tygodniowo podwyżki.

Chciałem zabrać Joego Carpa i Franka Reilly'ego na lunch, żeby uczcić tę okazję, ale Joe musiał kupić coś dla żony, a Frank spotykał się z kuzynem. Wygląda na to, że przyzwyczajenie się do zmian, jakie we mnie zaszły, może zabrać im trochę czasu.

Mam wrażenie, że wszyscy tu się mnie boją. Kiedy podszedłem do Gimpy'ego i poklepałem go po ramieniu, żeby zwrócić na siebie uwagę i o coś go zapytać, aż podskoczył i ochlapał się kawą. Kiedy myśli, że nie patrzę, nic tylko się na mnie gapi. Nikt tu już ze mną nie rozmawia, nikt nie żartuje ze mną jak niegdyś. Czuję się trochę samotny.

Myślę o tym i przypominam sobie, jak zasnąłem na stojąco i Frank wykopał spode mnie nogi. Ciepło, słodki zapach, białe ściany, ryk pieca, który Frank otworzył, by przełożyć bochenki.

Padam nagle… padam… nie mam się na czym oprzeć, uderzam głową w ścianę.

To ja, ale jest tak, jakby leżał tam ktoś inny. Jakiś inny Charlie. Nie wie, o co chodzi… pociera stłuczoną głowę… patrzy na wysokiego, chudego

Franka, a potem na stojącego obok masywnego, włochatego Gimpy’ego z krzaczastymi brwiami niemal zasłaniającymi niebieskie oczy.

– Zostaw dzieciaka w spokoju – mówi Gimpy. – Jezu, Frank, dlaczego ty się go bez przerwy czepiasz?

– Jak to, czepiasz? – śmieje się Frank. – Przecież nic mu nie zrobiłem. On z niczego nie zdaje sobie sprawy. Prawda, Charlie?

Charlie pociera stłuczoną głowę. Cofa się, kuli. Nie wie, czym zasłużył sobie na karę, ale przecież zawsze jest możliwe, że ukarzą go jeszcze dotkliwiej.

– Ale ty zdajesz sobie sprawę, prawda? – mówi Gimpy, tupiąc ciężkim ortopedycznym butem. – Więc czemu bez przerwy się go czepiasz?

Obaj siadają przy długim stole, wysoki Frank i tęgi Gimpy, kształtując ciasto na bułki, które trzeba wypiec na wieczór. Przez chwilę pracują w milczeniu. Frank nieruchomieje nagle, przesuwa białą czapkę na tył głowy.

– Hej, Gimp, myślisz, że Charlie nauczyłby się wypiekania bułek?

Gimpy podpiera głowę ramieniem.

– Dlaczego po prostu nie zostawisz go w spokoju?

– Nie, słuchaj, mówię poważnie. Założę się, że można go nauczyć czegoś tak prostego jak wypiekanie bułek.

Gimpy’emu najwyraźniej spodobał się ten pomysł. Obraca się, patrzy na Charliego.

– Wiesz, może i masz rację. Charlie, podejdź no tu na chwilkę.

Jak zwykle, gdy o nim mówią, Charlie ma opuszczoną głowę i patrzy na swoje sznurówki. Umie je wiązać. Mógłby robić bułki. Nauczyłby się ważyć i ugniatać ciasto, formować małe bułki.

Frank tymczasem jakby stracił trochę pewności siebie.

– Może nie powinniśmy, Gimp? Może źle robimy? Jeśli tępak nie jest w stanie nauczyć się niczego, może nie powinniśmy zaczynać?

– Zostaw to mnie. – Pomysł Franka najwyraźniej zaczął się Gimpy’emu podobać. – Moim zdaniem potrafi się czegoś nauczyć. Słuchaj, Charlie. Chcesz się czegoś nauczyć? Chcesz, żebym ci pokazał, jak robi się takie bułki jak te, które właśnie robimy z Frankiem?

Charlie gapi się na niego, a uśmiech spełza mu z twarzy. Rozumie, co mówi Gimpy, i czuje się osaczony. Chciałby sprawić Gimpy’emu przyjemność, ale w słowach „nauczyć” i „pokazać” jest coś takiego… coś, co pamięta, wspomnienie okrutnej kary. Nie wie dokładnie jakiej, ale widzi wzniesioną szczupłą, bladą dłoń bijącą go, bo powinien nauczyć się czegoś, czego po prostu nie jest w stanie się nauczyć.

Charlie cofa się, ale Gimpy chwyta go za ramię.

– Hej, mały, nie bój się – mówi. – Nie chcę cię skrzywdzić. Popatrz, trzęsie się jak wyjęty z wody szczeniak. Słuchaj, Charlie, mam nowiutki błyszczący amulet na szczęście. Jeśli chcesz, możesz się nim pobawić. – Wyciąga rękę, a w dłoni trzyma mosiężny łańcuszek z wiszącym na nim mosiężnym dyskiem, na którym znajdują się słowa „Sta-Brite, pasta do metalu”. Łańcuszek trzyma w palcach, dysk wiruje powoli, odbijając światło lamp fluorescencyjnych. Charlie pamięta skądś błysk światła, ale nie wie co i nie wie dlaczego.

A jednak nie wyciąga ręki. Wie, że jeśli weźmie coś, co nie należy do niego, zostanie ukarany. Jeśli ktoś wkłada ci coś do ręki, w porządku. Lecz jeśli nie, to źle. Kiedy widzi, że Gimpy naprawdę chce mu dać amulet, uśmiecha się i kiwa głową.

– To pojął bezbłędnie – śmieje się Frank. – Wystarczy dać mu jakąś błyskotkę. – Pozwolił Gimpy’emu pokierować wymyślonym przez siebie eksperymentem. Teraz, podniecony, pochyla się do przodu. – Jeśli

wystarczająco mocno pragnie się pobawić tym śmieciem, może zdołamy nauczyć go, jak ugniatać ciasto na bułki. Może nam się uda.

Piekarze postanawiają uczyć Charliego, a wokół nich zbiera się cały zespół. Frank czyści fragment blatu, Gimpy wybiera kawałek ciasta, z którym ma pracować Charlie. Niektórzy zakładają się, czy Charlie zdoła się czegokolwiek nauczyć.

– Słuchaj nas uważnie – mówi Gimpy, kładąc amulet na stole tak, żeby Charlie go widział. – Patrz i zapamiętaj, co robimy. Jeśli nauczysz się robić bułki, dostaniesz ten amulet na zawsze.

Charlie siedzi zgarbiony na stołku, szeroko otwartymi oczami wpatrując się w Gimpy'ego, który bierze nóż i ucina nim kawałek ciasta. Studiuje każdy jego ruch. Gimpy wałkuje długi kawałek ciasta, urywa fragment i zwija, przerywając od czasu do czasu, by posypać go mąką.

– A teraz patrz na mnie – mówi Frank i powtarza wykonane przez poprzednika czynności.

Charlie jest zmieszany. Przecież nie robią tego tak samo. Wałkując ciasto, Gimpy rozstawia łokcie jak ptak skrzydła, Frank zaś przyciska je do ciała. Ugniatając ciasto, Gimpy trzyma kciuki z innymi palcami, Frank pracuje głównie samą dłonią, kciuki ma rozstawione, wygięte w górę.

Charlie tak bardzo martwi się tymi drobiazgami, że kiedy Gimpy woła go do stołu, nie może wstać i podejść.

– Chodź, spróbuj – powtarza Gimpy.

Charlie tylko potrząsa głową.

– Słuchaj, Charlie, powtórzę wszystko jeszcze raz, powoli, a ty będziesz patrzył i robił bułki wraz ze mną. Dobrze? Tylko staraj się zapamiętać, co i jak, żebyś później potrafił powtórzyć to sam. No już… patrz.

Ze zmarszczonymi brwiami Charlie patrzy, jak Gimpy bierze kawałek ciasta i zwija go w kulę. Waha się, ale w końcu chwyta nóż, odcina kawałek

dla siebie i kładzie go pośrodku stołu. Powoli, trzymając łokcie dokładnie tak, jak trzyma je Gimpy, zwija ciasto w kulę.

Przenosi wzrok ze swych rąk na ręce nauczyciela. Bardzo uważa, by identycznie trzymać palce: kciuki przyciśnięte do pozostałych i lekko zgięte. Musi to zrobić dobrze, dokładnie tak, jak wymaga Gimpy. Jakiś głos powtarza mu w głowie: „Zrób to dobrze, a polubią cię". Bardzo mu zależy na tym, żeby Frank i Gimpy go lubili.

Gimpy zwinął ciasto w kulę i odszedł od stołu. Charlie naśladuje każdy jego ruch.

– Hej, świetnie! Zobacz, Frank, jak dobrze sobie radzi.

Frank uśmiecha się i kiwa głową. Charlie wzdycha. Cały aż drży z napięcia. Nie jest przyzwyczajony do pochwał, niewiele ich w życiu słyszał.

– Doskonale – mówi Gimpy. – Teraz zrobimy bułkę.

Niezgrabnie, lecz bardzo uważnie Charlie naśladuje jego ruchy. Czasami, kiedy drgnie mu ręka, kiedy bardziej się zdenerwuje, zostawia na cieście ślad, ale w końcu udaje mu się skręcić je w coś podobnego do tego, czego po nim oczekują. Pracując wraz z Gimpym, robi sześć bułek. Posypuje je mąką i ostrożnie ustawia na wielkiej, również pokrytej mąką tacy.

– Bardzo dobrze – mówi Gimpy. Twarz ma poważną. – A teraz sprawdzimy, jak sam sobie z tym poradzisz. Pamiętasz wszystko, od samego początku?

Charlie patrzy na wielki kawał ciasta i na nóż, który Gimpy wetknął mu w dłoń, i nagle znów wpada w panikę. Co ma zrobić na początku? Jak trzymać ręce? A palce? W którą stronę potoczyć ciasto, żeby zrobiła się kula? Do tego taka równa. W głowie kotłują mu się tysiące takich pytań, a on stoi nieruchomo i tylko się uśmiecha. Chce zrobić bułkę, chce sprawić przyjemność Frankowi i Gimpy'emu, chce, żeby go lubili, i chce dostać ten

śliczny błyszczący amulet, który Gimpy mu obiecał. Toczy po stole wielki, gładki kawałek ciasta, toczy go tam i z powrotem, ale nie potrafi zacząć. Nie potrafi przeciąć ciasta, bo wie, że może mu się to nie udać… i bardzo się boi.

– Już zapomniał – mówi Frank. – Nic mu się głowy nie trzyma.

Bardzo chciałby, żeby się trzymało. Marszczy czoło, próbuje sobie przypomnieć: najpierw trzeba odciąć kawałek ciasta, potem zwinąć go w kulę. Tylko skąd się biorą takie śliczne bułki jak te, które już leżą na tacy? To coś zupełnie innego. Potrzebuje czasu, zaraz sobie przypomni. Przypomni sobie, jak tylko przestanie mu się kręcić w głowie. Jeszcze kilka sekund i na pewno sobie przypomni. Tak bardzo pragnie zapamiętać to, czego się nauczył… choćby na chwilkę. Tak bardzo pragnie pamiętać.

– W porządku, Charlie – wzdycha Gimpy, wyjmując mu z ręki nóż. – Nic się nie stało. Nie przejmuj się. To i tak nie twoja robota.

Z pewnością by sobie przypomniał. Gdyby go tylko nie poganiali. Dlaczego wszystko na świecie trzeba robić tak pośpiesznie?

– Idź już, Charlie – mówi Gimpy. – Usiądź, pooglądaj sobie komiksy. Musimy wracać do pracy.

Charlie kiwa głową. Uśmiecha się. Wyciąga komiks z tylnej kieszeni spodni. Wygładza go i wkłada na głowę jak wyimaginowany kapelusz. Frank śmieje się. Gimpy wreszcie też się uśmiecha.

– Idź, ty wielkie dziecko – parska. – Usiądź sobie w kącie, póki pan Donner cię nie potrzebuje.

Charlie uśmiecha się do niego. Siada obok wielkich worków mąki, przy mieszarkach. Lubi siedzieć na podłodze, opierać się o worki i oglądać obrazki w komiksie. Zaczyna przewracać kartki. Jest taki smutny, że miałby ochotę płakać, ale nie wie czemu. Właściwie dlaczego miałby być smutny? Wrażenie oszołomienia pojawiło się i znikło, a teraz przecież czeka go

przyjemność, jaką zawsze sprawia mu oglądanie bardzo kolorowych obrazków w książeczce, którą przegląda po raz trzydziesty, a może czterdziesty. Zna wszystkie postacie, wielokrotnie dopytywał się o ich imiona (pyta o to chyba każdego, kogo spotka), rozumie także, że dziwne znaczki w dymkach nad postaciami – litery i słowa – oznaczają, że one coś mówią. Czy kiedykolwiek nauczy się czytać to, co jest w dymkach? Gdyby dali mu czas, gdyby go nie popędzali, gdyby nie wymagali wszystkiego natychmiast, nauczyłby się. Ale przecież nikt nie ma czasu.

Charlie podciąga nogi i otwiera książeczkę na pierwszej stronie. Batman i Robin wspinają się po linie wzdłuż ściany wieżowca. Postanawia, że kiedyś nauczy się czytać. I wtedy przeczyta, o czym rozmawiają bohaterowie komiksu. Czuje, że ktoś kładzie mu dłoń na ramieniu. Podnosi wzrok. To Gimpy, który trzyma w ręku mosiężny dysk na łańcuszku. Kręci nim tak, że w dysku odbija się światło.

– Masz – mówi, rzuca amulet na kolana Charliego i odchodzi, kulejąc.

Nigdy przedtem o tym nie myślałem, ale Gimpy zachował się bardzo przyzwoicie. Dlaczego postąpił w ten sposób? W każdym razie tak wygląda to we wspomnieniu, wyraźniejszym i dokładniejszym niż wszystko, czego doświadczyłem do tej pory. To jak patrzeć przez kuchenne okno rankiem, kiedy świat jest jeszcze szary. Od tego czasu przeszedłem długą drogę, a wszystko, co teraz mam, zawdzięczam doktorowi Straussowi, profesorowi Nemurowi i innym tu, na uniwersytecie.

Tylko co Gimpy i Frank myślą, widząc, jak bardzo się zmieniłem?

22 kwietnia – Ludzie w piekarni też się zmieniają. Już nie tylko ignorują mnie, czuję także wyraźną wrogość. Donner załatwia mi członkostwo w związku piekarzy, dostałem też kolejną podwyżkę. Najgorsze jest jednak to, że nie odczuwam żadnej przyjemności, ponieważ nikt już mnie nie lubi. Nie wiem, kogo właściwie miałbym za to winić. Ci ludzie nie rozumieją, co się ze mną dzieje, a ja nie mogę im niczego wyjaśnić. Spodziewałem się, że będą ze mnie dumni, a tymczasem… nic takiego. Wręcz przeciwnie.

Ale muszę przecież z kimś pogadać. Poproszę panią Kinnian, żeby poszła ze mną jutro do kina, dla uczczenia podwyżki. Jeśli wystarczy mi śmiałości.

24 kwietnia – Profesor Nemur zgodził się w końcu z doktorem Straussem i ze mną, że nie mogę zapisywać wszystkiego ze świadomością, że natychmiast zostanie to przeczytane przez ludzi z laboratorium. Próbowałem być całkowicie szczery we wszystkich przypadkach, niezależnie od tego, o kim pisałem, ale są pewne rzeczy, których nie napiszę, jeśli nie będę mógł zachować ich dla siebie… przynajmniej przez jakiś czas.

Pozwolono mi więc nie pokazywać nikomu pewnych fragmentów dziennika, lecz przed złożeniem Fundacji Welberga pełnego sprawozdania profesor Nemur będzie miał prawo przeczytać wszystko i zdecydować, co powinno zostać opublikowane.

Dziś w laboratorium zdarzyło się coś bardzo niepokojącego.

Poszedłem tam po południu, nieco wcześniej niż zwykle. Chciałem zapytać doktora Straussa albo profesora Nemura, czy nie mają nic przeciwko temu, żebym zaprosił Alice Kinnian do kina, ale nim zdążyłem

zapukać, usłyszałem, że się kłócą. Powinienem odejść, ale trudno jest przezwyciężyć stare nawyki. Przecież ludzie zawsze rozmawiali przy mnie, zachowując się tak, jakbym w ogóle nie istniał, jakby nie obchodziło ich, co podsłucham.

Ktoś walnął pięścią w biurko, a potem profesor Nemur krzyknął:

– Poinformowałem już komitet w Chicago, że przedstawimy im wyniki naszych badań.

– Popełniłeś błąd, Haroldzie – powiedział doktor Strauss. – Sześć tygodni od dziś to stanowczo za wcześnie. On nadal się zmienia.

– Jak dotąd nasze przewidywania okazały się trafne. Mamy prawo przedstawić wstępny raport. Mówię ci, Jay, nie ma się czego bać. Odnieśliśmy sukces. Bez żadnych, najmniejszych wątpliwości. Wszystko pójdzie dobrze.

– Ta sprawa jest dla nas zbyt ważna, by przedstawić ją opinii publicznej przedwcześnie – zauważył Strauss. – Wszystkie zasługi przypisujesz sobie…

– Nie zapominaj, że kieruję tym projektem.

– …zapominając, że nie tylko ty musisz brać pod uwagę swą reputację. Jeśli za bardzo się wychylimy, rozpocznie się generalny atak.

– Przestałem obawiać się regresu. Sprawdzałem wszystkie dane nie raz, lecz kilka razy. Wstępny raport nie wyrządzi nam żadnej szkody. Jestem pewien, że wszystko pójdzie dobrze.

Kłótnia bynajmniej się na tym nie skończyła. Strauss zarzucił Nemurowi, że robi to, co robi, bo chce zostać dziekanem psychologii w Hallston, Nemur z kolei zarzucał Straussowi, że jedzie na jego opinii i jego badaniach psychologicznych. W końcu Strauss powiedział, że projekt tyle samo zawdzięcza technikom psychochirurgii i wzorom wstrzykiwania enzymów co teoriom Nemura i że w przyszłości tysiące neurochirurgów stosować

będzie *jego* metody, na co Nemur przypomniał mu, że tych nowych metod nie byłoby, gdyby nie *jego* teorie.

Wyzywali się nawzajem od oportunistów, cyników i pesymistów, a ja zacząłem się bać. Nagle zdałem sobie sprawę, że nie mam prawa stać tak pod drzwiami gabinetu i przysłuchiwać się rozmowie bez ich wiedzy. Kiedyś byłem zbyt słaby na umyśle, by zrozumieć, o co chodzi, ale teraz wiedziałem już, że nie chcieliby, bym podsłuchiwał.

Odszedłem, nie czekając, aż skończą.

Na dworze zrobiło się ciemno. Spacerowałem dłuższy czas, próbując zrozumieć, dlaczego aż tak się przestraszyłem. Po raz pierwszy zobaczyłem ich takimi, jacy naprawdę byli: widziałem nie bogów, nie herosów nawet, lecz po prostu ludzi pragnących, by ich praca się nie zmarnowała. A jednak, jeśli Nemur ma rację, a eksperyment jest sukcesem, co z tego, że są tacy zwykli? Tyle jest jeszcze do zrobienia, tyle pytań pozostaje bez odpowiedzi.

Zaczekam do jutra z pytaniem, czy mogę zaprosić panią Kinnian do kina dla uczczenia podwyżki.

26 kwietnia – Wiem, że nie powinienem włóczyć się po uniwersytecie, kiedy skończę już zajęcia w laboratorium, ale widok młodych ludzi spacerujących z książkami pod pachą i słuchanie, jak rozmawiają o tym, czego się nauczyli, są niesłychanie ekscytujące. Żałuję, że nie mogę przysiąść się do nich w kawiarni, pić z nimi kawy i dyskutować o książkach, polityce, ideach, nauce, poezji i filozofii – o Szekspirze i Miltonie, o Newtonie, Einsteinie i Freudzie, o Platonie, Heglu i Kancie, i o innych geniuszach, których imiona rozbrzmiewają mi w głowie niczym echo wielkiego dzwonu.

Czasami słucham rozmów toczących się przy sąsiednich stolikach, udając, że sam jestem studentem, choć oczywiście oni wszyscy są znacznie młodsi ode mnie. Noszę pod pachą książki, zacząłem nawet palić fajkę. Głupie to, ale skoro moje miejsce jest w laboratorium, mam wrażenie, że jestem częścią uniwersytetu. Nienawidzę wracać do tego pustego pokoju.

27 kwietnia – W kawiarni zaprzyjaźniłem się z kilkoma chłopcami. Kłócili się o to, czy to Szekspir napisał sztuki Szekspira. Jeden z nich – gruby, ze spoconą twarzą – twierdził, że wszystkie sztuki Szekspira napisał Marlowe. Lenny natomiast – niewysoki, w ciemnych okularach – nie wierzył w Marlowe'a i był zdania, że napisał je sir Francis Bacon, gdyż Szekspir nie uczęszczał na uniwersytet i nie miał wykształcenia, które tak wyraźnie widać w jego sztukach. Wtedy wtrącił się ktoś w czapeczce pierwszoroczniaka i oznajmił, że słyszał, jak w toalecie kilku studentów dyskutowało o tym, że sztuki Szekspira napisała kobieta.

Potem rozmawiali o polityce, sztuce i Bogu. Nigdy przedtem nie słyszałem nikogo twierdzącego, że Boga może nie być. To mnie przestraszyło, bo po raz pierwszy zacząłem się zastanawiać, czym jest Bóg.

Zrozumiałem teraz, że wykształcenie zdobywa się głównie po to, by uświadomić sobie, iż rzeczy, w które wierzyło się całe życie, nie są prawdą i nic nie jest takie, jakie się wydaje.

Kiedy oni kłócili się tak i dyskutowali, czułem, jak rośnie we mnie podniecenie. Tego przecież zawsze chciałem – pójść na studia i słuchać, jak ludzie rozmawiają o ważnych rzeczach.

Większość wolnego czasu spędzam teraz w bibliotece, czytając i nasiąkając wiedzą z książek. Nie skupiam uwagi na niczym szczególnym, po prostu czytam mnóstwo powieści: Dostojewskiego, Flauberta, Dickensa,

Hemingwaya, Faulknera, wszystko, co wpadnie mi w ręce, próbując nasycić głód, którego nie da się nasycić.

28 kwietnia – W nocy, we śnie, słyszałem mamę krzyczącą na tatę i nauczycielkę w Szkole Podstawowej nr 13 (tej, z której przeniesiono mnie do Szkoły Podstawowej nr 222)…

– Jest normalny! Jest normalny! Wyrośnie na zwykłego człowieka! Lepszego niż inni! – Rzuciła się na nauczycielkę i próbowała drapać, ale tata ją powstrzymał. – Pójdzie na studia! Będzie *kimś*! – Krzyczała i próbowała drapać tatę za to, że ją przytrzymywał. – Pójdzie na studia! Będzie kimś!

Byliśmy w gabinecie dyrektora wraz z mnóstwem ludzi sprawiających wrażenie zawstydzonych. Zastępca dyrektora odwrócił głowę, by nikt nie widział, że się uśmiecha.

W moim śnie dyrektor miał długą brodę. Unosił się w powietrzu i wskazywał mnie palcem.

– Musi iść do szkoły specjalnej. Wyślijcie go do przytułku Warren, tam jest szkoła. Nie możemy go tu tolerować.

Tata wyciągał mamę z gabinetu, mama krzyczała i płakała. Nie widziałem jej twarzy, czułem tylko spadające na mnie wielkie, czerwone łzy…

Rano pamiętałem ten sen, ale teraz pamiętam jeszcze coś – choć niewyraźne, pojawiają się wspomnienia z czasów, kiedy miałem sześć lat i to wszystko naprawdę się zdarzyło. Tuż przed przyjściem na świat Normy. Widzę mamę, chudą ciemnowłosą kobietę, która za szybko mówiła i zbyt

żywo gestykulowała. Jej twarz jest, jak zawsze, zamazana. Włosy upięte ma w kok, często podnosi ręce i dotyka go, jakby chciała się upewnić, że nadal jest na miejscu. Pamiętam, że zawsze kręciła się koło ojca, wymachiwała rękami jak wielki biały ptak skrzydłami, a ojciec był zbyt ciężki i zbyt zmęczony, by się jej sprzeciwić.

Widzę Charliego, stojącego pośrodku kuchni, bawiącego się wisiorkiem: kolorowymi koralikami i pierścionkami nawleczonymi na sznurek. Trzyma sznurek w jednej ręce, a drugą obraca pierścionki tak, że zwijają się i rozwijają. Spędza całe godziny, obserwując wisiorek. Nie wiem, kto go dla niego zrobił i co się z nim stało, ale widzę Charliego, jak stoi, zafascynowany, patrząc na rozwijający się sznurek i obracające się pierścionki.

Matka krzyczy na niego… nie, krzyczy na jego ojca.

– Nie zabiorę go! Nic mu nie jest!

– Rose, nie ma sensu udawać dłużej, że nic mu nie jest. Tylko na niego popatrz. Ma sześć lat i…

– Nie jest idiotą! To normalny chłopiec! Będzie jak inni!

Ojciec ze smutkiem patrzy na swojego syna. Charlie uśmiecha się i podnosi rączkę, by pokazać mu, jaki śliczny jest wisiorek, kiedy tak obraca się i obraca…

– Odłóż to! – krzyczy matka. Nagłym gestem wytrąca go z ręki chłopca; wisiorek z trzaskiem spada na kuchenną podłogę. – Idź bawić się klockami z alfabetem!

Charlie stoi nieruchomo, przerażony jej nagłym wybuchem. Zasłania się, nie wiedząc, co matka jeszcze zrobi. Cały drży. Kłócą się; słyszy ich głosy, ma wrażenie, że coś ściska mu się w żołądku, czuje paniczny strach.

– Charlie, idź do łazienki. Nie waż się zrobić w majtki!

Tak bardzo pragnie być posłuszny, ale nogi ma zbyt miękkie, by zdołał się ruszyć. Odruchowo podnosi rączki, by osłonić główkę przed uderzeniami.

– Na miłość boską, Rose, zostaw go w spokoju. Boi się ciebie. Zawsze na niego wrzeszczysz i biedny dzieciak…

– To dlaczego mi nie pomożesz? Wszystko muszę robić sama. Codziennie próbuję go czegoś nauczyć… pomóc mu dogonić innych. Nie jest zbyt bystry, nic więcej. Może się uczyć jak wszyscy.

– Sama się oszukujesz. To nie w porządku w stosunku do nas i do niego. Udawać, że jest normalny. Tresować go, jakby był zwierzątkiem niepotrafiącym nauczyć się sztuczek. Dlaczego nie zostawisz go w spokoju?

– Bo chcę, żeby był jak wszystkie dzieci.

Kłócą się, a Charliego coraz mocniej ściska w żołądku. Ma wrażenie, że kiszki mu pękną, i wie, że powinien pójść do łazienki, matka powtarzała mu to tak często. Ale nie jest w stanie się ruszyć. Chciałby usiąść tu, gdzie stoi, na kuchennej podłodze, ale to źle i wie, że dostałby lanie.

Chce wisiorek. Gdyby trzymał w ręce swój wisiorek, gdyby mógł patrzeć, jak się obraca, z pewnością zdołałby się opanować i nie zrobić w majtki. Ale wisiorek rozpadł się, niektóre pierścionki leżą pod stołem, inne pod zlewem, sznurek zaś poleciał aż pod piecyk.

Dziwne – rozpoznaję ich głosy, ale nadal nie widzę wyraźnie twarzy, tylko zamazane kształty. Tata jest potężny, siedzi zgarbiony, mama jest chuda, porusza się szybko. Słuchając ich, kłócących się całe lata temu, mam ochotę krzyknąć: „Popatrzcie! Popatrzcie na niego! Charlie musi iść do toalety!”.

Kłócą mu się tak nad głową, a Charlie mnie w rączkach czerwoną kraciastą koszulę. Słowa wybuchają nad nim niczym wielkie zimne ognie, oznaka gniewu i poczucia winy, których nie potrafi rozpoznać.

– We wrześniu wraca do trzynastki. Będzie powtarzał klasę.

– Dlaczego nie spojrzeć prawdzie w oczy? Nauczycielka twierdzi, że nie radzi sobie z programem!

– Ta suka? O, mogę ją nazwać jeszcze gorzej. Niech tylko znów spróbuje ze mną zadrzeć, a nie poprzestanę na napisaniu do kuratorium. Wydrapię oczy tej zdzirze! Charlie, co ty robisz z tą koszulą? Idź do łazienki. Sam. Przecież wiesz, co powinieneś zrobić.

– Nie widzisz, że chce, byś z nim poszła? Jest przerażony!

– Trzymaj się od tego z daleka! Sam doskonale potrafi pójść do łazienki. W książce piszą, że doda mu to pewności siebie, że będzie miał poczucie sukcesu.

Charliego paraliżuje strach przed tym, co czeka go w owym małym, zimnym pomieszczeniu. Boi się pójść tam sam. Sięga po jej dłoń, szlocha: „Ku… kupa…”. Matka odtrąca jego rękę.

– Nie – mówi stanowczo. – Jesteś już dużym chłopcem. Masz natychmiast iść do łazienki i zdjąć spodnie, tak jak cię uczyłam. Ostrzegam, że jeśli zrobisz w majtki, dostaniesz lanie.

Nawet teraz czuje, jak skręcają mu się wnętrzności, podczas kiedy tych dwoje stoi nad nim i czeka, co zrobi. Szloch i z trudem wyjękiwane słowa zmieniają się w cichy płacz i nagle Charlie nie potrafi się już kontrolować. Wybucha płaczem, zasłania główkę rękami i robi w majtki.

Jest miękkie i ciepłe, a on czuje jednocześnie ulgę i strach. To, co zrobił, jest jego częścią, ale ona mu to odbierze, jak wszystko, zatrzyma dla siebie. I będzie go bić. Już podchodzi, krzycząc, że jest złym chłopcem. Charlie rzuca się po pomoc w ramiona ojca.

Nagle przypominam sobie, że ona ma na imię Rose, a on ma na imię Matt. Zdumiewające tak zapomnieć imiona rodziców. A Norma? Dziwne, że od bardzo, bardzo dawna nawet o nich nie pomyślałem. Żałuję, że nie widzę teraz twarzy Matta, że nie dowiem się, co myślał w tamtej chwili. Pamiętam tylko, że kiedy zaczęła mnie bić, Matt Gordon odwrócił się i wyszedł z mieszkania.

Chciałbym wyraźniej widzieć ich twarze.

Dziennik 11

1 maja – Jakim cudem do tej pory nie zauważyłem, że Alice Kinnian jest piękna? Ma ciepłe, łagodne piwne oczy i miękkie kasztanowate włosy niemal sięgające ramion. Kiedy się uśmiecha, jej pełne wargi wyglądają, jakby je wydymała.

Poszliśmy do kina, a potem na kolację. Niewiele widziałem z pierwszego filmu, zbyt świadom jej obecności u mego boku. Jej nagie ramię dwukrotnie dotknęło mojego na oparciu fotela; za każdym razem, przestraszony, że ją to zirytuje, cofałem się. Potrafiłem myśleć wyłącznie o jej ciele tuż przy moim. W pewnym momencie, dwa rzędy przed nami, dostrzegłem młodego człowieka obejmującego dziewczynę i zapragnąłem tak ją objąć. Przerażający pomysł. Gdybym jednak zrobił to bardzo powoli… najpierw położył dłoń na oparciu fotela… potem przesunął ją odrobinę… centymetr po centymetrze… blisko jej ramienia… na szyję…

Nie ośmieliłem się.

Zdołałem zaledwie dotknąć łokciem oparcia jej fotela, ale kiedy mój łokieć wreszcie znalazł się na miejscu, musiałem go zdjąć, by wytrzeć pot z czoła i karku.

Raz jeden, na moment, zetknęły się nasze kolana.

Była to taka męka… taki ból… że zmusiłem się, by przestać o niej myśleć.

Pierwszy szedł film wojenny; widziałem z niego wyłącznie zakończenie, w którym żołnierz wraca do Europy poślubić kobietę, która uratowała mu życie. Drugi był film psychologiczny i ten mnie zainteresował. Opowiadał

o dwojgu ludziach, którzy najwyraźniej kochali się, lecz tak naprawdę niszczyli. Przebieg akcji sugerował, że mąż zamierza zabić żonę, lecz w ostatniej chwili coś, co żona wykrzyknęła, śniąc koszmar, sprawiło, że przypomniał sobie zdarzenie z dzieciństwa. Nagłe wspomnienie uświadomiło mu, że jego nienawiść skierowana jest przeciw złej opiekunce, która opowiadała mu straszne historie, pozostawiając skazę na jego osobowości. Podniecony tym odkryciem, bohater krzyczy z radości. Żona budzi się, on bierze ją w ramiona i w ten sposób próbuje się nas przekonać, że wszystkie ich problemy zostały rozwiązane. To zakończenie wydało mi się ckliwe, tanie i najwyraźniej jakoś okazałem gniew, bo Alice zapytała, co się stało.

– Ten film kłamał – wyjaśniłem, kiedy wychodziliśmy z kina. – Nic nie dzieje się tak prosto.

– Oczywiście, że nie! – roześmiała się Alice. – Przecież to fikcja.

– Ale to żadne wytłumaczenie – odparłem z naciskiem. – Nawet w świecie fikcji muszą istnieć jakieś zasady. Fragmenty świata powinny do siebie pasować i ułożyć się w całość. Tego rodzaju filmy po prostu kłamią. Kawałki układanki wciska się na siłę na miejsce, ponieważ scenarzysta, reżyser czy kto tam jeszcze życzy sobie mieć je tam, gdzie zupełnie nie pasują. Nie ma wrażenia prawdy.

Alice przyjrzała mi się z namysłem. Weszliśmy na oświetlony mnóstwem jaskrawych świateł Times Square.

– Rozwijasz się błyskawicznie – powiedziała.

– Nic nie wiem. Nie wiem, co wiem.

– To bez znaczenia – stwierdziła stanowczo. – Zaczynasz patrzeć, widzieć i rozumieć. – Ruchem ręki objęła otaczający nas błyszczący, neonowy świat. Szliśmy w kierunku Siódmej Alei. – Zaczynasz dostrzegać,

co kryje się pod powierzchnią rzeczy. To, co powiedziałeś o fragmentach, które muszą ułożyć się w całość, było… wyjątkowo trafne.

– Och, nie przesadzaj, proszę. Nie czuję, bym osiągnął cokolwiek. Nie rozumiem ani samego siebie, ani swej przeszłości. Nie wiem nawet, gdzie mieszkają moi rodzice, nie pamiętam ich twarzy! Wiesz, że kiedy ich twarze pojawiają mi się we śnie albo w przebłysku wspomnień, są zawsze zamazane? Nigdy nie zrozumiem, co się dzieje, jeśli nie będę widział ich twarzy…

– Uspokój się, Charlie. – Ludzie zaczęli się za nami oglądać. Wzięła mnie pod ramię, przyciągnęła, próbowała uspokoić. – Cierpliwości. Nie zapomnij, że na to, co tobie zajmuje tygodnie, ludzie pracują całe życie. Jesteś jak wielka gąbka nasiąkająca wiedzą. Wkrótce części zaczną się łączyć w całość i zrozumiesz, jakie są związki pomiędzy różnymi rodzajami wiedzy. Na wszystkich poziomach, Charlie. To jakbyś wchodził po ogromnej drabinie. Będziesz się wspinał coraz wyżej i wyżej, wokół siebie zaczniesz dostrzegać coraz więcej świata.

Weszliśmy do baru przy Czterdziestej Piątej Ulicy. Wzięliśmy tace. Alice nadal przemawiała z zapałem:

– Zwykli ludzie widzą tylko fragmenty. Nie mogą się zmienić, nie mogą wejść wyżej, niż już są, ale ty jesteś geniuszem. Będziesz wspinał się coraz wyżej, widział coraz więcej, a z każdym krokiem będą otwierać się przed tobą światy, o których istnieniu nie miałeś nawet pojęcia.

Stojący w kolejce ludzie zaczęli się na mnie gapić. Musiałem trącić ją w ramię, żeby nieco ściszyła głos.

– W Bogu nadzieja – dodała szeptem – że po drodze nie spotka cię krzywda.

Przez dłuższą chwilę po prostu nie wiedziałem, co powiedzieć. Wzięliśmy jedzenie, zanieśliśmy je do naszego stolika i zjedliśmy, nie

rozmawiając. Milczenie denerwowało mnie. Wiedziałem, czego się obawia, i zbyłem jej strach żartem.

– Dlaczego miałaby mnie spotkać krzywda? W żadnym wypadku nie będzie mi gorzej, niż było. Nawet Algernon nadal jest mądry, prawda? Tak długo, jak z nim wszystko w porządku, nie mam się czego obawiać.

Bawiła się nożem, wyciskając nim dołki w kawałku masła. Czułem się tak, jakby mnie hipnotyzowała.

– A poza tym – powiedziałem jej – podsłuchałem coś… profesor Nemur i doktor Strauss spierali się. Nemur jest pewien, że wszystko pójdzie dobrze.

– Mam nadzieję. Nie potrafisz sobie nawet wyobrazić, jak strasznie się denerwowałam, że coś pójdzie nie tak. Czuję się częściowo odpowiedzialna. – Dostrzegła, że gapię się na nóż, i położyła go obok talerza.

– Nigdy bym się na to nie zdecydował, gdyby nie ty – stwierdziłem.

Roześmiała się, a mnie przeszył dreszcz. To wtedy dostrzegłem, jakie ma łagodne piwne oczy. Natychmiast opuściła wzrok na obrus. Zarumieniła się.

– Dziękuję, Charlie – powiedziała i wzięła mnie za rękę.

Nigdy przedtem nie doświadczyłem takiego uczucia. Ośmieliło mnie ono. Pochyliłem się, nie wypuszczając jej dłoni, a słowa same wyrwały mi się z ust.

– Bardzo cię lubię.

Kiedy to powiedziałem, przestraszyłem się, że się roześmieje, ale ona tylko uśmiechnęła się i skinęła głową.

– Ja też cię lubię, Charlie – odparła.

– Ale ja nie tylko cię lubię. Chciałem powiedzieć… o, do diabła, sam nie wiem, co chciałem powiedzieć!

Wiedziałem, że się czerwienię. Nie miałem pojęcia, gdzie podziać oczy ani co zrobić z rękami. Upuściłem widelec, a kiedy próbowałem go podnieść, przewróciłem szklankę i woda rozlała się jej na sukienkę. Nagle znów byłem niezdarny i głupi; chciałem ją przeprosić i odkryłem, że nie mogę mówić.

– Nic się nie stało, Charlie – próbowała mnie uspokoić. – Przecież to tylko woda. Nie przejmuj się takimi drobiazgami.

Jadąc taksówką do domu, znów długo milczeliśmy. W pewnym momencie Alice odłożyła torebkę, poprawiła mi krawat, a potem chusteczkę w kieszonce marynarki.

– Bardzo się dzisiaj denerwowałeś, Charlie – powiedziała.

– Czułem się śmieszny.

– Zdenerwowałam cię, przywołując ten temat. Uświadomiłam ci niebezpieczeństwo.

– Nie o to chodzi. Denerwuje mnie, że nie potrafię znaleźć słów dla tego, co czuję.

– Bo te uczucia są dla ciebie nowe. Nie wszystko powinno się… zamykać w słowa.

Przysunąłem się bliżej i spróbowałem ująć jej dłoń, ale odsunęła się.

– Nie, Charlie. Nie sądzę, żeby to było dla ciebie dobre. Zdenerwowałam cię i to może mieć negatywne konsekwencje.

Kiedy mnie tak odprawiła, znów poczułem się niezgrabny i śmieszny, co mnie oczywiście rozzłościło. Przesunąłem się na swoją stronę i patrzyłem przez okno. Nienawidziłem jej jak jeszcze nigdy nikogo… przez to, że na wszystko miała odpowiedź i że próbowała mi matkować. Chciałem ją uderzyć, widzieć, jak czołga mi się u stóp, a potem podnieść ją, przytulić i pocałować.

– Charlie, przykro mi, że cię zdenerwowałam.

– Nie ma o czym mówić.

– Ale musisz przecież zrozumieć, co się dzieje.

– Rozumiem. I wolałbym o tym nie mówić.

Kiedy taksówka dojechała do jej mieszkania na Siedemdziesiątej Siódmej Ulicy, czułem się po prostu okropnie.

– Słuchaj, to wszystko moja wina – powiedziała Alice. – Nie powinnam się zgodzić na dzisiejszy wieczór.

– Tak. Zdaje mi się, że już to zrozumiałem.

– Chodzi mi o to, że nie powinniśmy umieszczać tego na poziomie osobistym… emocjonalnym. Czeka cię tyle pracy. Nie mam prawa wdzierać ci się w życie. Nie w tej chwili.

– To moje zmartwienie, prawda?

– Jesteś pewien? Ta sprawa nie dotyczy już wyłącznie ciebie, Charlie. Podjąłeś zobowiązanie… nie tylko w stosunku do profesora Nemura czy doktora Straussa, lecz milionów, które pójdą kiedyś w twoje ślady.

Im dłużej tak mówiła, tym gorzej się czułem. Podkreślała moją niezręczność, niewiedzę dotyczącą tego, co powinienem powiedzieć lub zrobić. W jej oczach byłem głupim niedorostkiem, którego próbowała uprzejmie odprawić.

Stanęliśmy przed drzwiami jej mieszkania. Obróciła się ku mnie, uśmiechnęła i przez moment myślałem, że zaprosi mnie do środka, ale powiedziała tylko:

– Do widzenia, Charlie. Dziękuję za wspaniały wieczór.

Chciałem pocałować ją na dobranoc. Przedtem długo się nad tym zastanawiałem. Czy kobiety oczekują, że zostaną pocałowane na dobranoc? W powieściach, które czytałem, i filmach, które widziałem, pozwalało sobie na to wielu mężczyzn. Poprzedniego wieczoru zdecydowałem, że

jednak ją pocałuję. Ale nie przestawałem myśleć o tym, co będzie, jeśli mnie odepchnie.

Przysunąłem się bliżej, chciałem położyć dłonie na jej ramionach, ale okazała się dla mnie za szybka. Przytrzymała mi ręce.

– Lepiej pożegnajmy się w ten sposób, Charlie – powiedziała. – Nie pozwólmy, by nasza znajomość stała się sprawą osobistą. Jeszcze nie.

I – nim zdołałem zaprotestować albo przynajmniej zapytać, co właściwie oznacza to „jeszcze nie” – otworzyła drzwi.

– Dobranoc, Charlie – powtórzyła. – Jeszcze raz dziękuję ci za urocze… urocze chwile.

Zamknęła mi drzwi przed nosem.

Byłem wściekły na nią, na siebie i na świat, ale nim doszedłem do domu, zorientowałem się, że oczywiście miała rację. Właściwie nie wiem, czy jej na mnie zależy, czy po prostu była uprzejma. Czy mógłbym się jej spodobać? Sytuacja jest niezręczna dlatego, że nigdy jeszcze nie doświadczyłem czegoś podobnego. Jak człowiek ma nauczyć się postępowania wobec innego człowieka? Jak mężczyzna ma nauczyć się postępowania z kobietą?

Książki niewiele w tej sytuacji pomogą.

Następnym razem mam jednak zamiar pocałować ją na dobranoc.

3 maja – Prawdopodobnie najbardziej wytrąca mnie z równowagi fakt, że nie wiem, kiedy pojawi się coś z mojej przeszłości, a jeśli już się pojawi, czy rzeczywiście zdarzyło się to tak, jak to widzę, czy przekazuje tylko wrażenia, które odniosłem w owym czasie, czy też może sam wszystko wymyśliłem. Czuję się jak ktoś, kto przedrzemał całe dotychczasowe życie,

a teraz budzi się i próbuje odkryć, jak to było, nim się obudził. Wszystko dzieje się przedziwnie powoli, a wszystkie obrazy wydają się zamazane.

Tej nocy znów miałem koszmar, a kiedy się obudziłem, coś sobie przypomniałem.

Najpierw opowiem koszmar. Biegnę długim korytarzem na pół oślepiany wirującym w powietrzu piaskiem. Czasami biegnę przed siebie, czasami obracam się w powietrzu i biegnę tyłem. Boję się, ponieważ chowam coś w kieszeni. Nie wiem, co to takiego i skąd to mam, ale wiem, że chcą mi to coś zabrać, i boję się.

Ściana rozsypuje się i nagle widzę rudowłosą dziewczynę wyciągającą ku mnie dłonie; w miejscu twarzy ma pustkę. Dziewczyna bierze mnie w ramiona, pieści i całuje, a ja bardzo pragnę ją przytulić, ale boję się. Im bardziej mnie pieści, tym bardziej się boję, ponieważ wiem, że nie wolno mi jej dotknąć. Ociera się o mnie, a ja czuję dziwne łaskotanie, dreszcz, ciepło. Opuszczam wzrok i widzę w jej dłoniach zakrwawiony nóż.

Uciekam, próbuję krzyczeć, ale nie potrafię wydobyć z gardła żadnego dźwięku. W kieszeniach nie mam nic. Szperam w nich; nie wiem, co straciłem i dlaczego to coś chowałem, wiem tylko, że znikło, a teraz krew jest także na moich rękach.

Kiedy się obudziłem, pomyślałem o Alice i natychmiast się przestraszyłem. Tak samo jak we śnie. Czego się boję? Ma to jakiś związek z nożem.

Zrobiłem sobie kawy i wypaliłem papierosa. Jeszcze nigdy nie miałem takiego snu. Doskonale wiem, że wiązał się on ze spędzonym z Alice wieczorem. Myślę teraz o niej jakoś inaczej.

Wolne skojarzenia nadal sprawiają mi kłopot. Trudno nie kontrolować toku myśli… pozostawić umysł otwarty na przepływ świadomości…

obrazy kotłują się na powierzchni jak bąbelki w pianie w kąpieli… kąpie się kobieta… dziewczyna… Norma się kąpie… a kiedy wychodzi z wanny, widzę, że jej ciało jest inne. Że czegoś mu brakuje.

Uciekam korytarzem… goni mnie coś… nie osoba… wielki, lśniący kuchenny nóż… boję się i krzyczę, ale z mojego gardła nie dobywa się żaden dźwięk… gardło mam podcięte, płynie z niego krew…

– Mamo, Charlie znowu podgląda przez dziurkę od klucza…

Dlaczego jest inna? Co się jej stało?… krew… krwawi… ciemna jama…

Trzy ślepe myszki… trzy ślepe myszki,
Patrzcie, jak gonią! Patrzcie, jak gonią!
Patrzcie, jak gonią tę chłopską żonę,
Co ogonki obcięła im kuchennym nożem.
Widzieliście coś takiego w życiu może
Jak trzy… ślepe… myszki?

Jest wczesny ranek. Charlie siedzi w kuchni, sam. Wszyscy jeszcze śpią, a on bawi się swoim błyszczącym wisiorkiem. Od koszuli odrywa mu się jeden z guzików. Charlie pochyla się i patrzy, jak guzik toczy się po skomplikowanym wzorze pokrywającego podłogę linoleum. Guzik toczy się w stronę łazienki, Charlie idzie za nim, ale szybko traci go z oczu. Gdzie się podział guzik? Szuka go w łazience. W łazience jest szafa, w której wiszą ubrania; Charlie lubi wyciągać je i oglądać. Ubrania ojca, ubrania matki… i ubrania Normy. Chciałby je przymierzyć, udawać, że jest Normą, ale kiedy raz spróbował, matka go zbiła. Na jednym z wieszaków znajduje teraz pokryte zaschłą krwią majtki Normy. Co ona zrobiła aż tak złego? Charlie jest przerażony. Ktoś, kto postąpił z nią tak okrutnie, może przyjść i po niego…

Dlaczego akurat to wspomnienie z dzieciństwa pozostało we mnie aż tak silne? Dlaczego nadal mnie przeraża? Czy z powodu uczuć, które żywię do Alice?

Kiedy teraz o tym myślę, rozumiem, dlaczego nauczono mnie, bym trzymał się z dala od kobiet. Nie powinienem wyjawić Alice mych uczuć. Nie mam prawa myśleć o kobietach w ten sposób… jeszcze nie.

Piszę te słowa, a coś we mnie krzyczy, że to jeszcze nie wszystko. Jestem człowiekiem. Byłem nim, zanim poszedłem pod nóż. Muszę kogoś kochać.

8 maja – Nawet teraz, kiedy już wiem, co się działo za plecami pana Donnera, trudno mi w to uwierzyć. Po raz pierwszy zorientowałem się, że coś jest nie tak, podczas „godzin szczytu” przed dwoma dniami. Gimpy stał za ladą, pakując urodzinowy tort jednemu z naszych stałych klientów. Tort kosztował trzy dziewięćdziesiąt pięć, ale na kasie pojawiło się dwa dziewięćdziesiąt pięć. Już chciałem mu powiedzieć, że się pomylił, kiedy w lustrze za ladą dostrzegłem, jak klient puszcza do niego oko i uśmiecha się. Gimpy odpowiedział mu uśmiechem, a gdy klient odebrał resztę, dostrzegłem w dłoni Gimpy’ego błysk dużej srebrnej monety, którą schował natychmiast do kieszeni fartucha. To musiała być półdolarówka.

– Charlie – spytała stojąca za mną kobieta – zostały może jeszcze te kremowe eklerki?

– Pójdę i sprawdzę – powiedziałem.

Ucieszyłem się z tej przerwy, bo miałem okazję pomyśleć o tym, co widziałem. Z całą pewnością Gimpy się nie pomylił. Z premedytacją nabił niższą cenę, z czego klient doskonale zdawał sobie zresztą sprawę.

Oparłem się bezwładnie o ścianę, nie mając pojęcia, co powinienem zrobić. Gimpy pracował w piekarni przeszło piętnaście lat. Pan Donner, traktujący pracowników jak bliskich przyjaciół, a nawet krewnych, wielokrotnie zapraszał go do siebie z rodziną, a kiedy musiał wyjść albo wyjechać, to Gimpy kierował piekarnią. Słyszałem nawet, że dawał Gimpy'emu pieniądze na opłacenie kosztów leczenia żony.

Nieprawdopodobne wydawało mi się, że ktoś może okradać takiego człowieka. Musiało być jakieś inne wytłumaczenie. Gimpy naprawdę się pomylił, a potem dostał zwykły napiwek. Albo może pan Donner dał zniżkę klientowi regularnie kupującemu torty z kremem. Wszystko było lepsze od pewności, że Gimpy jest złodziejem. Gimpy był dla mnie zawsze taki miły.

Właściwie to już nie chciałem wiedzieć. Kiedy wnosiłem tacę eklerek, kiedy układałem ciasta, słodycze i słodkie bułeczki, umyślnie odwracałem wzrok od kasy. Kiedy jednak weszła drobna, rudowłosa kobieta, która zawsze szczypała mnie w policzek i żartowała, że znajdzie mi dziewczynę, uświadomiłem sobie, że przychodzi najczęściej wtedy, gdy pan Donner ma przerwę śniadaniową, a za ladą staje Gimpy. Gimpy często wysyłał mnie, żebym zanosił jej zakupy do domu.

Nieświadomie podliczyłem pozycje rachunku. Cztery pięćdziesiąt trzy. Odwróciłem się, by nie patrzeć, co Gimpy nabija na kasie. Chciałem znać prawdę, a jednocześnie bałem się tego, czego mógłbym się dowiedzieć.

– Dwa czterdzieści pięć, pani Wheeler – powiedział Gimpy.

Zadzwoniła kasa. Gimpy odliczał resztę.

– Dziękuję, pani Wheeler.

Odwróciłem się w chwili, gdy wkładał rękę do kieszonki fartucha. Usłyszałem jeszcze słaby brzęk monet.

Ile razy *użył mnie* jako łącznika? Dostarczałem jej zakupy zrobione po zaniżonej cenie, a oni dzielili się różnicą. Przez te wszystkie lata byłem

wspólnikiem złodzieja.

Nie potrafiłem oderwać wzroku od Gimpy’ego kuśtykającego za ladą. Spod papierowej czapy pot ciekł mu na policzki. Wydawał się ożywiony i pogodny, ale kiedy zorientował się, że na niego patrzę, zmarszczył czoło i opuścił wzrok.

Miałem ochotę go uderzyć. Pragnąłem wejść za ladę i dać mu w pysk. Nie przypominam sobie, bym do tej pory kogoś nienawidził, jednak tego ranka nienawidziłem Gimpy’ego z całego serca.

Przelanie tego na papier w ciszy mojego pokoju wcale mi nie pomogło. Ile razy pomyślę o Gimpym okradającym pana Donnera, mam ochotę coś roztrzaskać. Na szczęście, jak sądzę, jestem niezdolny do przemocy. Nie wydaje mi się, bym w życiu uderzył kogokolwiek.

Nie obroni mnie to jednak przed koniecznością podjęcia decyzji. Czy mam powiedzieć panu Donnerowi, że jego zaufany pracownik od lat go okrada? Gimpy zaprzeczy, a ja nigdy nie udowodnię, że mam rację. A poza tym, jaki to byłby cios dla pana Donnera.

Nie wiem, co zrobić.

9 maja – Nie mogę spać. Bardzo przeżywam to, co się stało. Zbyt wiele zawdzięczam panu Donnerowi, by stać i przyglądać się, jak go okradają. Milczenie uczyniłoby mnie równie winnym kradzieży jak Gimpy. Ale jakie mam prawo, by wszystko ujawnić? Najbardziej niepokoi mnie to, że – wysyłany z paczkami – byłem wspólnikiem kradzieży. Póki nie zdawałem sobie sprawy z tego, co się dzieje, nie brałem w niej udziału i nikt nie mógłby obciążyć mnie winą. Teraz jednak, kiedy wiem, milczenie czyni ze mnie wspólnika przestępstwa.

Ale przecież pracuję z Gimpym. Gimpy ma trójkę dzieci. Co pocznie, kiedy pan Donner go wyleje? Być może nie uda mu się dostać nowej pracy, zwłaszcza z tą krótszą stopą.

Czy to moje zmartwienie?

Co jest słuszne? Jakaż to ironia, że cała moja inteligencja nie jest w stanie pomóc mi w rozwiązaniu tego problemu.

10 maja – Poradziłem się profesora Nemura, a on twierdzi stanowczo, że jestem niewinnym obserwatorem zdarzeń i nie powinienem bez powodu wplątywać się w tak nieprzyjemną sytuację. Fakt, że zostałem użyty jako łącznik, najwyraźniej nie ma dla niego najmniejszego nawet znaczenia. Jeśli nie rozumiałem wówczas, co się dzieje – twierdzi – to wszystko jest w porządku. Jestem tak samo winny jak nóż, którym zabito człowieka, albo samochód w wypadku.

– Przecież nie jestem martwym przedmiotem – przekonywałem go. – Jestem *człowiekiem*!

Przez moment Nemur sprawiał wrażenie zdezorientowanego, a potem roześmiał się.

– Ależ oczywiście, Charlie. Nie mówiłem o tobie dzisiaj. Chodziło mi o to, co się działo przed operacją.

Nadęty dureń. Miałem ochotę i jemu dać w twarz.

– Przed operacją też byłem człowiekiem. To tak na wypadek, gdyby pan zapomniał…

– Ależ tak, oczywiście, Charlie. Źle mnie zrozumiałeś. A jednak było to coś innego… – I nagle przypomniał sobie, że musi odszukać karty pacjentów.

Podczas psychoterapii doktor Strauss mówi na ogół niewiele, ale dziś, kiedy podniosłem ten temat, stwierdził, że jestem moralnie zobowiązany do poinformowania o wszystkim pana Donnera. Jednak im więcej myślę o tej sprawie, tym bardziej wydaje mi się skomplikowana. Ktoś powinien za mnie przeciąć ten węzeł, a jedyna osoba, która w związku z tym przychodzi mi na myśl, to Alice. W końcu, o wpół do jedenastej, nie mogłem się już powstrzymać. Dzwoniłem do niej trzy razy, za każdym odkładając słuchawkę w połowie sygnału, ale za czwartym wreszcie zdobyłem się na odwagę.

Najpierw nie chciała mnie widzieć, ale błagałem, żebyśmy spotkali się w barze, w którym zjedliśmy kolację.

– Szanuję cię – powtarzałem. – Zawsze dawałaś mi dobre rady. – A kiedy wciąż się wahała, dodałem: – *Musisz* mi pomóc. Jesteś częściowo odpowiedzialna za to, co się ze mną stało, sama to przyznałaś. Gdyby nie ty, w ogóle nie doszłoby przecież do operacji. Nie możesz mnie po prostu zbyć.

Musiała wyczuć, jak bardzo mi zależy, bo zgodziła się na spotkanie. Odłożyłem słuchawkę i tylko gapiłem się na telefon. Dlaczego jej uczucia i myśli były dla mnie takie ważne? Przez przeszło rok, który spędziłem w Centrum dla Upośledzonych, kierowała mną wyłącznie chęć sprawienia jej przyjemności. A w ogóle to dlaczego zgodziłem się na tę operację?

Łaziłem przed lokalem tam i z powrotem, aż ściągnąłem na siebie podejrzliwy wzrok policjanta. Wszedłem do środka i kupiłem kawę. Na szczęście stolik, przy którym siedzieliśmy poprzednio, był pusty. Z pewnością tu właśnie będzie mnie szukała.

Kiedy mnie dostrzegła, pomachała mi ręką, ale po drodze przystanęła jeszcze i kupiła sobie kawę. Uśmiechała się; oczywiście dlatego, że wybrałem ten sam stolik. Śmieszny romantyczny gest.

– Wiem, że jest późno – przeprosiłem ją – ale przysięgam, że to bardzo ważne. Muszę z tobą porozmawiać.

Alice popijała kawę, słuchając spokojnie, ja zaś wyjaśniałem jej, jak zorientowałem się w oszustwach Gimpy'ego, jak na nie zareagowałem i jakie sprzeczne rady dostałem na uniwersytecie. Kiedy skończyłem, wyprostowała się na krześle i tylko potrząsnęła głową.

– Charlie, zdumiewasz mnie. Pod niektórymi względami jesteś tak inteligentny, ale kiedy trzeba podjąć decyzję, zachowujesz się jak dziecko. Nie mogę zdecydować za ciebie. Odpowiedzi nie znajdziesz w książkach, przychodzenie ze swoimi problemami do innych też niczego nie załatwi, chyba że do końca życia chcesz pozostać dzieckiem. Rozwiązania swych problemów musisz szukać w sobie, musisz *czuć*, że postępujesz właściwie. Charlie, musisz nauczyć się ufać swym uczuciom.

Ten jej wykład najpierw mnie zirytował… lecz nagle zdałem sobie sprawę z tego, że Alice ma rację.

– Chcesz powiedzieć, że to *ja* muszę podjąć decyzję?

Skinęła głową.

– Wiesz, kiedy teraz o tym myślę, mam wrażenie, że już zdecydowałem. Moim zdaniem i Nemur, i Strauss nie mają racji.

Patrzyła na mnie uważnie, była wyraźnie poruszona.

– Coś się z tobą dzieje, Charlie. Gdybyś mógł teraz zobaczyć swoją twarz!

– Masz świętą rację, coś się ze mną dzieje! Oczy przesłaniała mi mgła, a ty rozwiałaś ją jednym słowem! Jaki to prosty pomysł. *Zaufać sobie!* A mnie nigdy nie przyszło to do głowy!

– Charlie, jesteś wspaniały!

Złapałem jej dłoń i przytrzymałem ją.

– Nie – powiedziałem – to ty jesteś wspaniała. Dotknęłaś moich oczu i widzę!

Zarumieniła się i wyrwała rękę.

– Kiedy byliśmy tu ostatnim razem, powiedziałem, że cię lubię. Powinienem zaufać sobie i wyznać, że cię kocham.

– Nie mów takich rzeczy, Charlie. Jeszcze nie czas.

– *Nie czas?!* – krzyknąłem. – Dokładnie to powiedziałaś mi ostatnim razem. Dlaczego nie?

– Ciii… Poczekaj chwilę, Charlie. Ucz się. Sprawdź, dokąd doprowadzi cię nauka. Zbyt szybko się zmieniasz.

– A co to ma wspólnego z nami? Moje uczucia do ciebie nie zmienią się dlatego, że jestem coraz inteligentniejszy. Będę tylko bardziej cię kochał.

– Ale przecież emocjonalnie też się rozwijasz. W szczególnym znaczeniu tego słowa jestem pierwszą kobietą, której istnienia stałeś się świadomy… w ten sposób. Do tej pory byłam nauczycielką, kimś, do kogo zwracałeś się o pomoc. Nic dziwnego, że mnie pokochałeś. Zacznij się spotykać z innymi kobietami. Potrzebujesz czasu.

– Próbujesz mi powiedzieć, że uczniowie zawsze zakochują się w nauczycielkach i że emocjonalnie jestem na poziomie chłopaka z podstawówki?

– Przekręcasz moje słowa. Nie, nie uważam cię za chłopaka z podstawówki.

– Więc jestem dla ciebie kimś uczuciowo upośledzonym?

– Nie.

– To kim?

– Charlie, proszę, nie poganiaj mnie. Nie wiem, po prostu nie wiem. Już wspiąłeś się ponad mój poziom intelektualny. Za kilka miesięcy, może tygodni, będziesz kimś zupełnie innym. Kiedy dojrzejesz intelektualnie, być

może nie będziemy w stanie się porozumieć. Kiedy dojrzejesz emocjonalnie, być może nie będziesz mnie już pragnął. Przecież muszę myśleć także o sobie. Poczekajmy, zobaczymy. Obojgu nam potrzebna jest odrobina cierpliwości.

Mówiła mądrze, ale ja po prostu nie chciałem dostrzec tej mądrości.

– Wczoraj wieczorem… – wyszeptałem zduszonym głosem. – Nie wiesz, jak długo czekałem na to spotkanie. Wychodziłem z siebie, rozmyślając, jak się zachować, co powiedzieć. Chciałem zrobić na tobie wrażenie i przerażała mnie myśl, że możesz się na mnie rozzłościć.

– Nie rozzłościłeś mnie. Wręcz przeciwnie, pochlebiałeś mi.

– Doskonale. Kiedy znów się zobaczymy?

– Nie mam prawa emocjonalnie cię angażować.

– Ale ja już jestem zaangażowany! – krzyknąłem, a kiedy zobaczyłem, że ludzie na mnie spoglądają, ściszyłem głos, choć nadal wyraźnie brzmiał w nim gniew. – Jestem człowiekiem… mężczyzną… i nie potrafię przeżyć życia tylko w towarzystwie książek, taśm i elektronicznych labiryntów. Mówisz: „Zacznij się spotykać z innymi kobietami”. Jak? Przecież nie znam innych kobiet. Jest we mnie coś, co mnie spala, i potrafię myśleć wyłącznie o tobie. Czytam książkę i w połowie strony widzę twoją twarz, jednak nie zamazaną, jak te z mojej przeszłości, lecz wyraźną, żywą. Dotykam strony, twoja twarz znika, a ja mam ochotę rozerwać książkę na strzępy i odrzucić ją…

– Charlie, proszę…

– Chcę znów się z tobą zobaczyć.

– Jutro, w laboratorium.

– Przecież wiesz, że nie o to mi chodzi. Spotkajmy się poza laboratorium. Poza uniwersytetem. Sami.

Wiedziałem, że pragnie odpowiedzieć „tak”. Zaskoczyła ją moja stanowczość, ja zresztą też byłem nią zaskoczony. Wiedziałem tylko, że nie potrafię przestać prosić. Błagałem Alice, a w gardle coś mnie ściskało. Pociły mi się dłonie. Obawiałem się, że powie „nie”, czy może bałem się, że powie „tak”?

Gdyby nie przełamała napięcia, odpowiadając mi wreszcie, prawdopodobnie bym zemdlał.

– Doskonale, Charlie. Spotkamy się poza laboratorium i poza uniwersytetem, ale nie sami. Uważam, że nie powinniśmy spotykać się sami.

– Cokolwiek postanowisz – wydyszałem. – Bylebym był z tobą, bylebym nie musiał myśleć o testach… statystykach… pytaniach… odpowiedziach…

Alice się zawahała.

– Doskonale, Charlie. W Central Parku odbywają się wiosenne koncerty. Wstęp wolny. W przyszłym tygodniu możesz mnie zabrać na jeden z nich.

Odwiozłem ją do domu. Na progu odwróciła się szybko i pocałowała mnie w policzek.

– Dobranoc, Charlie – powiedziała. – Cieszę się, że do mnie zadzwoniłeś. Do zobaczenia w laboratorium.

Zamknęła drzwi. Stałem przed blokiem i wpatrywałem się w światło w oknach jej mieszkania, póki go nie wyłączyła.

Nie ma żadnych wątpliwości. Zakochałem się.

11 maja – Tyle rozmyślałem, tak długo się zastanawiałem i martwiłem, ale w końcu doszedłem do wniosku, że Alice ma rację. Muszę zaufać swojej intuicji. W piekarni przyglądałem się Gimpy’emu. Tylko dziś trzy

razy widziałem, jak nabija mniejsze sumy i przy odbiorze reszty chowa do kieszeni swoją część różnicy. Robił to wyłącznie w przypadku stałych klientów. Pomyślałem sobie, że ci ludzie też są winni. Bez ich zgody do oszustwa by nie doszło. Dlaczego Gimpy ma być kozłem ofiarnym?

Zdecydowałem się więc na kompromis. Nie jest to z pewnością decyzja doskonała, ale sam ją podjąłem, a w tych okolicznościach wydała mi się najwłaściwsza. Postanowiłem powiedzieć Gimpy'emu, co wiem, i zażądać, by natychmiast przestał.

Spotkałem go przy toaletach. Kiedy podszedłem, chciał odejść.

– Mam ci coś ważnego do powiedzenia – oznajmiłem od razu. – Mój przyjaciel ma poważny problem i potrzebuje pomocy. Otóż odkrył on, że jeden z jego znajomych z pracy oszukuje szefa, i nie wie, co ma teraz zrobić. Nie podoba mu się pomysł, żeby powiedzieć o wszystkim szefowi i wpędzić znajomego w kłopoty, ale nie może się też zgodzić na to, żeby szef, który był wobec nich w porządku, był dalej oszukiwany.

Gimpy patrzył mi prosto w oczy. Wzrok miał twardy.

– I co ma zamiar zrobić ten twój przyjaciel?

– W tym problem. Nic nie chce zrobić i uważa, że jeśli kradzieże się skończą, nie ma potrzeby niczego robić, bo nikt by na tym nie wygrał. Po prostu o wszystkim zapomni.

– Twój przyjaciel powinien raczej pilnować własnego nosa. – Gimpy pochylił się, zdejmując ciężar z kalekiej nogi. – Powinien przymknąć oczy na coś takiego i wiedzieć, kto jest naprawdę jego przyjacielem. Szef to szef, a ludzie pracy muszą trzymać się razem.

– On jest innego zdania.

– To nie jego sprawa.

– On uważa, że skoro wie, jest częściowo odpowiedzialny. Zdecydował, że jeśli kradzieże się skończą, nie będzie miał nic do powiedzenia. Jeśli się

nie skończą, będzie musiał poinformować o wszystkim szefa. Chciałem się dowiedzieć, co o tym sądzisz. Czy w tych okolicznościach kradzieże się skończą?

Gimpy z trudem opanowywał gniew. Widziałem, że ma ochotę mnie uderzyć, ale tylko zaciskał pięści.

– Powiedz przyjacielowi, że ten facet najwyraźniej nie ma wyjścia.

– Doskonale – stwierdziłem. – Kiedy to usłyszy, będzie bardzo szczęśliwy.

Gimpy się odwrócił. Już odchodził, ale spojrzał jeszcze przez ramię.

– A może… może twój przyjaciel chce, żeby mu coś odpalić? Może o to mu chodzi?

– Nie. Zależy mu tylko na tym, żeby ta cała sprawa się skończyła.

Patrzył na mnie wściekle.

– Jedno ci mogę powiedzieć: jeszcze pożałujesz, że wetknąłeś nos, gdzie nie trzeba. Zawsze ci pomagałem.

Odszedł, kulejąc.

Być może powinienem powiedzieć o wszystkim Donnerowi, przez co Gimpy wyleciałby z hukiem. Nie wiem. Ten sposób załatwienia sprawy pozostawił wiele niedomówień. W każdym razie to już koniec.

Ale ilu jest ludzi nadużywających jak Gimpy zaufania innych?

15 maja – Studia idą mi doskonale. Biblioteka uniwersytecka stała się moim drugim domem. Musieli dać mi prywatny gabinet, bo stronę książki czytam w dziesięć sekund i na wspólnej sali nieuchronnie gromadzili się studenci, obserwując, jak przewracam kartki.

Najbardziej interesują mnie teraz etymologia języków starożytnych, nowsze prace z dziedziny rachunku różniczkowego i historia Indii.

Zdumiewające, jak pozornie zupełnie różne rzeczy jednak się ze sobą wiążą. Wspiąłem się już na wyższy poziom i strumienie docierającej do mnie wiedzy wydają się jakoś połączone, jakby wypływały z jednego źródła.

Dziwne, ale kiedy jestem w barze na uczelni i słyszę, jak studenci spierają się na temat historii, polityki czy religii, ich dyskusje wydają mi się strasznie dziecinne. Nie mam ochoty prowadzić rozmów na tak podstawowym poziomie. Ludzie nie lubią, kiedy wykazuje się im, że nie ogarniają całości problemu, że nie zdają sobie sprawy z tego, co kryje się pod powierzchnią rzeczy. Wyżej wcale nie jest lepiej i już w ogóle zrezygnowałem ze sporów z wykładowcami Uniwersytetu Beekmana.

W wydziałowym barku Burt przedstawił mnie profesorowi ekonomii doskonale znanemu ze swych prac nad czynnikami ekonomicznymi warunkującymi stopę procentową kredytu refinansowego. Od dawna pragnąłem porozmawiać z ekonomistą o pewnych pomysłach, które nasunęły mi się po lekturach z tej dziedziny. Niepokoił mnie aspekt moralny embarga handlowego jako broni w czasach pokoju. Zapytałem go, co myśli o sugestiach niektórych senatorów dotyczących taktyki „wpisywania na czarną listę” i stosowania blokady handlowej, tak jak używana była ona w czasie obu wojen światowych, w stosunku do niektórych mniejszych państw.

Profesor słuchał cierpliwie, wpatrzony w przestrzeń. Byłem pewien, że zbiera myśli, by udzielić mi wyczerpującej odpowiedzi, ale po kilku minutach westchnął tylko, odchrząknął i potrząsnął głową. Zagadnienia te – wyjaśnił mi przepraszającym tonem – wykraczają poza jego specjalizację. On zajmuje się stopami procentowymi i prawa ekonomii wojennej nigdy go szczególnie nie interesowały. Zasugerował, bym skontaktował się z doktorem Wesseyem, który napisał kiedyś pracę o traktatach handlowych

w czasie II wojny światowej i być może mógłby mi pomóc. Po czym, nim zdołałem cokolwiek powiedzieć, złapał moją rękę, potrząsnął nią i stwierdził, że miło mu było mnie poznać, ale przed wykładem musi jeszcze uporządkować notatki. I znikł.

Tak samo wyglądała próba rozmowy o Chaucerze ze specjalistą od literatury amerykańskiej, z orientalistą na temat Trobriandczyków oraz o automatyce procesów przemysłowych jako przyczynie bezrobocia z psychologiem społecznym specjalizującym się w badaniach opinii publicznej i zachowaniach nastolatków. Każdy z nich znalazł jakiś powód, by się natychmiast ulotnić, nie chcąc przyznać się do ograniczonego zasobu wiedzy.

Jacy oni wszyscy wydają mi się teraz inni! Jakim byłem głupcem, wierząc, że profesorowie to giganci intelektu. Są zwykłymi ludźmi… przerażonymi, że świat odkryje kiedyś tę prawdę. Alice też jest człowiekiem – kobietą, nie boginią – i jutro zabieram ją na koncert.

17 maja – Już niemal ranek, a ja nie mogę zasnąć. Muszę zrozumieć, co przydarzyło mi się podczas koncertu.

Wieczór zapowiadał się bardzo miło. Kiedy przyszliśmy na miejsce, w Central Parku było już prawie pełno i musieliśmy omijać pary biwakujące na trawie. W końcu, daleko od ścieżki, znaleźliśmy wolne drzewo. Tam, poza zasięgiem lamp, jedynymi dowodami obecności innych ludzi były zmysłowy śmiech kobiet i żarzące się ogniki papierosów.

– Tu nam będzie dobrze – powiedziała Alice. – Nie ma sensu siadać na kolanach orkiestrze.

– A co teraz grają? – spytałem.

– *Morze* Debussy’ego. Lubisz to?

Usiadłem obok niej.

– Nie znam się na tego rodzaju muzyce – wyznałem. – Musiałbym ją sobie przemyśleć.

– Nie myśl – szepnęła Alice. – Czuj. Pozwól się jej ponieść jak fali, nie próbuj niczego zrozumieć.

Położyła się na trawie, twarzą w kierunku, z którego dobiegała muzyka.

Nie wiedziałem, czego właściwie ode mnie oczekuje… bo i skąd niby miałbym wiedzieć? To, czego doświadczałem, nie podlegało przecież prostej logice problem–rozwiązanie i zasadom systematycznego zdobywania wiedzy. Raz za razem powtarzałem sobie, że spocone dłonie, ucisk w piersi i pragnienie objęcia jej to tylko reakcje biochemiczne. Prześledziłem nawet wzór bodziec–reakcja wywołujący u mnie niepokój i zdenerwowanie. A jednak byłem niepewny, zdezorientowany. Czy powinienem ją objąć, czy też nie powinienem? Czy oczekiwała, bym ją objął, czy zareagowałaby gniewem? Czułem, że ciągle zachowuję się jak niedorostek, i to mnie złościło.

– Słuchaj – głos mi się łamał – tak będzie ci wygodniej. Połóż mi głowę na ramieniu.

Pozwoliła się objąć, ale nawet na mnie nie spojrzała. Sprawiała wrażenie zbyt pogrążonej w muzyce, by zdać sobie sprawę z tego, co robię. Czy chciała, bym tak ją trzymał, czy też zaledwie tolerowała moje zachowanie? Przesunąłem dłoń na jej talię – zadrżała, ale nadal spoglądała w kierunku orkiestry. Udawała, że interesuje się wyłącznie muzyką, by nie reagować na to, co robiłem. Nie chciała wiedzieć, co się dzieje. Jak długo patrzyła w inną stronę i słuchała Debussy’ego, mogła udawać, że moja bliskość, obejmujące ją ramiona… że to bez jej wiedzy i zgody. Chciała, bym kochał jej ciało w czasie, gdy mózg zajmuje się rzeczami wyższymi.

Gwałtownym gestem obróciłem jej twarz.

– Dlaczego na mnie nie patrzysz? Udajesz, że nie istnieję?

– Nie, Charlie – odpowiedziała szeptem. – Udaję, że to ja nie istnieję.

Kiedy dotknąłem jej ramienia, zesztywniała i zadrżała, lecz mimo to przytuliłem ją mocno. I wtedy to się stało. Najpierw usłyszałem ciche dzwonienie w uszach… niczym odległy odgłos piły elektrycznej. Potem poczułem chłód, palce mi zdrętwiały, na nogach miałem gęsią skórkę. W jednej chwili nabrałem pewności, że ktoś nas obserwuje.

I nagle coś zmieniło się w mej percepcji. Gdzieś, z jakiegoś miejsca w ciemności, za drzewem, dostrzegłem nas dwoje spoczywających w objęciach.

Podniosłem wzrok i zobaczyłem kucającego w pobliżu piętnasto-, może szesnastoletniego chłopca.

– Hej! – krzyknąłem, a kiedy chłopiec poderwał się na równe nogi, dostrzegłem, że ma opuszczone spodnie, że się obnażył.

– Co się stało? – zawołała zduszonym głosem Alice.

Zerwałem się z ziemi. Chłopiec znikł w ciemnościach.

– Widziałaś go?

– Nie. – Alice nerwowo wygładzała bluzkę. – Nikogo nie widziałam.

– Stał tu. Patrzył na nas. Był tak blisko, że prawie mógł cię dotknąć.

– Charlie, co chcesz zrobić?

– Nie uciekł daleko.

– Zostaw go. Przecież to nie ma najmniejszego znaczenia.

Dla mnie miało jednak znaczenie. Pobiegłem w ciemność, potykając się o zaskoczone pary, ale nie potrafiłem powiedzieć, gdzie znikł chłopiec. Im więcej o nim myślałem, tym gorzej się czułem, jakbym miał za chwilę zemdleć. Zagubiony i sam gdzieś w pustce… Opanowałem się w końcu i zdołałem powrócić do Alice.

– Znalazłeś go?

– Nie, ale on tam był. Widziałem go.

Popatrzyła na mnie dziwnie.

– Dobrze się czujesz?

– Już… tak, chwileczkę… Tylko tak strasznie dzwoni mi w uszach.

– Może lepiej wracajmy.

Przez całą drogę do jej mieszkania myślałem tylko o chłopcu, który kucał w ciemnościach parku. Przez moment patrzyłem jego oczami – widział nas, objętych, przytulonych.

– Wejdziesz, Charlie? Zrobię ci kawy.

Bardzo chciałem wejść, ale coś mnie przed tym ostrzegło.

– Chyba lepiej nie. Mam jeszcze sporo roboty.

– Charlie, czy chodzi o coś, co powiedziałam albo zrobiłam?

– Ależ skąd. Zdenerwował mnie ten śledzący nas chłopak, to wszystko.

Stała blisko mnie, czekała, żebym ją pocałował. Objąłem ją i wtedy to znów mi się przydarzyło. Gdybym nie odsunął się od niej błyskawicznie, zemdlałbym.

– Charlie, źle wyglądasz.

– Widziałaś go, Alice? Powiedz prawdę…

Potrząsnęła głową.

– Nie. Było za ciemno. Ale jestem pewna…

– Muszę już iść. Zadzwonię… – Odszedłem, nim zdołała mnie zatrzymać. Musiałem wyjść z budynku, nim zawali mi się na głowę.

Kiedy teraz o tym myślę, jestem pewien, że padłem ofiarą halucynacji. Doktor Strauss jest zdania, że nie przekroczyłem emocjonalnego poziomu nastolatka, kiedy to bliskość kobiety, sama myśl o seksie wywołują zdenerwowanie, panikę, nawet halucynacje. Twierdzi, że gwałtowny rozwój intelektualny wywołał we mnie fałszywą pewność, że mógłbym prowadzić normalne życie emocjonalne. Muszę zaakceptować fakt, że strach i napięcia

wywoływane sytuacjami mającymi związek z seksem ujawniają, że emocjonalnie nadal jestem dzieckiem, człowiekiem seksualnie upośledzonym. W takim razie najwidoczniej nie jestem gotów na związek z kobietą taką jak Alice Kinnian. Jeszcze nie.

20 maja – Straciłem pracę w piekarni. Zdaję sobie sprawę z tego, że trzymanie się przeszłości to głupota, ale w tych białych, zbrązowiałych od gorąca ceglanych ścianach jest coś takiego… Piekarnia była dla mnie domem.

Co zrobiłem, że znienawidzili mnie do tego stopnia?

Nie winię Donnera. Musi myśleć o interesach, o reszcie pracowników. Lecz przecież był mi bliższy od ojca!

Wezwał mnie do biura, oczyścił z formularzy i rachunków jedyne stojące przy biurku z otwieranym blatem krzesło i nie patrząc mi w oczy, powiedział:

– Chciałem z tobą porozmawiać. Równie dobrze możemy to zrobić teraz.

W tej chwili wydaje mi się to głupie, ale kiedy tak siedziałem i wpatrywałem się w niego – niskiego, tęgiego, z krzaczastymi jasnokasztanowatymi wąsami opadającymi komicznie na górną wargę – miałem wrażenie, że jesteśmy tu obaj, stary Charlie i nowy Charlie, i że obaj siedzimy tu przerażeni tym, co stary pan Donner ma nam do powiedzenia.

– Charlie, twój wuj Herman był moim dobrym przyjacielem. Dotrzymałem złożonej mu obietnicy. Pracowałeś, w dobrych i w złych czasach, zawsze miałeś dolca w kieszeni i miejsce, żeby się przespać. Nie musiałeś iść do tego tam domu opieki.

– Moim domem jest piekarnia…

– A ja traktowałem cię jak własnego syna, tego, który złożył głowę za ojczyznę. Kiedy umarł Herman… Ile wtedy miałeś lat, siedemnaście? Zachowywałeś się raczej jak sześciolatek. No więc kiedy on umarł, poprzysiągłem sobie… Powiedziałem do siebie: „Arthurze Donnerze, jak długo masz tę piekarnię, jak długo masz z czego żyć, będziesz się opiekował Charliem. Charlie zawsze będzie miał pracę, łóżko do spania i kawałek chleba”. Kiedy chcieli cię zabrać do tego domu opieki Warren, powiedziałem im, że się tobą zaopiekuję i dam ci pracę. Nie spędziłeś tam nawet jednej nocy. Znalazłem ci pokój i cały czas czuwałem nad tobą. Więc… dotrzymałem obietnicy?

Skinąłem głową. Po tym, jak zwijał i rozwijał jakiś rachunek, wiedziałem, że coś go gnębi. Wolałbym nie wiedzieć, co… ale oczywiście wiedziałem.

– Zawsze chciałem dobrze pracować. Pracowałem ciężko i…

– Wiem, Charlie. To nie ma nic wspólnego z twoją pracą. Tylko, że zmieniasz się, a ja nie rozumiem, do czego to zmierza. Nie chodzi tylko o mnie. Wszyscy o tobie mówią. Przez ostatnie kilka tygodni przychodzili tu kilkanaście razy. Wyprowadzasz ich z równowagi. Charlie, muszę cię zwolnić.

Próbowałem mu przerwać, ale tylko pokręcił głową.

– Wczoraj wieczorem przyszła delegacja. Charlie, ja muszę prowadzić interes.

Patrzył na swoje dłonie, obracając w nich kawałek papieru, jakby miał nadzieję znaleźć na nim coś, czego jeszcze przed chwilą tam nie było.

– Bardzo mi przykro, Charlie.

– Gdzie się teraz podzieję?

Po raz pierwszy od chwili, kiedy wszedłem do jego maleńkiego biura, pan Donner podniósł wzrok i spojrzał mi prosto w oczy.

– Wiesz równie dobrze jak ja, że już *nie musisz* tu pracować – powiedział.

– Panie Donner, przecież ja nigdy nie pracowałem nigdzie indziej!

– Spójrzmy prawdzie w oczy. Nie jesteś tym Charliem, który zaczął u mnie pracować przed siedemnastu laty, nie jesteś nawet tym Charliem, który pracował u mnie cztery miesiące temu! Nie rozmawiałeś z nikim na ten temat. To twoja sprawa. Może zdarzył się jakiś cud? Wszystko możliwe. Zmieniłeś się w bardzo mądrego młodego człowieka. A praca na mieszarce i roznoszenie towaru to nie robota dla bardzo mądrego młodego człowieka.

Miał oczywiście rację, ale jakiś głos krzyczał mi w duszy, że muszę nakłonić go do zmiany zdania.

– Niech mi pan pozwoli zostać, panie Donner. Proszę dać mi jeszcze jedną szansę. Sam pan twierdzi, że obiecał wujkowi Hermanowi dawać mi pracę tak długo, jak długo będę jej potrzebował. Ja jej nadal potrzebuję, panie Donner.

– Nie potrzebujesz, Charlie. Gdybyś potrzebował, powiedziałbym im, że nic mnie nie obchodzą ich delegacje i petycje i że będę trzymał z tobą przeciw nim wszystkim. Ale oni się ciebie śmiertelnie boją. Przecież muszę też myśleć o własnej rodzinie.

– A jeśli zmienią zdanie? Niech pan pozwoli mi ich przekonać! – Utrudniałem mu sprawę bardziej, niż się spodziewał. Wiedziałem, że powinienem przestać, ale nie panowałem nad sobą. – Wszystko im wytłumaczę – błagałem go.

– No dobrze – westchnął w końcu. – Dobrze, spróbuj. Ale tylko się rozczarujesz.

Kiedy wychodziłem z jego biura, Frank Reilly i Joe Carp przeszli koło mnie i od razu zorientowałem się, że pan Donner miał rację. Nie zamierzali

pogodzić się z myślą, że pracuję z nimi i że muszą na mnie patrzeć. Nie czuli się przy mnie swobodnie.

Frank podnosił właśnie tacę z bułeczkami, kiedy do nich zawołałem. Odwrócili się obaj.

– Słuchaj, Charlie, jestem zajęty – powiedział Reilly. – Może później…

– Nie – upierałem się. – Teraz. Chcę z wami porozmawiać. Obaj mnie unikacie. Dlaczego?

Frank, złotousty gaduła, ulubieniec pań, dusza towarzystwa, patrzył na mnie przez chwilę, po czym odstawił tacę na stół.

– Dlaczego? – powtórzył. – Powiem ci, dlaczego. A dlatego, że nagle zrobiłeś się cwaniak, mądrala i inteligent! Nagle jesteś takie cudowne dziecko, taki jajogłowy! Czytasz bez przerwy i znasz odpowiedzi na wszystkie pytania. No dobra, coś ci powiem. Myślisz, że jesteś lepszy od nas tu, w piekarni? To idź sobie gdzie indziej!

– Ale co ja ci zrobiłem?

– Co zrobiłeś? Słyszysz go, Joe? Powiem panu, co pan zrobił, *panie* Gordon. Wlazł nam pan na odcisk z tymi swoimi pomysłami i udoskonaleniami i sprawił pan, że wyszliśmy na bandę idiotów. Ale ja coś panu powiem. Dla mnie nadal jesteś pan idiotą. Może i nie rozumiem tych wszystkich wielkich słów i nazw wprost z książek, ale jestem równie dobry jak pan, a może nawet lepszy.

– Oczywiście – przytaknął Joe. Obrócił się do wchodzącego właśnie Gimpy’ego, jakby szukał jego poparcia.

– Przecież nie proszę, żebyśmy zostali przyjaciółmi – powiedziałem – albo żebyśmy utrzymywali kontakty towarzyskie. Nie chcę tylko stracić pracy. Pan Donner twierdzi, że to zależy od was.

Gimpy rzucił mi wściekłe spojrzenie i z obrzydzeniem potrząsnął głową.

– To dopiero bezczelność! – krzyknął. – Idź do diabła! – I odszedł, kuśtykając ciężko.

Tak to się właśnie odbyło. Większość z nich myślała to samo co Joe, Frank i Gimpy. Wszystko było dobrze, póki mogli się ze mnie naśmiewać, póki dzięki mnie mogli uważać się za lepszych, w tej chwili jednak czuli się głupsi od idioty. Dopiero teraz zorientowałem się, że mój oszałamiający rozwój oznaczał ich równie oszałamiającą degradację, obnażał wszystkie ich słabości. Zdradziłem ich i za to mnie nienawidzili.

Tylko Fanny Birden nie sądziła, że powinno się mnie zmusić do odejścia, i mimo nacisków oraz pogróżek ona jedna nie podpisała petycji.

– Co nie oznacza – stwierdziła – że nie zauważyłam w tobie czegoś cholernie dziwnego, Charlie. Strasznie się zmieniłeś! Nic nie rozumiem. Byłeś dobrym, odpowiedzialnym człowiekiem, zwykłym i może niezbyt bystrym, ale uczciwym, i jeden Bóg wie, co ze sobą zrobiłeś, żeby tak nagle stać się wielkim mądralą. Zgadzam się z tym, co mówią wszyscy: to nie w porządku.

– Co jest złego w człowieku, który chce być inteligentniejszy, więcej wiedzieć i lepiej rozumieć siebie i świat?

– Gdybyś czytał Biblię, Charlie, wiedziałbyś, że człowiek nie powinien wiedzieć więcej, niż Bóg mu objawił. Bóg zakazał człowiekowi owocu z drzewa wiadomości. Charlie, jeśli zrobiłeś coś, czego nie powinieneś zrobić… no wiesz, jak pakt z diabłem i w ogóle, może nie jest jeszcze za późno, żeby się wycofać? Może nie jest za późno, żebyś znów został zwykłym, prostym człowiekiem, jak niegdyś?

– Fanny, dla mnie nie ma odwrotu. I nie zrobiłem nic złego. Jestem jak człowiek, który urodził się ślepy i nagle dostał szansę zobaczenia światła. Coś takiego nie może przecież być grzechem. Wkrótce takich jak ja będą na świecie miliony. Nauka potrafi dokonać cudu, Fanny.

Opuściła wzrok na figurkę państwa młodych na torcie, który właśnie dekorowała. Ustami, których poruszeń nie byłem niemal w stanie dostrzec, wyszeptała:

– Kiedy Adam i Ewa zjedli owoc z *drzewa wiadomości dobrego i złego*, popełnili grzech. Złem było, kiedy zobaczyli, że są nadzy, poznali pożądanie i wstyd. Zostali wygnani z raju, a bramę za nimi zawarto. Gdyby nie to, nikt z nas nie musiałby się starzeć, chorować i umierać.

Nie miałem już nic do powiedzenia – ani jej, ani całej reszcie. Żadne z nich nie miało odwagi spojrzeć mi w oczy. Nadal czułem ich wrogość. Przedtem wyśmiewali mnie, pogardzali mną za głupotę i za niewiedzę, teraz nienawidzili mnie za wiedzę i inteligencję. Dlaczego? Na litość boską, czego właściwie ode mnie chcieli?

Inteligencja wbiła klin pomiędzy mnie a ludzi, których znałem i kochałem, wygnała mnie z piekarni. Jestem teraz bardziej samotny niż kiedykolwiek. Ciekawe, co stałoby się z Algernonem, gdyby włożono go do wielkiej klatki z innymi, zwykłymi myszami. Czy *one* też obróciłyby się przeciw niemu?

25 maja – Wiem już, jak człowiek zaczyna gardzić samym sobą – kiedy wie, że robi źle, a nie potrafi przestać. Wbrew własnej woli poszedłem do Alice. Zaskoczyłem ją, ale pozwoliła mi wejść.

– Przemokłeś do suchej nitki – powiedziała. – Woda spływa ci po twarzy.

– Pada. Kwiaty są szczęśliwe.

– Wchodź. Przyniosę ci ręcznik. Lada chwila złapiesz zapalenie płuc.

– Tylko z tobą mogę jeszcze rozmawiać – powiedziałem. – Pozwól mi zostać.

– Właśnie zaparzyłam kawę. Wysusz się, a potem porozmawiamy.

Kiedy poszła po kawę, rozejrzałem się. Byłem tu po raz pierwszy. Mieszkanie wyglądało przyjemnie, ale było w nim także coś niepokojącego.

Wydawało się niesłychanie schludne. Porcelanowe figurki stały na parapecie w jednej linii i wszystkie spoglądały w tę samą stronę. Poduszki na kanapie nie zostały na nią po prostu rzucone, ale leżały w geometrycznym porządku na plastikowej płachcie chroniącej pokrycie przed wytarciem. Na dwóch stojących obok stoliczkach magazyny ułożono w równe stosy, tak by ich tytuły były wyraźnie widoczne. Na jednym leżały „The Reporter", „The Saturday Review", „The New Yorker", na drugim „Mademoiselle", „House Beautiful" i „Reader's Digest".

Na przeciwległej ścianie wisiała w ozdobnej ramie reprodukcja *Matki i dziecka* Picassa, nad kanapą natomiast obraz przedstawiający zuchwałego renesansowego dworaka z szablą w dłoni broniącego ukrytej za nim przerażonej, zarumienionej dziewicy. Wszystko to razem po prostu do siebie nie pasowało, jakby Alice nie potrafiła się zdecydować, kim jest i w którym z tych dwóch światów chciałaby żyć.

– Od kilku dni nie pojawiasz się w laboratorium – krzyknęła z kuchni. – Profesor Nemur bardzo się o ciebie martwi.

– Nie umiałbym spojrzeć im w oczy – odparłem. – Wiem, że nie mam się czego wstydzić, ale kiedy nie chodzę codziennie do pracy, czuję pustkę: brakuje mi piekarni, pieców, ludzi. To uczucie niemal nie do zniesienia. Przez dwie ostatnie noce śniło mi się, że tonę.

Alice postawiła tacę pośrodku stolika do kawy – serwetki zwinięte w trójkąciki, ciasteczka ułożone w spirale, jak na wystawie.

– Nie przejmuj się aż tak, Charlie. Przecież nie zrobiłeś nic złego.

– Powtarzam sobie te słowa, ale niewiele mi pomagają. Ci ludzie przez długie lata byli moją rodziną. Czuję się tak, jakby wyrzucono mnie z domu.

– W tym właśnie problem – stwierdziła Alice. – Wyrzucenie z pracy stało się dla ciebie symbolicznym powtórzeniem doświadczenia z dzieciństwa. Rodzice cię odsunęli, wyrzucili poza…

– Chryste, przecież nie o to chodzi, żeby wszystko sobie ładnie nazwać! – przerwałem jej. – Chodzi o to, że nim wplątałem się w ten eksperyment, miałem przyjaciół, ludzi, którym na mnie zależało. Teraz boję się…

– Nadal masz przyjaciół.

– To nie to samo.

– Strach jest reakcją najzupełniej normalną.

– Chodzi o coś więcej. Przecież przedtem też się bałem. Bałem się, że dostanę w skórę, bo nie podporządkowałem się Normie. Bałem się przechodzić przez Howells Street, bo tam gromadzili się chłopcy, którzy kpili ze mnie i popychali mnie. Bałem się nauczycielki, pani Libby, która wiązała mi ręce, żebym nie bawił się leżącymi na ławce ołówkami i gumkami. Ale… to wszystko było prawdziwe, miałem się czego bać. Strach przed wyrzuceniem z piekarni wydaje mi się nieokreślony. Nie rozumiem go.

– Pozbierasz się.

– *Ty* nie czujesz tego strachu.

– Charlie, podobnych reakcji należało się spodziewać. Jesteś jak ktoś, kto dopiero nauczył się pływać, a teraz skacze z trampoliny i boi się, kiedy nie czuje deski pod stopami. Pan Donner rzeczywiście był dla ciebie dobry i przez te wszystkie lata chronił cię przed światem. A teraz wyrzucił cię z piekarni… tego nie mogłeś się spodziewać.

– Intelektualnie zdaję sobie z tego sprawę, ale niewiele mi to pomaga. Nie potrafię siedzieć sam w tym moim pokoiku. Wychodzę na spacer o najdziwniejszych porach dnia i nocy, choć właściwie nie wiem, czego szukam… spaceruję, póki nie zgubię się na ulicach… i w końcu zawsze

trafiam przed piekarnię. Zeszłej nocy przeszedłem z Washington Square aż do Central Parku. Spałem na ławce. Czego, do licha, szukam?

Im więcej mówiłem, tym bardziej Alice się niepokoiła.

– Jak mogę ci pomóc, Charlie? – spytała w końcu.

– Nie wiem. Czuję się jak zwierzę wypuszczone z ładnej, bezpiecznej klatki.

Usiadła przy mnie na kanapie.

– Za bardzo cię eksploatują – powiedziała. – Zaczynasz się gubić. Pragniesz być dorosły, ale w głębi duszy jesteś nadal małym chłopcem, samotnym i przerażonym.

Przytuliła moją głowę do swego ramienia, próbując mnie pocieszyć. Gładziła mnie po włosach. Wiedziałem, że potrzebuje mnie tak bardzo jak ja jej.

– Charlie – wyszeptała po chwili – czegokolwiek chcesz… proszę… nie bój się mnie.

Tak bardzo pragnąłem jej powiedzieć, że wiem, iż zaraz ogarnie mnie paniczny strach.

Pewnego razu, dostarczając towar klientce, Charlie omal nie zemdlał. Pani domu, kobieta w średnim wieku, która akurat wyszła z kąpieli, postanowiła zabawić się jego kosztem i rozchyliła szlafrok. Czy Charlie kiedykolwiek widział nagą kobietę? Czy wiedział, jak się kochać z kobietą? Jego strach… jego nieludzki jęk musiały ją przerazić, natychmiast bowiem owinęła się szlafrokiem i jeszcze dała mu ćwierć dolara, żeby zapomniał o tym, co się stało. Powiedziała, że tylko się z nim drażniła, by sprawdzić, czy jest dobrym chłopcem.

Charlie odparł, że zawsze chciał być dobrym chłopcem i nie patrzeć na kobiety, bo mama biła go, kiedy to działo się w jego majtkach…

Teraz wreszcie widzi matkę wyraźnie. Matka Charliego wrzeszczy, w ręku ma skórzany pas, ojciec próbuje ją powstrzymać.

– Dość, Rose! – krzyczy. – Zabijesz go! Daj mu spokój!

Matka wyrywa się ojcu, chce uderzyć Charliego, ale on jest już zbyt daleko. Pas świszczy tylko w powietrzu, on zaś wije się po podłodze kuchni, próbując odsunąć się jak najdalej…

– Tylko na niego popatrz! – krzyczy Rose. – Nie może nauczyć się czytać i pisać, ale wie wystarczająco wiele, by w ten sposób patrzeć na dziewczęta! Wybiję mu z głowy te brudy!

– Nic nie poradzi na to, że ma erekcję. Przecież to normalne. Nie zrobił nic złego.

– Nie wolno mu tak myśleć o dziewczętach! Norma zaprosiła do domu przyjaciółkę… i już! Dam mu taką nauczkę, że nigdy nie zapomni! Słyszysz? Jeśli kiedykolwiek dotkniesz dziewczyny, zamknę cię w klatce, jak zwierzę, na całe życie! Słyszysz, co mówię?…

Nadal ją słyszę. Lecz, być może, jestem teraz człowiekiem wolnym. Być może strach i mdłości nie są już oceanem, w którym mógłbym utonąć, lecz zaledwie kałużą odbijającą przeszłość w teraźniejszości.

Czyżbym się uwolnił?

Gdybym zdobył Alice od razu – nie myśląc o tym, co robię, nie dając się oszołomić – może przemożny strach nigdy by się nie pojawił. Gdybym tylko potrafił wymazać przeszłość, zacząć od nowa. Zdołałem jedynie

wykrztusić: „Ty… ty to zrób! Przytul mnie!” i nim zorientowałem się, co się dzieje, Alice już mnie całowała, przytulała tak, jak jeszcze nikt nigdy mnie nie przytulał, lecz w chwili, w której winna mi być bliższa niż ktokolwiek, znów pojawiły się brzęczenie w uszach, chłód i mdłości.

Wyrwałem się z jej objęć.

Próbowała mnie uspokoić, powiedzieć mi, że nie ma to najmniejszego znaczenia, że nie powinienem czuć się winny. Zawstydzony, niezdolny opanować męki, rozpłakałem się. Zasnąłem, szlochając, w jej ramionach i śniłem o dworaku i zarumienionej dziewicy. Tylko że w moim śnie to dziewica trzymała szablę.

Dziennik 12

5 czerwca – Nemur się denerwuje, ponieważ od niemal dwóch tygodni nie oddałem mu ani kawałka dziennika (i ma rację, skoro Fundacja Welberga płaci mi pensję z grantu, żebym nie musiał szukać nowej pracy). Międzynarodowy Kongres Psychologiczny w Chicago rozpoczyna się już za tydzień. Nemur pragnie, żeby jego raport wstępny był tak pełny, jak to tylko możliwe, a Algernon i ja jesteśmy najważniejszymi elementami prezentacji.

Nasze stosunki stają się coraz bardziej napięte. Nie cierpię, kiedy traktuje mnie jak laboratoryjnego szczura. Przez niego mam wrażenie, iż przed eksperymentem nie byłem w ogóle człowiekiem.

Powiedziałem Straussowi, że zbyt zajmuje mnie myślenie, czytanie, zagłębianie się w siebie i próby zrozumienia, kim i czym jestem, i że pisanie to proces powolny, więc nie potrafię nadążyć za myślami i przelać ich na papier. Zgodnie z jego radą nauczyłem się pisać na maszynie. Piszę już siedemdziesiąt pięć znaków na minutę i teraz jest mi łatwiej.

Strauss znów poruszył temat konieczności mówienia i pisania prostymi słowami, tak by ludzie mnie rozumieli. Przypomina mi, że język zamiast drogą bywa przeszkodą na drodze. Co za ironia – nagle znalazłem się po przeciwnej stronie intelektualnej barykady.

Od czasu do czasu widuję Alice, ale nie rozmawiamy o tym, co zaszło. Nasza znajomość pozostaje platoniczna. Przez trzy noce po tym, jak straciłem pracę w piekarni, miałem koszmary. To zdarzyło się zaledwie dwa tygodnie temu, aż trudno uwierzyć.

Nocą pustymi ulicami ścigają mnie jakieś upiorne postacie. Za każdym razem uciekam przed nimi do piekarni, ale drzwi są zawsze zamknięte, a znajdujący się w środku ludzie nawet na mnie nie patrzą. Przez okno widzę, jak figurki państwa młodych na weselnym torcie wskazują mnie palcami i śmieją się… powietrze aż drży od śmiechu, nie mogę tego znieść… a dwa kupidynki machają ognistymi strzałami. Krzyczę. Walę w drzwi, nie słychać jednak żadnego dźwięku. Widzę, jak ze środka przygląda mi się Charlie. Czy to tylko moje odbicie?

Wtedy coś łapie mnie za nogi i odciąga od piekarni w mrok zaułka. Budzę się, kiedy zaczyna zalewać mnie śluzem.

Czasami okno piekarni otwiera się na przeszłość, a patrząc przez nie, widzę inne rzeczy i innych ludzi.

Zdumiewające, jak wyraźnie wraca do mnie przeszłość. Nie potrafię jeszcze w pełni kontrolować tej umiejętności, ale czasami, kiedy jestem zajęty lekturą bądź próbami rozwiązania jakiegoś problemu, nagle doznaję uczucia niezwykłej jasności, oczyszczenia.

Wiem, że w ten sposób nieświadomość ostrzega mnie, i teraz już, zamiast czekać, aż wspomnienie do mnie przyjdzie, zamykam oczy i sam po nie sięgam. Kiedyś z pewnością zyskam pełną kontrolę nad procesem przywoływania przeszłości, zdolność badania nie tylko wszystkich moich dawnych doświadczeń, lecz także wykorzystywania niewykorzystywanych na razie zdolności umysłu.

Właśnie teraz, kiedy rozważam tę możliwość, odczuwam ową jasność. Widzę okno piekarni… wyciągam rękę, dotykam go… czuję chłód, drżenie i nagle szkło ogrzewa się… jest gorące… parzy palce. Szyba, w której widzę moje odbicie, rozjarza się, zmienia w lustro, a w lustrze tym widzę małego Charliego Gordona – ma czternaście, może piętnaście lat –

patrzącego na mnie przez okno domu, w którym mieszka. Z niebotycznym zdumieniem zdaję sobie sprawę, jaki był inny…

Czekał na siostrę, która miała właśnie wrócić ze szkoły, a kiedy zobaczył ją wyłaniającą się zza rogu na Marks Street, pomachał do niej, zawołał „Norma!”, po czym wybiegł na ganek, żeby się z nią przywitać.

Norma wymachuje kartką.

– Dostałam piątkę z klasówki z historii. Odpowiedziałam na wszystkie pytania. Pani Baffin mówi, że to najlepsza praca w klasie.

Norma jest ładna, ma jasnobrązowe włosy, starannie uczesane i zwinięte na głowie w koronę. Kiedy spogląda na czekającego na nią brata, uśmiech znika z jej ust, a na czole pojawia się zmarszczka. Omija go, zostawia za plecami i wbiega po schodkach do domu.

Charlie idzie za nią z uśmiechem.

Rodzice siedzą w kuchni. Charlie, nieprzytomnie radosny z powodu dobrej wieści przekazanej przez Normę, wybucha, nim siostra ma szansę się odezwać.

– Dostała piątkę! Dostała piątkę!

– Nie! – wrzeszczy Norma. – Nie ty! Nic nie mów. To moja piątka i ja chciałam im o niej powiedzieć.

– Chwileczkę, panienko. – Matt opuszcza gazetę i patrzy groźnie na córkę. – Nie powinnaś w ten sposób odzywać się do brata.

– Nie miał prawa tego powiedzieć!

– To bez znaczenia. – Matt spogląda na nią i grozi jej palcem. – Nie chciał nic złego, a tobie nie wolno tak na niego krzyczeć.

Norma szuka pomocy u matki.

– Dostałam piątkę – mówi. – Najlepszy stopień w klasie. Kupicie mi psa? Obiecaliście. Powiedzieliście, że muszę mieć dobre stopnie. Dostałam piątkę. Chcę brązowego psa w białe łatki. Nazwę go Napoleon, bo na klasówce dałam najlepszą odpowiedź na pytanie o Napoleona. Napoleon przegrał bitwę pod Waterloo.

Rose kiwa głową.

– Idź na ganek i pobaw się z Charliem. Czekał na ciebie przeszło godzinę.

– Nie chcę się z nim bawić.

– Idźcie na ganek – mówi Matt.

Norma patrzy najpierw na ojca, a potem na Charliego.

– Nie – protestuje. – Mama mówi, że nie muszę się bawić z Charliem, jeśli nie mam na to ochoty.

– Młoda damo – Matt podnosi się z krzesła i robi krok w jej kierunku – masz natychmiast przeprosić brata.

– Nie! – krzyczy Norma i biegnie schować się za matką. – On jest jak niemowlę. Nie umie grać w monopol, w warcaby ani w nic… wszystko mu się plącze. Już nigdy nie będę się z nim bawić.

– Marsz do pokoju!

– Dostanę psa, mamo?

Matt wali pięścią w stół.

– W tym domu nie będzie psa, dopóki nie przestaniesz zachowywać się w ten sposób, młoda damo.

– Obiecałam jej psa, jeśli będzie miała dobre stopnie…

– Brązowego w białe łatki – dodaje Norma.

Matt wskazuje stojącego przy ścianie Charliego.

– Pamiętasz, jak tłumaczyłaś swojemu synowi, że nie dostanie psa, bo dom jest za mały, a poza tym, kto by się nim opiekował? Pamiętasz? On też

prosił o psa. Odwołasz teraz to, co mu powiedziałaś?

– Ja przecież mogę opiekować się pieskiem – nalega Norma. – Będę go karmić, kąpać, wyprowadzać…

Charlie, stojący przy stole i bawiący się wielkim czerwonym guzikiem na sznurku, odzywa się nagle:

– Pomogę jej opiekować się pieskiem. Pomogę jej dawać mu jeść, czesać i nie pozwolę, żeby ugryzł go inny piesek!

Nim Matt i Rose zdążyli otworzyć usta, Norma krzyczy:

– Nie! To będzie mój pies! Tylko mój pies!

Matt kiwa głową.

– Widzisz?

Rose siada przy córce i uspokaja ją, gładząc po głowie.

– Musimy się dzielić tym, co mamy, kochanie. Charlie może ci pomóc przy psie.

– Nie! Pies będzie mój! To ja dostałam piątkę z historii! Nie on! On nigdy nie dostaje dobrych stopni, tylko ja. Dlaczego miałby mi pomagać z psem? Pies w końcu polubi go bardziej ode mnie i będzie jego psem, nie moim. Nie! Jeśli nie mogę mieć psa dla siebie, to w ogóle go nie chcę!

– To załatwia sprawę – mówi Matt, bierze gazetę ze stołu i siada na krześle. – Nie będzie psa.

Norma zeskakuje nagle z kozetki, łapie kartkę z klasówką, którą, taka szczęśliwa, zaledwie przed chwilą przyniosła rodzicom, drze ją i rzuca w twarz zdumionemu Charliemu.

– Nienawidzę cię! Nienawidzę! – wrzeszczy.

– Przestań! – krzyczy Rose. Próbuje złapać córkę, ale Norma wykręca się jej i uskakuje.

– Nienawidzę szkoły! Nienawidzę! Przestanę się uczyć i będę idiotką jak on. – Wybiega z pokoju, krzycząc: – Już! To się już dzieje! Zapominam!

Wszystko zapominam! Nie pamiętam niczego!

Rose w panice wybiega za nią. Matt siedzi nieruchomo, patrząc na leżącą na kolanach gazetę. Charlie, przerażony histerią i krzykami, wtula się w krzesło, szlochając cicho. Co złego zrobił? Ma mokro w spodniach, czuje, jak coś ciepłego spływa mu po nodze. Siada i czeka na bicie, które nastąpi, gdy tylko wróci matka.

Wspomnienie blednie, ale od tamtej pory Norma spędzała każdą wolną chwilę albo z przyjaciółkami, albo bawiąc się sama w swoim pokoju. Zamykała drzwi, a mnie nie wolno było tam wchodzić bez pozwolenia.

Pamiętam, jak kiedyś podsłuchałem Normę rozmawiającą podczas zabawy z przyjaciółką. Krzyczała: „Nie jest moim prawdziwym bratem! To tylko chłopiec, którego wzięliśmy z litości! Mama mi to powiedziała. Powiedziała, że mogę już mówić wszystkim, że on wcale nie jest moim prawdziwym bratem!”.

Żałuję, że wspomnienie to nie jest zdjęciem, które mógłbym podrzeć i rzucić jej w twarz. Chciałbym zawołać do niej ponad przepaścią tych lat, wytłumaczyć, że wcale nie chciałem pozbawić jej psa. Mogła go mieć całkiem dla siebie. Nie dawałbym mu jeść, nie czesałbym go, nie bawiłbym się z nim… i nigdy nie zrobiłbym niczego, by polubił mnie bardziej niż ją. Pragnąłem tylko, by się ze mną bawiła. Nigdy nie chciałem zrobić niczego, co mogłoby sprawić jej przykrość.

6 czerwca – Dziś po raz pierwszy pokłóciłem się poważnie z Alice. Kłótnia wybuchła z mojej winy. Poprosiłem o spotkanie. Bardzo często sama rozmowa z Alice, sam jej widok po wstrząsającym śnie lub

wspomnieniu sprawiają, że czuję się lepiej. Ale popełniłem błąd, idąc do niej do centrum.

Od operacji nie byłem w Centrum dla Upośledzonych Dorosłych i pomyślałem, że wizyta tam może być ciekawa. Mieści się ono przy Dwudziestej Trzeciej Ulicy, na wschód od Piątej Alei, w starej szkole, której Klinika Uniwersytetu Beekmana od pięciu lat używa jako ośrodka nauczania eksperymentalnego – to specjalny program dla upośledzonych. Nad bramą, pomiędzy jej staroświeckimi prętami, wisi tylko lśniąca mosiężna plakietka z napisem „CUD Klinika Beekmana".

Alice kończyła lekcje o ósmej, ale ja chciałem zobaczyć klasę, w której – tak niedawno – z wysiłkiem uczyłem się czytać, pisać i obliczać resztę z dolara.

Wszedłem do budynku, cichutko podszedłem do drzwi klasy i ukradkiem zajrzałem do środka przez szybkę. Alice siedziała za stołem obok kobiety o chudej twarzy – kobiety, której nie znałem, a która marszczyła czoło w wyrazie autentycznego zdumienia. Ciekawe, co Alice próbowała jej wytłumaczyć?

Koło tablicy zobaczyłem wózek Mike'a Dorniego. Na swym zwykłym miejscu, w pierwszej ławce pierwszego rzędu, siedział Lester Braun, zdaniem Alice najzdolniejszy w grupie. Nauka, która z trudem przychodziła mnie, Lesterowi nie sprawiała żadnego kłopotu, ale przychodził do szkoły, kiedy mu się podobało, a czasami nie przychodził w ogóle, zajęty pracą – pastowaniem podłóg. Moim zdaniem, gdyby mu zależało, gdyby szkoła była dla niego tak ważna, jak była dla mnie, to jego użyto by do eksperymentu.

W końcu zebrałem się na odwagę i wszedłem do środka.

Mike obrócił wózek.

– To Charlie! – krzyknął.

Pomachałem mu ręką.

Bernice, ładna blondynka o pustych oczach, spojrzała na mnie z tępym uśmiechem.

– Gdzieś się podziewał, Charlie? – spytała. – Ale garnitur.

Ci, którzy mnie pamiętali, machali mi, a ja im wesoło odpowiadałem. Nagle z wyrazu twarzy Alice zorientowałem się, że jest zirytowana.

– Już prawie ósma – oznajmiła. – Pora doprowadzić klasę do porządku.

Każdy uczeń dokładnie wiedział, co ma posprzątać: czy kredę, czy gumki, czy notatki, czy ołówki, czy zeszyty, czy farby, czy jeszcze coś innego. Każdy wiedział, co powinien zrobić, i był dumny, że robi to dobrze. Teraz wszyscy zabrali się do pracy… wszyscy oprócz gapiącej się na mnie Bernice.

– Dlaczego Charlie nie chodzi już do szkoły? – spytała. – Co się dzieje, Charlie? Wracasz?

W moim kierunku zwróciły się zaciekawione twarze. Spojrzałem na Alice, czekając, by ona to wyjaśniła. Przez dłuższą chwilę panowała cisza. Co mogłem im powiedzieć, by ich nie skrzywdzić?

– Przyszedłem z wizytą – wykrztusiłem w końcu.

Usłyszałem dziewczęcy chichot – to roześmiała się Francine, o którą Alice zawsze bardzo się martwiła. Francine urodziła troje dzieci, nim skończyła osiemnaście lat, i rodzice postanowili przeprowadzić u niej histerektomię. Nie była ładna – z pewnością nie tak atrakcyjna jak Bernice – ale mężczyźni bez problemu kupowali ją za jakąś błyskotkę albo bilet do kina. Wynajmowała pokój w domu, nad którym roztaczał opiekę przytułek Warren, wypuszczano ją też wieczorami, by mogła chodzić do centrum. Odkąd dwukrotnie tam nie dotarła – spotkała po drodze mężczyznę – mogła wychodzić wyłącznie pod opieką.

– Mówi, jakby był ważny – powiedziała i znów zachichotała.

– No dobrze! – przerwała jej ostro Alice. – Koniec lekcji. Spotykamy się jutro o szóstej.

Wyszli, a ja, widząc, jak Alice gwałtownymi ruchami wrzuca rzeczy do schowka, zrozumiałem, że jest zła.

– Przepraszam – powiedziałem. – Chciałem zaczekać na ciebie na dole, ale potem postanowiłem zobaczyć klasę. Z czystej ciekawości. W końcu to moja *alma mater*. Najpierw tylko patrzyłem przez szybę, ale później… sam nie wiem, co we mnie wstąpiło… wszedłem do środka. Coś cię martwi?

– Nie. Nic mnie nie martwi.

– Daj spokój. Przecież widzę, że tak.

Alice rzuciła na stół książkę, którą trzymała.

– Doskonale! Chcesz wiedzieć? Zmieniłeś się. Jesteś innym człowiekiem. Nie mówię o inteligencji, chodzi o twój stosunek do ludzi. Jesteś kimś innym…

– Och, daj spokój. Nie dra…

– Nie przerywaj mi! – W jej głosie było tyle gniewu, że aż się cofnąłem. – Mówię poważnie. Kiedyś było w tobie coś takiego… nie wiem… ciepło, łagodność, serdeczność. Wszyscy cię lubili, dobrze się czuli w twoim towarzystwie. Wcale nie przesadzam. Teraz, mimo całej twojej inteligencji, mimo tej całej wiedzy, jest inaczej i…

Nie potrafiłem dalej jej słuchać.

– A czego się spodziewałaś? Że wciąż będę ślicznym szczeniaczkiem, merdającym ogonkiem i liżącym kopiącą mnie nogę? Jasne, że to, co się stało, zmieniło mnie i sposób, w jaki patrzę na siebie. Nie muszę znosić już tego gówna, którym ludzie obrzucali mnie przez całe życie.

– Ludzie nie byli dla ciebie źli.

– A co ty możesz o tym wiedzieć? Słuchaj, ci najlepsi traktowali mnie z pogardą i z góry… byłem im potrzebny, by mogli poczuć się lepsi,

doskonalsi mimo wszystkich swych ograniczeń. Każdy normalny człowiek jest inteligentniejszy od idioty.

Kiedy to powiedziałem, zdałem sobie sprawę, że Alice z pewnością źle mnie zrozumie.

– Mam wrażenie, że mnie też zaliczasz do tej kategorii.

– Nie mów głupstw. Cholernie dobrze wiesz, że…

– Och, oczywiście, być może masz trochę racji. W porównaniu z tobą nie jestem szczególnie bystra. Ostatnio po każdym naszym spotkaniu wracam do domu z żałosnym przekonaniem, że jestem głupia i na niczym się nie znam. Powtarzam sobie to, co powiedziałam, myślę o wszystkich tych mądrych, błyskotliwych odpowiedziach, których nie udzieliłam, i mam ochotę walić głową w ścianę właśnie dlatego, że nie przyszły mi do głowy, kiedy byliśmy razem.

– Wszyscy nieraz tak się czujemy.

– Z jednej strony chcę ci zaimponować w sposób, o który nigdy się nie podejrzewałam, ale z drugiej nasze spotkania pozbawiają mnie pewności siebie. Bez przerwy zastanawiam się, dlaczego robię to, co robię.

Próbowałem zmienić temat, ale Alice do tego nie dopuściła.

– Słuchaj, nie przyszedłem tu, żeby się z tobą kłócić – powiedziałem w końcu. – Pozwolisz odprowadzić się do domu? Muszę z kimś porozmawiać.

– Ja również. Ale ostatnio jakoś nie potrafię rozmawiać z tobą. Mogę co najwyżej kiwać głową i udawać, że znam się doskonale i na wariantach kulturowych, i na neoboolowskiej matematyce, i na logice postsymbolicznej. Czuję się coraz głupsza i głupsza, a kiedy ode mnie wychodzisz, staję przed lustrem, wrzeszcząc do siebie: „Nie, wcale nie robisz się każdego dnia głupsza. Nie tracisz inteligencji, nie dostałaś sklerozy i nie tępiejesz! To Charlie ruszył do przodu tak szybko, że

wszystkim wokół wydaje się, że się cofają”. Powtarzam to sobie, Charlie, ale kiedy się spotykamy, kiedy mówisz coś, a potem patrzysz na mnie zniecierpliwiony, wiem, że się ze mnie śmiejesz. A kiedy już coś mi wytłumaczysz, a ja nie jestem w stanie zapamiętać twoich wyjaśnień, myślisz, że mnie to nie obchodzi i że mi się po prostu nie chce. Tylko że nie wiesz, jak torturuję siebie, kiedy wreszcie wyjdziesz. Nie wiesz nic o książkach, przez które się przedzieram, o wykładach, na które chodzę… a jednak ile razy coś mówię, patrzysz na mnie jak na małe dziecko. Chciałam, żebyś był inteligentny. Chciałam ci pomóc, chciałam z tobą być… a teraz ty wyganiasz mnie ze swego życia.

Słuchałem jej. Powoli docierało do mnie, jak ogromnie ważne jest wszystko, co mówi. Zajęty sobą i tym, co się ze mną działo, nawet nie pomyślałem, że coś dzieje się z nią.

Kiedy wychodziliśmy ze szkoły, Alice płakała cichutko, a ja zupełnie nie wiedziałem, co powiedzieć. Przez całą drogę autobusem rozmyślałem, jak przedziwnie odwróciła się sytuacja. Alice najzwyczajniej w świecie się mnie bała. Pękły dzielące nas lody, lecz w miarę jak prąd unosił mnie na pełne morze, odległość między nami stale się powiększała.

Miała rację, nie chcąc torturować się naszymi spotkaniami. Nie mieliśmy już ze sobą nic wspólnego. Napięcie pojawiało się nawet w zwykłych, codziennych rozmowach. Łączyło nas jedynie zażenowane milczenie i, kiedy gasło światło, niespełniona tęsknota.

– Jesteś bardzo poważny – powiedziała, otrząsając się z przygnębienia i podnosząc na mnie wzrok.

– Myślę poważnie o nas – odparłem.

– Dlaczego aż tak poważnie? Nie chciałam cię niepokoić. Przechodzisz trudny okres. – Próbowała się uśmiechnąć.

– A jednak zaniepokoiłaś. I nie wiem, co robić.

Kiedy szliśmy z przystanku w kierunku jej domu, powiedziała:

– Nie pojadę z tobą na kongres. Dziś rano telefonowałam w tej sprawie do profesora Nemura. Czeka cię sporo roboty. Spotkasz interesujących ludzi… będziesz się kąpał w blasku sławy. Nie chcę wchodzić ci w drogę…

– Alice…

– Cokolwiek teraz powiesz, nie zmieni to mojej decyzji. Wiem, co czuję, i jeśli ci to nie przeszkadza, spróbuję raczej zająć się mym poturbowanym ego. Zgoda?

– Robisz z tego sprawę poważniejszą, niż jest w istocie. Jestem pewien, że gdybyś tylko…

Alice odwróciła się i z wysokości schodów domu, w którym mieszkała, spojrzała na mnie gniewnie.

– Jesteś *pewien*? Boże, jaki ty stałeś się nieznośny! Skąd możesz wiedzieć, co czuję? Pozwalasz sobie igrać z umysłami ludzi. Nie możesz wiedzieć, *co* czuję, *jak* czuję i *dlaczego* czuję! – Ruszyła w kierunku drzwi, ale jeszcze raz się obejrzała. – Będę tu, kiedy wrócisz – powiedziała. Głos jej drżał. – Jestem trochę roztrzęsiona, nic więcej. Chcę, żebyśmy mieli szansę wszystko sobie przemyśleć, zwłaszcza że będziemy daleko od siebie.

Po raz pierwszy od wielu tygodni nie zaprosiła mnie do środka. Patrzyłem na zamknięte drzwi i czułem, że wręcz gotuję się z gniewu. Miałem ochotę walić w nie, wyrwać je z zawiasów! Pragnąłem, by mój gniew zniszczył cały budynek!

Odszedłem jednak i idąc, czułem, jak gniew stygnie, znika i – wreszcie – zastępuje go ulga. Szedłem tak szybko, że prawie unosiłem się ponad ulicą; nagle doświadczyłem uczucia, które było niczym wiatr chłodzący policzki podczas upalnej nocy.

Poczułem się wolny.

Dopiero teraz zrozumiałem, że uczucie do Alice ciągnęło mnie przeciw prądowi nauki – od ubóstwienia do czułości, wdzięczności i odpowiedzialności. Nie potrafiłem poradzić sobie z tymi emocjami i to właśnie hamowało mój rozwój. Trzymałem się jej kurczowo ze strachu, że będę musiał sam odpowiadać za siebie, że stanę się samodzielny.

Wraz z wolnością pojawił się też jednak smutek. Chciałem kochać Alice. Chciałem pokonać swe emocjonalne i seksualne lęki, chciałem się ożenić, mieć dzieci, rodzinę. A nie jest to niestety możliwe. Z moim IQ 185 dzieli mnie od Alice dystans taki jak wtedy, kiedy miałem IQ 70. I tym razem oboje zdajemy sobie z tego sprawę.

8 czerwca – Co wygania mnie z domu, każe mi łazić po mieście? Wędruję ulicami samotny… i nie jest to uspokajający spacer w ciepłej letniej nocy, lecz raczej pełen napięcia bieg… dokąd? Chodzę ciemnymi zaułkami, przystaję w bramach, zaglądam w na pół zasłonięte okna, szukam kogoś, z kim mógłbym porozmawiać, a jednocześnie boję się spotkać kogokolwiek. Idę jedną uliczką, a potem następną przez ten niekończący się labirynt i rzucam się na neonowe kraty klatki miasta. Szukam… czego?

W Central Parku spotkałem kobietę. Przycupnęła na ławce koło jeziora, mimo upału otulona płaszczem. Uśmiechnęła się, gestem wskazała, bym usiadł obok niej. Patrzyliśmy na panoramę miasta – sieć świateł na tle ciemności. Żałowałem, że nie mogę wchłonąć w siebie ich wszystkich.

Tak – powiedziałem jej – pochodzę z Nowego Jorku. Nie, nigdy nie byłem w Newport News w Wirginii. Stamtąd przyjechała, tam poślubiła marynarza, który był teraz na morzu i którego nie widziała dwa i pół roku.

Bawiła się chusteczką, mięła ją i skręcała, a od czasu do czasu wycierała nią pot z czoła. Nawet w bladym, odbitym od jeziora świetle widziałem, że

jest mocno wymalowana, była jednak ładna z prostymi, czarnymi, opadającymi na plecy włosami, tylko twarz miała opuchniętą, jakby przed chwilą się obudziła. Chciała mówić o sobie, a ja chciałem słuchać.

Ojciec zapewnił jej bezpieczny dom, wykształcenie, wszystko, co zamożny właściciel stoczni może zapewnić jedynej córce. Brakowało mu tylko zdolności wybaczania. Nigdy nie wybaczył jej tego, że uciekła z marynarzem.

Mówiła, trzymając mnie za rękę, z głową opartą na mym ramieniu.

– Kiedy pobraliśmy się z Garym – opowiadała – byłam przerażoną dziewicą. A on po prostu oszalał. Najpierw mnie uderzył, pobił, a potem wziął, bez żadnych czułości. Wtedy byliśmy razem po raz pierwszy i ostatni. Już nigdy nie pozwoliłam mu się dotknąć.

Po drżeniu mej dłoni rozpoznała prawdopodobnie, jak bardzo byłem zaskoczony; jej zwierzenia wydawały mi się zbyt pełne gwałtu, zbyt intymne. A jednak ścisnęła ją mocniej, jakby musiała skończyć tę opowieść, nim mnie puści. Dla niej było to bardzo ważne, a ja siedziałem w milczeniu, nieruchomo, jak siedzi człowiek, któremu ptak dziobie okruszki z ręki.

– Nie to, żebym nie lubiła mężczyzn – zapewniła mnie z niewinną otwartością. – Byłam z innymi. Nie z nim, ale z wieloma innymi. Większość jest łagodna i czuła. Kochają się powoli, najpierw pieszczą i całują.

Patrzyła na mnie znacząco, otwartą dłonią przesuwając delikatnie po mojej dłoni.

To o tym tyle słyszałem, czytałem, marzyłem. Nie znałem jej imienia i ona nie zapytała o moje. Chciała tylko, żebym zabrał ją tam, gdzie moglibyśmy być sami. Przez chwilę zastanawiałem się, co powiedziałaby na to Alice.

Pieściłem ją niezręcznie i pocałowałem tak niezgrabnie, że aż na mnie spojrzała.

– O co chodzi? – szepnęła. – O czym myślisz?

– O tobie.

– Znasz jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy pójść?

Kolejny ostrożny krok do przodu. Za którym ziemia ugnie mi się pod stopami, pogrążając mnie w panicznym strachu? Coś jednak kazało mi stawiać nogę za nogą, badać grunt.

– Hotel Mansion na Pięćdziesiątej Trzeciej nie jest zbyt drogi. No i jeśli zapłacić z góry, to nie przejmują się brakiem bagażu.

– Mam pokój…

Spojrzała na mnie z czymś w rodzaju szacunku.

– Cieszę się.

Nadal nic. Samo w sobie było to dość dziwne. Jak daleko mogę się posunąć, nim doświadczę symptomów paniki? Kiedy będziemy już u mnie? Kiedy się rozbierze? Kiedy zobaczę jej ciało? Kiedy już położymy się do łóżka?

Nagle musiałem sprawdzić, czy mogę być jak inni mężczyźni, czy kiedyś będę mógł poprosić kobietę, by dzieliła ze mną życie, bo wiedza i inteligencja to przecież nie wszystko; uczucia pragnąłem równie mocno. Czułem się wolny, lekki, pojawiła się także niemal całkowita pewność, że jestem w stanie tego dokonać. Znów ją pocałowałem, poczułem podniecenie i już wiedziałem, że mogę z nią być normalny. Ta kobieta nie przypominała Alice. Życie jej nie rozpieszczało.

I wtedy powiedziała cichym, niepewnym głosem:

– Nim pójdziemy… jest jedna sprawa.

Wstała, zrobiła krok w moim kierunku, oświetlona blaskiem latarni i rozpięła płaszcz. Dostrzegłem jej ciało – kształt, którego ani razu sobie nie

wyobraziłem, choć tak długo siedzieliśmy w mroku, przytuleni.

– Dopiero piąty miesiąc – oznajmiła. – To nie ma żadnego znaczenia i nie przeszkadza ci, prawda?

Stała, rozchylając płaszcz, niczym sylwetka nałożona na obraz kobiety w średnim wieku, która właśnie wyszła z wanny, otworzyła drzwi i pokazuje się stojącemu w progu Charliemu. Czekałem tak, jak świętokradca czeka na błysk pioruna. Odwróciłem wzrok. Czegoś takiego się nie spodziewałem, a przecież płaszcz, otulający ją w tak upalną noc, powinien ostrzec mnie, że coś tu jest nie w porządku.

– Ono nie jest mojego męża – upewniła mnie. – Nie kłamałam ci, daję słowo, że nie kłamałam. Nie widziałam go od lat. To komiwojażera, którego poznałam przed ośmioma miesiącami. Mieszkałam z nim. Nie będę się już z nim widywać, ale zatrzymam dziecko. Musimy po prostu uważać, postępować łagodnie, ale poza tym nie masz czym się martwić…

Umilkła powoli, wreszcie zdawszy sobie sprawę z mego gniewu.

– To obrzydliwe! – krzyknąłem. – Powinnaś się wstydzić!

Odsunęła się i otuliła płaszczem, chroniąc nim to, co nosiła w swym ciele.

Ten jej gest przywołał drugi obraz – obraz matki będącej w ciąży z moją siostrą, kiedy to przestała się mną opiekować, kiedy nie ogrzewała mnie ciepłym głosem, nie pocieszała łagodnym dotykiem, kiedy już nie chroniła mnie tak przed ludźmi ośmielającymi się twierdzić, że jestem nienormalny.

Chyba złapałem ją za ramię, nie jestem pewien, ale zaczęła krzyczeć i to przywołało mnie do rzeczywistości z poczuciem zagrożenia. Chciałem powiedzieć tej kobiecie, że nie mam złych zamiarów, że nie byłbym w stanie skrzywdzić ani jej, ani nikogo.

– Nie krzycz, proszę – odezwałem się.

Ale ona krzyczała. Na ciemnej ścieżce zatupotały czyjeś kroki. I zdarzyło się coś, czego nie potrafiłbym wytłumaczyć nikomu. Uciekłem w ciemność i skręcałem ze ścieżki na ścieżkę, szukając drogi na ulicę. Nie znałem parku; nagle uderzyłem całym ciałem w coś elastycznego, co mnie odrzuciło. Siatka – nie przedostanę się tędy. Zobaczyłem huśtawki i zjeżdżalnie i uświadomiłem sobie, że trafiłem na zamknięty na noc plac zabaw dla dzieci. Ruszyłem wzdłuż ogrodzenia, szedłem szybko, podbiegałem, potykałem się o korzenie. Zawróciłem przy brzegu jeziora przylegającego do placu zabaw, znalazłem ścieżkę, przeszedłem przez mostek, okrążyłem go, zszedłem niżej… lecz nie znalazłem wyjścia.

– Co się stało? Co się stało, proszę pani?

– Maniak seksualny?

– Nic pani nie jest?

– W którą stronę uciekł?

Zatoczyłem koło i wróciłem do miejsca, z którego uciekłem. Wślizgnąłem się za stos kamieni obrośniętych jakimiś kolczastymi krzakami i przywarłem do ziemi.

– Policja! Dlaczego policji nigdy nie ma, kiedy jest potrzebna?

– Co się stało?

– Próbował ją zgwałcić jakiś degenerat.

– Słuchajcie, jakiś gość go ściga… O, tam jest!

– Lecimy! Dorwiemy sukinsyna, nim ucieknie z parku!

– Uważajcie, ma nóż i rewolwer…

Wydawało się jasne, że hałas wypłoszył nocnych bywalców parku. Tuż za mną też rozległ się krzyk: „O, tam jest!”. Wyjrzałem zza kamieni. Goniono kogoś uciekającego z oświetlonej lampami ścieżki w ciemność zarośli. Po chwili ktoś jeszcze przebiegł obok mojej kryjówki i znikł w mroku. Wyobraziłem sobie, jak chwyta mnie rozemocjonowany tłum, jak

ludzie biją mnie i szarpią. Zasłużyłem sobie na to. Niemal chciałem, by mnie złapano.

Wstałem, otrzepałem ubranie z liści i ziemi i powoli ruszyłem ścieżką w kierunku, z którego przyszedłem, spodziewając się, że lada chwila ktoś złapie mnie z tyłu i rzuci na ziemię, w ciemność, wkrótce jednak dostrzegłem jaskrawe światła Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy i Piątej Alei. Wyszedłem z parku.

Gdy teraz, bezpieczny w moim pokoju, rozmyślam o tym, co zaszło, wstrząsa mną krystaliczna czystość wspomnienia. Przerażające jest to, jak dokładnie pamiętam wygląd matki przed urodzeniem Normy, lecz jeszcze straszniejsze wydaje mi się owo pragnienie, by mnie pobito. Dlaczego pragnę kary? Cienie przeszłości czepiają się moich nóg i ściągają mnie w dół. Otwieram usta do krzyku, lecz nie wydobywa się z nich żaden dźwięk. Drżą mi dłonie. Zimno mi, a w uszach słyszę cichy szum…

Dziennik 13

10 czerwca – Nasz odrzutowiec wystartuje zaraz do Chicago. Ten wpis do dziennika zawdzięczam Burtowi, który wpadł na pomysł, żebym podyktował go na przenośny tranzystorowy magnetofon, a w Chicago dał do przepisania stenografowi. Nemurowi bardzo się to spodobało. Właściwie chce nawet, żebym nagrywał do ostatniej chwili. Uważa, że jego sprawozdanie będzie pełniejsze, jeśli dołoży do niego nagraną przed momentem taśmę.

No więc siedzę sobie w naszym prywatnym przedziale odrzutowca do Chicago, próbując przyzwyczaić się do myślenia na głos… oraz dźwięku własnego głosu. Mam nadzieję, że stenograf ominie wszystkie te „aaa…” i „eee…” i sprawi, że na papierze będzie to wyglądało naturalnie (sama myśl o tym, że setki ludzi będą słuchały tego, co teraz mówię, po prostu mnie paraliżuje).

Nie potrafię o niczym myśleć. W tej chwili to uczucia są dla mnie najważniejsze.

Przeraża mnie sama idea uniesienia się w powietrze.

O ile pamiętam, w owych dniach przed operacją nigdy do końca nie rozumiałem, czym są samoloty. Nie kojarzyłem filmów i telewizyjnych zbliżeń z tym czymś, co niekiedy przelatywało mi nad głową. Teraz, tuż przed startem, potrafię myśleć tylko o jednym: co będzie, jeśli dojdzie do katastrofy. Jest mi zimno, zdaję sobie sprawę z tego, że nie chcę umierać. Przywodzi mi to na myśl dyskusje o Bogu.

Przez kilka ostatnich tygodni myślałem o śmierci, ale nigdy o Bogu. Mama od czasu do czasu zabierała mnie do kościoła, ale nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek powiązał kościół z Bogiem. Owszem, dość często o Nim wspominała i kazała mi wieczorami modlić się do Niego, ale nigdy się nad tym wszystkim nie zastanawiałem. Wspominam Go jako kogoś w rodzaju rzadko widywanego wujcia z długą brodą siedzącego na wielkim tronie (trochę jak Święty Mikołaj z supermarketu, który siedzi w fotelu, bierze cię na kolana i pyta, czy byłeś grzecznym chłopcem i co chciałbyś dostać pod choinkę). Mama bała się Boga, ale i tak prosiła go o przysługi. Ojciec nigdy o Nim nie wspominał – jakby Bóg był jednym z tych krewnych Rose, z którymi wolał nie utrzymywać bliższych kontaktów.

* * *

– Za chwilę startujemy, proszę pana. Czy mogę pomóc panu w zapięciu pasa?

– A muszę zapiąć pas? Nie lubię, jak się mnie do czegoś przywiązuje.

– Tak, proszę pana. Będzie pan mógł się rozpiąć, gdy tylko znajdziemy się w powietrzu.

– Wolałbym nie, jeśli nie jest to absolutnie konieczne. Boję się unieruchomienia. Być może dostanę nawet mdłości.

– Takie są przepisy, proszę pana. Pomogę panu.

– Nie! Zrobię to sam.

– W ten sposób… o, tak…

– Chwileczkę… ach… Dziękuję pani.

* * *

Zrobiłem z siebie pośmiewisko. Nie było się czego bać. Pas nie jest wcale ciasny i prawie się go nie czuje. Czemu tak się przeraziłem na samą myśl o tym, że będę musiał go zapiąć? Bałem się i tego, i drżenia samolotu podczas startu. Czułem panikę zupełnie nieprzystającą do sytuacji… więc musi być coś… ale co?… lot poprzez ciemne chmury… zapiąć pasy… skrępowany… wyrywający się… zapach przepoconej skóry… drżenie i rozrywający uszy huk.

Przez okno, w ciemnych chmurach, widzę Charliego. Trudno mi powiedzieć, w jakim jest wieku, ma zapewne około pięciu lat. Przed przyjściem na świat Normy…

– Gotowi? – Jego ojciec staje w drzwiach. Jest tęgi, skóra fałduje mu się na szyi, policzki ma obwisłe. Sprawia wrażenie zmęczonego. – Pytałem, czy jesteście gotowi.

– Jeszcze chwilka – odpowiada Rose. – Właśnie zakładam kapelusz. Sprawdź, czy zapiął koszulę, i zawiąż mu sznurowadła.

– Chodźmy i załatwmy wreszcie tę sprawę raz na zawsze.

– Gdzie? – pyta Charlie. – Gdzie… Charlie… idzie…?

Ojciec spogląda na niego spod zmarszczonych brwi. Matt Gordon nigdy nie nauczył się odpowiadać na pytania syna.

W drzwiach sypialni pojawia się Rose, poprawiając spływającą z kapelusza krótką woalkę. Wygląda jak ptak, a jej uniesione, rozpostarte ramiona sprawiają wrażenie skrzydeł.

– Do doktora. Doktor pomoże ci i będziesz mądry.

Ta woalka powoduje, że matka patrzy na niego jak przez siatkę. Charlie zawsze się boi, kiedy oni tak się ubierają, bo oznacza to, że spotka jakichś ludzi i matka będzie się denerwować i gniewać.

Chciałby uciec, ale nie ma dokąd.

– Musiałaś mu powiedzieć? – pyta Matt.

– Musiałam, bo to prawda. Doktor Guarino może mu pomóc.

Matt zaczyna spacerować po pokoju. Sprawia wrażenie człowieka, który wprawdzie porzucił już wszelką nadzieję, ale ma zamiar jeszcze ten jeden raz odwołać się do zdrowego rozsądku.

– Skąd możesz wiedzieć? Co w ogóle wiesz o tym człowieku? Gdyby Charliemu można było pomóc, lekarze już dawno powiedzieliby nam jak.

– Nie mów tak! – wrzeszczy matka. – Nie waż się mówić, że jemu nie można pomóc! – Łapie Charliego i przyciska jego głowę do piersi. – Będzie normalny. Zrobimy wszystko, żeby był normalny, zapłacimy im, ile będą chcieli!

– Tego nie da się kupić.

– Mówimy o Charliem! O Charliem! O twoim synu… twoim jedynym dziecku. – Szarpie Charliego, kołysze nim gwałtownie, jest bliska histerii. – Nie będę słuchać, jak tak mówisz! Oni nic nie wiedzą, więc mówią, że nic się nie da zrobić. Doktor Guarino wszystko mi wytłumaczył. Twierdzi, że nie chcą go finansować, bo musieliby przyznać, że nic nie wiedzą! Mówi, że tak było ze wszystkimi wielkimi odkrywcami, z Pasteurem, Jenkinsem i całą resztą! Opowiedział mi o wszystkich tych twoich wspaniałych lekarzach, co najbardziej boją się postępu!

Kiedy tak mówi do Matta, uspokaja się i odzyskuje pewność siebie. Puszcza Charliego, a ten ucieka do kąta i przyciska się plecami do ściany. Jest przerażony i cały aż drży.

– Zobacz – mówi Rose – znowu go zdenerwowałeś.

– Ja?

– Ty zawsze zaczynasz się kłócić przy nim.

– Chryste! Dobra, idziemy. Najwyższy czas z tym skończyć.

Przez całą drogę do gabinetu doktora Guarino obydwoje milczą. Milczą w autobusie, milczą, pokonując pieszo trzy przecznice dzielące przystanek od budynku w centrum miasta. Po jakichś piętnastu minutach w poczekalni zjawia się doktor i wita ich serdecznie. Jest gruby, łysiejący i wygląda tak, jakby lada chwila miał wyskoczyć górą z ciasnego białego fartucha. Charliego fascynują jego gęste białe brwi i siwe wąsy, które poruszają się od czasu do czasu. Niekiedy najpierw poruszają się wąsy, a potem unoszą brwi, ale innym razem brwi unoszą się pierwsze, a wąsy ruszają potem.

Doktor zaprasza ich do dużego białego pokoju, pachnącego świeżą farbą i niemal pustego. Pod jedną ścianą stoją dwa duże biurka, a pod drugą wielka maszyna z rzędami kontrolek i czterema długimi wysięgnikami wyglądającymi jak dentystyczne wiertła. Obok niej znajduje się łóżko z grubymi tkanymi pasami.

– No proszę, proszę – mówi Guarino, unosząc brwi. – A więc ty jesteś Charlie. – Mocno chwyta chłopca za ramiona. – Zostaniemy przyjaciółmi – oznajmia.

– Czy rzeczywiście może mu pan pomóc, doktorze Guarino? – pyta Matt. – Leczył pan kiedyś podobne przypadki? Nie przelewa się nam.

Guarino marszczy się, brwi spadają mu na oczy jak żaluzje.

– Panie Gordon, czyżbym choć słowem wspomniał o tym, co mogę zrobić? Czy pana zdaniem nie muszę go najpierw zbadać? Może uda mi się mu pomóc, a może nie. Przede wszystkim trzeba przeprowadzić testy jego stanu fizycznego i umysłowego i określić przyczynę patologii. Będziemy mieli dość czasu, by porozmawiać o prognozach. Szczerze mówiąc, jestem ostatnio bardzo zajęty. Zgodziłem się wziąć przypadek pańskiego syna tylko dlatego, że piszę akurat pracę o tego typu upośledzeniu umysłowym. Oczywiście, jeśli ma pan jakieś wątpliwości…

Poważny głos cichnie znacząco i doktor odwraca się, a Rose z całej siły szturcha Matta w bok.

– Mój mąż wcale nie miał tego na myśli – oznajmia szybko. – Po prostu za wiele mówi. – Patrzy na niego wściekle i zmusza go wzrokiem do przeprosin.

Matt wzdycha.

– Jeśli rzeczywiście może pan pomóc Charliemu, zrobimy wszystko, czego pan sobie zażyczy. Czasy nie są najlepsze. Sprzedaję narzędzia fryzjerskie, lecz cokolwiek mam…

– W jednej sprawie będę stanowczy. – Guarino zaciska usta, jakby nagle podjął jakąś decyzję. – Jeśli zaczniemy kurację, musimy doprowadzić ją do końca. W tego rodzaju przypadkach rezultaty często pojawiają się nagle, po wielu miesiącach pracy, która nie przynosi na pozór żadnych efektów. Oczywiście musicie państwo pamiętać, że nie gwarantuję sukcesu. Niczego państwu nie obiecuję. Trzeba jednak dać szansę leczeniu, w przeciwnym razie lepiej w ogóle nie zaczynać.

Marszczy czoło i patrzy na nich w milczeniu podkreślającym wagę udzielonej właśnie przestrogi. Spod białych markiz brwi niebieskie oczy lśnią lodowatym blaskiem.

– Teraz proszę, byście państwo wyszli i pozwolili mi zbadać chłopca.

Matt waha się, nie chce zostawić Charliego sam na sam z lekarzem, ale Guarino stanowczo kiwa głową.

– Tak będzie najlepiej – tłumaczy, wypychając ich z gabinetu. – Rezultaty testów psychowzmocnienia zawsze są bardziej znaczące, gdy zostaję sam z pacjentem. Czynniki zewnętrzne powodują losowy rozrzut wyników badań o charakterze statystycznym.

Rose tryumfalnie uśmiecha się do męża. Pokonany Matt pokornie wychodzi z gabinetu.

Zostają sami. Doktor Guarino klepie Charliego po głowie. Uśmiecha się łagodnie.

– No dobrze, mały – mówi. – Połóż się.

Charlie nie reaguje, więc lekarz delikatnie bierze go na ręce, układa na łóżku i ciasno krępuje ciężkimi pasami. Łóżko pachnie przesyconą potem skórą.

– Mamusiu!

– Mama wyszła. Nie bój się, Charlie. To nie będzie bolało.

– Chcę do mamusi! – Charlie się boi. Nie wie, dlaczego został w ten sposób skrępowany. Nie ma też pojęcia, co się wokół niego dzieje, ale miał już do czynienia z lekarzami, którzy po wyjściu rodziców wcale nie byli tacy łagodni.

Guarino próbuje go uspokoić.

– Spokojnie, mały – mówi. – Nie masz się czego bać. Widzisz tę wielką maszynę? Wiesz, do czego służy?

Charlie kurczy się ze strachu, ale pamięta słowa matki.

– Żebym był mądrzejszy – mówi.

– Słusznie. Przynajmniej wiesz, po co tu jesteś. A teraz zamknij oczy i rozluźnij się. Muszę ją włączyć. Robi tyle hałasu co samolot, ale to nie będzie bolało. Sprawdzimy, czy można uczynić cię odrobinę mądrzejszym.

Guarino naciska guzik. Maszyna warczy, czerwone i niebieskie światełka zapalają się i gasną. Charlie jest przerażony, kurczy się, drży, szarpie w pasach przykuwających go do łóżka. Zaczyna krzyczeć, ale lekarz błyskawicznie wpycha mu w usta knebel.

– Nie teraz, Charlie. Nie teraz – mówi. – Nie czas na to. Bądź dobrym chłopcem. Przecież mówiłem, że to nie boli.

Charlie próbuje znów krzyczeć, ale przez knebel wydostają się tylko głuche stęknięcia, od których zbiera mu się na wymioty. Między nogami

czuje coś mokrego i lepkiego; po zapachu wie, że mama zbije go i postawi w kącie za to, że zrobił w majtki. Ale nie potrafił się powstrzymać. Zawsze kiedy czuje się wpędzony w pułapkę, kiedy wpada w panikę, traci kontrolę nad sobą i brudzi się. Brakuje mu oddechu… musi zwymiotować… świat robi się czarny…

Charlie nie wie, ile czasu minęło, ale kiedy otwiera oczy, nie czuje już w ustach knebla i pasy też go nie krępują. Doktor Guarino udaje, że nie zauważył brzydkiego zapachu.

– Nie bolało, prawda? – pyta.

– Nieee…

– No więc dlaczego tak się trzęsiesz? Przecież tylko włączyłem maszynę, która zrobiła cię trochę mądrzejszym. Jakie to uczucie być mądrzejszym niż przedtem?

Charlie natychmiast zapomina o strachu. Szeroko otwartymi oczami gapi się na maszynę.

– To ja zmądrzałem? – pyta.

– Oczywiście. Ach… odsuń się troszeczkę. Jakie to uczucie?

– Mokre. Popuściłem.

– Cóż… ach… następnym razem nie zachowasz się tak, prawda? Nie będziesz się bał, bo przecież wiesz już, że to nie boli. Chcę, żebyś teraz wrócił do mamusi i powiedział jej, jaki czujesz się mądry i żeby przyprowadzała cię tu dwa razy w tygodniu na krótkofalowe encefalorekondycjonowanie. Za każdym razem będziesz trochę mądrzejszy.

Charlie się uśmiecha.

– Umiem chodzić do tyłu – oznajmia.

– Doprawdy? No to sprawdźmy. – Doktor Guarino zamyka trzymaną w rękach teczkę, udając wielkie zainteresowanie. – Pokaż mi, jak to robisz.

Powoli, z wielkim wysiłkiem Charlie robi kilka kroków tyłem, potykając się po drodze o lekarskie łóżko z pasami. Guarino uśmiecha się i kiwa głową.

– To dopiero coś! – mówi. – Poczekaj tylko, a kiedy z tobą skończę, będziesz najmądrzejszym chłopcem na całej ulicy.

Charlie czerwienieje z dumy, że został pochwalony i że ktoś poświęca mu tyle uwagi. Ludzie rzadko się do niego uśmiechają i rzadko mówią, że zrobił coś dobrze. Już prawie zapomniał o strachu przed maszyną i przed pasami, którymi go przywiązano.

– Na całej ulicy? – Radość rozpiera go, nie pozwalając nabrać powietrza w płuca, choć stara się jak może. – Będę mądrzejszy nawet od Hymiego?

Guarino znów się uśmiecha i kiwa głową.

– Będziesz mądrzejszy od Hymiego – obiecuje.

Charlie patrzy na maszynę. Jest zdumiony i przejęty głębokim szacunkiem. Ta maszyna sprawi, że będzie mądrzejszy od Hymiego, który mieszka dwa domy od niego, umie czytać i pisać i jest harcerzem.

– To pana maszyna? – pyta.

– Jeszcze nie. Na razie należy do banku. Ale już wkrótce będzie moja i wtedy uczynię mądrymi wielu chłopców takich jak ty. – Klepie Charliego po głowie. – Jesteś o wiele milszy od tych wszystkich normalnych chłopców, których przyprowadzają mi mamusie, żebym z nich zrobił geniuszy przez podniesienie IQ.

– A pan mi zrobi gen… siusi? – Charlie nie potrzebuje macać spodni, żeby wiedzieć, co mu się przytrafiło. A to przecież źle.

Guarino śmieje się przyjaźnie i znów ściska go za ramię.

– Nie. I nie przejmuj się, Charlie. Każdemu to się czasem zdarza. Jak zmądrzejesz, nie będziesz się miał czym martwić. – Przerywa, zastanawia się nad tym, co powiedział, i pośpiesznie dodaje: – Oczywiście już jesteś

trochę mądrzejszy, ale to nie wszystko. – Mówiąc to, otwiera drzwi gabinetu. Wypuszcza Charliego w objęcia rodziców. – Oto państwa syn – mówi. – Widzicie, nie zrobiłem mu krzywdy. To dobry chłopiec. Myślę, że zostaniemy przyjaciółmi, prawda, Charlie?

Charlie kiwa głową. Chce, żeby doktor Guarino go lubił, ale wyraz twarzy matki na nowo budzi w nim przerażenie.

– Charlie! Coś ty narobił?!

– To zwykły przypadek, pani Gordon. Przestraszył się, przy pierwszej wizycie często tak bywa. Proszę go o to nie obwiniać i proszę go nie karać. Nie chcę, żeby kojarzył sobie karę z naszymi spotkaniami.

Rose Gordon jest jednak niemal nieprzytomna z zażenowania.

– Toż to obrzydliwe – szlocha. – Zupełnie nie wiem, co robić, doktorze Guarino. Zapomina się nawet w domu… czasami przy gościach. Tak się za niego wstydzę!

Wyraz obrzydzenia na twarzy matki sprawia, że Charlie zaczyna się trząść. Na chwilę zapomniał, jaki jest niedobry, jak ciężki krzyż dźwigają przez niego rodzice. Nie wie, dlaczego tak się dzieje, ale kiedy matka mówi, że dźwiga przez niego ciężki krzyż, kiedy płacze i krzyczy, Charlie zaczyna się bać, więc i teraz odwraca się buzią do ściany i cicho jęczy.

– Pani Gordon, proszę nie denerwować chłopca i proszę się nie martwić. Niech pani przyprowadza go do mnie we wtorki i czwartki, zawsze o tej samej porze.

– Ale czy to naprawdę może mu pomóc? – wtrąca Matt. – Dziesięć dolarów to mnóstwo pie…

– Matt! – Rose łapie go za rękaw. – Czy naprawdę musimy teraz o tym rozmawiać? Przecież Charlie to krew z twojej krwi. Doktor Guarino z Bożą pomocą może sprawić, że będzie jak inne dzieci, a ty tu mówisz o pieniądzach!

Matt otwiera usta, jakby chciał się bronić, ale mądrze rezygnuje w pół słowa, wzdycha, wyjmuje portfel i wyciąga z niego dziesiątkę.

– Proszę… – wzdycha Guarino, jakby widok pieniędzy go zawstydzał. – W recepcji znajdziecie państwo mojego asystenta, który zajmie się sprawami finansowymi. Dziękuję państwu. – Lekko kiwa głową w kierunku Rose, potrząsa dłonią Matta, klepie Charliego po ramieniu. – Ładny chłopczyk, bardzo ładny – mówi, znów się uśmiecha i znika za drzwiami gabinetu.

Rodzice kłócą się przez całą drogę do domu. Matt narzeka, że handel artykułami fryzjerskimi podupada, a ich oszczędności topnieją, Rose wrzeszczy na niego, że zrobienie z Charliego normalnego chłopca jest ważniejsze od handlu i oszczędności, jest najważniejsze na świecie.

Wystraszony ich kłótnią Charlie jęczy cicho. Gniew w ich głosach sprawia mu ból. Kiedy tylko wchodzą do domu, wyrywa się im, biegnie do kuchni, staje w kącie za drzwiami i przycisnąwszy głowę do ściany, trzęsie się i zawodzi.

A oni nie zwracają na niego najmniejszej uwagi. Zapomnieli, że trzeba go umyć i przebrać.

– Wcale nie histeryzuję! Po prostu nie mogę znieść, że jęczysz i stękasz, kiedy tylko próbuję zrobić coś dla twojego syna! On cię nie obchodzi. On cię zupełnie nie obchodzi!

– To nieprawda! Po prostu wiem, że nic się nie da zrobić. Kiedy masz takie dziecko jak on, po prostu dźwigasz swój krzyż i kochasz je! Ja tam mogę dźwigać ten krzyż, ale nie jestem w stanie znieść twojej głupoty. Na oszustów i szalbierzy wydałaś już prawie całe moje oszczędności… pieniądze, które mógłbym przeznaczyć na otwarcie własnego zakładu! Tak! Nie patrz na mnie w ten sposób! Za te wszystkie pieniądze, które wyrzuciłaś na śmietnik, żeby zrobić dla chłopca coś, czego po prostu nie da

się zrobić, mógłbym otworzyć własny zakład, zamiast szarpać się z robotą po dziesięć godzin dziennie. Miałbym własny zakład i ludzie pracowaliby dla *mnie*!

– Nie wrzeszcz! Popatrz na Charliego, jest przerażony!

– Idź do diabła. Wiem, kto tu jest idiotą! Ja! Bo się z tobą związałem!

Matt wypada z kuchni. Trzaskają drzwi.

* * *

– Przepraszam, że panu przeszkadzam, ale za parę minut lądujemy. Znów będzie pan musiał zapiąć pas… Och, pański pas jest zapięty! Nie rozpiął go pan od Nowego Jorku! Prawie dwie godziny…

– Całkiem o nim zapomniałem. Zostawię go tak, póki nie wylądujemy. To już nie problem.

* * *

Dopiero teraz zrozumiałem, skąd to moje niesłychanie silne pragnienie, by stać się *mądrym*, które na początku tak wszystkich zdumiewało. Rose żyła i oddychała nadzieją, że kiedyś będę mądry. Tkwią we mnie jej strach, jej poczucie winy, jej wstyd, że ma syna idiotę, i jej marzenie, że kiedyś uda się coś z tym zrobić. Jej niepewność – czy to ona zawiniła, czy może Matt? Norma w końcu dowiodła, że może mieć normalne dzieci, a ja to tylko dziwadło, i dopiero wtedy dała sobie spokój z przerabianiem mnie. Jednak ja nigdy nie przestałem próbować być mądrym chłopcem, o którym tak marzyła, nigdy nie przestałem pragnąć jej miłości.

Śmieszna rzecz z tym Guarino. Powinienem go nienawidzić za to, co mi zrobił i jak wykorzystał Rose i Matta, ale jakoś nie potrafię. Po tym

pierwszym dniu zawsze był dla mnie miły. Nie zapominał klepnąć mnie w ramię, uśmiechnąć się, dodać mi odwagi miłym słowem, które tak rzadko słyszałem.

Już wtedy traktował mnie jak człowieka.

Być może wydam się niewdzięczny, ale to jedna z tych rzeczy, których tu nie znoszę – chodzi o traktowanie mnie jak królika doświadczalnego. Nemur bez przerwy twierdzi, że „zrobił mnie tym, kim jestem", że kiedyś będą inni tacy jak ja, którzy „staną się prawdziwymi ludźmi".

Jak mogę mu wytłumaczyć, że mnie nie stworzył?

Nemur popełnia błąd typowy dla tych, którzy patrzą na upośledzonego człowieka i śmieją się, nie wiedząc, że on też ma uczucia. Nie zdaje sobie sprawy, że nim trafiłem w jego ręce, już kimś byłem.

Uczę się opanowywać niechęć, nie ulegać zniecierpliwieniu, czekać na rozwój wypadków. Mam wrażenie, że dorośleję. Każdego dnia coraz więcej się o sobie dowiaduję, a wspomnienia, niegdyś z trudem uchwytne zmarszczki na powierzchni, teraz zalewają mnie jak fale oceanu…

11 czerwca – Zamieszanie zaczęło się, gdy dojechaliśmy do hotelu Chalmers w Chicago i odkryliśmy, że wskutek pomyłki nasze pokoje zwolnią się dopiero jutro i pierwszą noc będziemy musieli spędzić w pobliskim hotelu Independence. Nemur po prostu się wściekł. Potraktował to jako osobistą obrazę. Wykłócał się z całą hotelową hierarchią, począwszy od boya, a skończywszy na dyrektorze. Siedzieliśmy w holu, a tymczasem kolejne jego ofiary udawały się na poszukiwanie zwierzchników mających zaradzić sytuacji.

Pośrodku tej burzy, wśród rosnących dookoła gór bagażu, tragarzy jeżdżących małymi wózkami, ludzi, którzy nie widzieli się od roku i teraz

witali hałaśliwie i wylewnie, staliśmy coraz bardziej zażenowani, podczas gdy Nemur próbował dotrzeć do kogoś reprezentującego Międzynarodowe Stowarzyszenie Psychologiczne. Kiedy stało się jasne, że nikt nic nie może dla nas zrobić, przyjął wreszcie do wiadomości, że pierwszą noc w Chicago będziemy musieli spędzić w Independence.

Okazało się, że w hotelu tym zatrzymała się większość młodych psychologów, tam też odbywały się najhuczniejsze nocne imprezy. Ludzie tu słyszeli już o naszym eksperymencie i większość z nich dobrze wiedziała, kim jestem. Gdziekolwiek poszliśmy, zawsze zjawiał się ktoś, kto pytał mnie o zdanie na jakiś temat, począwszy od skutków nowo wprowadzonego podatku, a skończywszy na ostatnich odkryciach archeologicznych w Finlandii. Inspirowały mnie te pytania, a ponieważ dysponowałem sporym zasobem wiedzy ogólnej, mogłem bez przeszkód dyskutować niemal o wszystkim. Po pewnym czasie zorientowałem się jednak, że Nemura irytuje okazywane mi zainteresowanie, więc kiedy ładna młoda lekarka z Falmouth College spytała, czy mógłbym wyjaśnić przyczyny mojego upośledzenia, powiedziałem jej, że najlepiej potrafi odpowiedzieć na to profesor Nemur.

Nemur tylko czekał na okazję do zademonstrowania swej wiedzy. Po raz pierwszy od chwili, kiedy się poznaliśmy, położył mi dłoń na ramieniu.

– Nie wiemy dokładnie, co powoduje ten typ fenyloketonurii, na który Charlie chorował jako dziecko. Być może jest to skutek niezwykłej kombinacji biochemicznej lub genetycznej, może promieniowania, a może choroby wirusowej płodu. W każdym razie rezultatem było pojawienie się, nazwijmy to tak, „niezależnego enzymu” powodującego zakłócenie reakcji biochemicznych. Wówczas, oczywiście, nowo produkowane aminokwasy konkurują z normalnymi enzymami, powodując uszkodzenie mózgu.

Dziewczyna się skrzywiła. Nie oczekiwała wykładu, ale Nemur, skoro już doszedł do głosu, postanowił w pełni wykorzystać okazję.

– Ja to nazywam „inhibicją kompetycyjną enzymów”. Pozwólcie mi, państwo, wyjaśnić jej działanie na prostym przykładzie. Wyobraźcie sobie, proszę, enzym wyprodukowany przez zdefektowany gen jako *niewłaściwy klucz, który pasuje* wprawdzie do chemicznego zamka ośrodkowego układu nerwowego, lecz *nie obraca się* w nim. Ponieważ zły klucz tkwi w zamku, klucz właściwy, czyli właściwy enzym, nie może doń trafić. Jaki jest tego rezultat? Nieodwracalne zniszczenie białek w tkance mózgowej.

– Lecz jeśli jest ono nieodwracalne – wtrącił się któryś słuchacz – jak to możliwe, że obecny tu pan Gordon nie jest już upośledzony?

– Ach! – westchnął zachwycony Nemur. – Stwierdziłem tylko, że zniszczenie tkanki jest nieodwracalne, nie sam proces. W wielu przypadkach udawało się już odwrócić go poprzez wstrzykiwanie substancji chemicznych łączących się ze zdefektowanym enzymem i zmieniających kształt powodującego kłopoty klucza. Zabieg ten stanowi też istotną część naszej techniki, my jednak najpierw wymieniamy uszkodzony fragment tkanki mózgowej, zastępując go rewitalizowanym chemicznie wszczepem produkującym białka w przyspieszonym tempie…

– Jedną chwileczkę, profesorze Nemur – powiedziałem, przerywając mu natchnioną mowę w najważniejszym miejscu. – A co z pracą Rahajamatiego, w której zajmuje się analogicznymi problemami?

– Kogo? – spytał, patrząc na mnie tępo.

– Rahajamatiego. W swym najnowszym artykule atakuje on teorię fuzji enzymów Tanidy dotyczącą zmian struktury chemicznej enzymów blokujących ścieżkę metabolizmu.

Nemur zmarszczył czoło.

– Gdzie opublikowano tę pracę po angielsku?

– Po angielsku jeszcze jej nie opublikowano. Kilka dni temu przeczytałem ją w „Hinduskim Przeglądzie Psychopatologicznym”.

Profesor spojrzał na słuchaczy. Starał się zbyć tę rewelację wzruszeniem ramion.

– Cóż, nie sądzę, byśmy mieli się o co martwić. Nasze rezultaty mówią same za siebie.

– Lecz przecież to Tanida pierwszy wysunął teorię blokowania „niezależnego enzymu” poprzez kombinację chemiczną, a teraz nawet on wskazuje…

– Och, daj spokój, Charlie. To, że ktoś pierwszy wysuwa pewną teorię, nie czyni z niego jeszcze autorytetu w sprawie jej doświadczalnego wykorzystania. Wszyscy tu obecni zgodzą się, jak sądzę, że badania amerykańskie i brytyjskie przyćmiewają japońskie i indyjskie. Nadal mamy najlepsze na świecie i najlepiej wyposażone laboratoria.

– To nie jest odpowiedź na twierdzenie Rahajamatiego dotyczące…

– Nie czas teraz i miejsce, by zagłębiać się w tego rodzaju szczegóły. Jestem pewien, że na jutrzejszej sesji wszystko sobie wyjaśnimy. – Odwrócił się i zaczął rozmawiać z kimś o starym koledze z uczelni, zamykając w ten sposób dyskusję. Zostałem sam, kompletnie ogłupiały.

Udało mi się w końcu odciągnąć Straussa na bok. Miałem do niego kilka pytań.

– No dobrze. Mówił mi pan, że jestem na niego uczulony. Co takiego powiedziałem, że aż tak się zdenerwował?

– Sprawiłeś, że czuje się gorszy, a tego nie potrafi znieść.

– Na litość boską, mówię poważnie! Niech pan mi poważnie odpowie.

– Charlie, musisz przestać podejrzewać, że wszyscy się z ciebie śmieją. Nemur nie mógł dyskutować o tych pracach. On ich nie czytał! Nie zna tych języków.

– Nie czyta w hindi i po japońsku? Niech pan nie żartuje.

– Słuchaj, nie każdy ma twój talent do języków.

– Więc jak może odeprzeć atak Rahajamatiego na swą metodę albo wyzwanie, które sam Tanida rzucił słuszności teorii kontroli biochemicznej? Musi znać ich argumenty…

– Nie musi… – powiedział Strauss w zamyśleniu. – To z pewnością nowe prace. Nie było czasu na zrobienie przekładu.

– Czy to znaczy, że pan też ich nie czytał?

Tylko wzruszył ramionami.

– Z językami u mnie jeszcze gorzej niż u niego, ale jestem pewien, że przed opracowaniem końcowego raportu zapoznamy się ze wszystkimi publikacjami w poszukiwaniu dodatkowych danych.

Nie miałem pojęcia, co powiedzieć. Strauss właśnie przyznał, że obaj nie mają zielonego pojęcia o całych połaciach wiedzy. I to we własnej specjalności! Przerażające!

– Ile pan zna języków? – spytałem tylko.

– Francuski, niemiecki, hiszpański i włoski oraz szwedzki na tyle, żeby spokojnie czytać.

– A chiński? Rosyjski? Portugalski?

Próbował mi uświadomić, że praktykujący psychiatrzy oraz neurochirurdzy mają niewiele czasu na naukę języków. Ze starożytnych znał wyłącznie łacinę i grekę. Ani słowa o językach orientalnych.

Widziałem, że pragnie skończyć dyskusję, ale z jakiegoś powodu nie mogłem mu na to pozwolić. Musiałem się dowiedzieć, ile wie.

I dowiedziałem się.

Fizyka: nic poza kwantową teorią pola.

Geologia: żadnego pojęcia o geomorfologii, stratygrafii, nawet o petrologii.

Ekonomia: zielonego pojęcia o mikro- i makroekonomii.

Matematyka: niewiele ponad podstawowy poziom rachunku różniczkowego. Nie wiedział nic o algebrze Banacha i rozmaitości riemannowskiej.

A był to tylko wstęp do odkryć, które poczynić miałem w ciągu tego weekendu.

Nie mogłem już zostać na przyjęciu. Poszedłem na spacer, by sobie to wszystko przemyśleć. Obaj okazali się oszustami. Udawali geniuszy, ale byli po prostu zwykłymi ludźmi szukającymi drogi po omacku i udającymi, że rozświetlają ciemność blaskiem swej wiedzy. Dlaczego tak się dzieje, że wszyscy muszą kłamać? Spośród ludzi, których znałem, żaden nie był tym, kim się wydawał.

Kiedy skręcałem za róg, zobaczyłem, że goni mnie Burt.

– O co chodzi? – zapytałem, kiedy się zbliżył. – Śledzisz mnie?

Wzruszył ramionami i roześmiał się niepewnie.

– Eksponat „A”, gwiazda przedstawienia – zażartował. – Nie mogę dopuścić, żeby przejechał cię któryś z tych zmotoryzowanych chicagowskich kowbojów albo żeby napadnięto cię i pobito na State Street.

– Nie lubię, kiedy prowadzi się mnie na smyczy.

Unikał mego wzroku, gdy szedł obok, trzymając ręce w kieszeniach.

– Uspokój się, Charlie – powiedział po chwili. – Stary ledwo, ledwo się trzyma. Ten kongres wiele dla niego znaczy. Stawką jest jego reputacja.

– Nie wiedziałem, że jesteś jego powiernikiem – zakpiłem, przypominając sobie, ile razy skarżył się na wąskie horyzonty i rozpychanie się łokciami przez profesora.

Burt spojrzał na mnie wyzywająco.

– Nie jestem jego powiernikiem, ale wiem, że chodzi tu o dzieło jego życia. Jasne, nie jest Freudem, Jungiem, Pawłowem ani Watsonem, ale robi

coś ważnego. Podziwiam jego oddanie pracy… tym bardziej że jest przeciętnym człowiekiem próbującym odwalić robotę geniusza, podczas gdy geniusze zajęci są wyłącznie robieniem bomb.

– Chciałbym zobaczyć, jak mówisz mu prosto w oczy, że jest przeciętny.

– To, co Nemur o sobie myśli, nie ma najmniejszego znaczenia. Pewnie, jest egoistą, i co z tego? Trzeba być egoistą, żeby porwać się na coś takiego. Widziałem wystarczająco wielu takich jak on, by wiedzieć, że pod pompatycznością i manifestacyjną pewnością siebie jest mnóstwo strachu i niepewności.

– A także płytkość rozumowania oraz pozerstwo – dodałem. – Widzę ich teraz takimi, jacy są naprawdę. Żyją fałszem. Zawsze podejrzewałem o to Nemura, cały czas wydawał się taki przestraszony, ale Strauss mnie zaskoczył.

Burt nie odpowiedział, tylko westchnął głęboko. Weszliśmy na kawę do małej kawiarenki. Nie widziałem jego twarzy, ale samo to westchnienie zdradziło mi, że traci do mnie cierpliwość.

– Sądzisz, że się mylę? – spytałem.

– Nie. Uważam tylko, że szybko przebyłeś bardzo długą drogę – wyjaśnił. – Dysponujesz teraz wspaniałym umysłem, inteligencją, której nie da się wręcz zmierzyć, i wiedzą, której większość ludzi nie zdobędzie w ciągu najdłuższego nawet życia, jesteś jednak swego rodzaju kaleką. Dużo wiesz, dużo widzisz, ale nie nauczyłeś się rozumieć. Nie nauczyłeś się – muszę użyć tego słowa – tolerancji. Zarzucasz im fałsz, ale czy któryś z nich twierdził kiedykolwiek, że jest doskonały? Że jest nadczłowiekiem? To zwykli ludzie. Ty tu jesteś geniuszem.

Przerwał nagle, zażenowany. Złapał się na tym, że wygłasza kazanie.

– Mów dalej – poprosiłem.

– Znasz żonę Nemura?

– Nie.

– Jeśli chcesz zrozumieć, dlaczego cały czas żyje w napięciu, nawet jeśli w laboratorium i na wykładach wszystko idzie mu doskonale, powinieneś poznać Berthę Nemur. To ona załatwiła mu profesurę, wiesz? To ona użyła wpływów swego ojca, żeby dostał grant Fundacji Welberga. I to ona zmusiła go do tej przedwczesnej prezentacji wyników ostatnich badań. Póki nie poznasz kobiety, która w ten sposób kieruje życiem mężczyzny, nie zrozumiesz mężczyzny, który taką kobietę poślubił.

Nie miałem już nic do powiedzenia, a widziałem, że Burt chce wrócić do hotelu. Przez całą drogę powrotną nie zamieniliśmy słowa.

Czy jestem geniuszem? Nie, nie sądzę. Przynajmniej jeszcze nie. Jakby to powiedział Burt, kpiąc sobie z naukowego żargonu, jestem „wyjątkowy” – to demokratyczne określenie pozwalające uniknąć wartościujących terminów „utalentowany” i „niezdolny” (które niegdyś znaczyły po prostu „inteligentny” lub „upośledzony”); gdy tylko słowo „wyjątkowy” zaczyna naprawdę coś znaczyć, ludzie zaraz zmieniają jego znaczenie. Zdaje się, że obowiązuje zasada: „Używaj słowa tylko tak długo, jak długo nic nikomu nie mówi”. „Wyjątkowy” odnosi się w tym przypadku do obu skrajności, tak więc przez całe życie byłem w jakiś sposób wyjątkowy.

Dziwne rzeczy dzieją się z tobą, kiedy się uczysz. Im dłużej się uczę, tym więcej poznaję rzeczy, których istnienia nawet nie podejrzewałem. Jeszcze niedawno sądziłem, jakże głupio, że mogę się nauczyć wszystkiego – opanować całą wiedzę świata. Teraz mam już tylko nadzieję, że w pełni uświadomię sobie jej istnienie, a poznam ziarnko.

Czy wystarczy mi czasu?

Irytuję Burta. Twierdzi, że jestem niecierpliwy. Inni pewnie myślą tak samo. Powstrzymują mnie, wskazują mi właściwe miejsce. Jakie jest to właściwe miejsce? Kim dziś jestem? Jestem sumą całego mego życia czy tylko tych ostatnich kilku miesięcy. Boże, to ich tak irytuje, kiedy próbuję z nimi dyskutować. Nie lubią przyznawać się do niewiedzy. To paradoks, że przeciętny człowiek w rodzaju Nemura rości sobie prawo do tworzenia geniuszy. Chciałby, żeby uważano go za odkrywcę nowych praw nauki, za Einsteina psychologii. No i cierpi na typowy dla nauczyciela syndrom strachu przed tym, że uczeń prześcignie mistrza, że zdyskredytuje jego prace (nie to, bym był uczniem Nemura w zwykłym sensie tego słowa, jak Burt).

Sądzę, że strach Nemura, iż kiedyś obnażą go jako człowieka chodzącego na szczudłach wśród gigantów, jest zrozumiały. W tym momencie porażka zniszczyłaby go. Jest za stary, żeby zaczynać od nowa.

Choć rzeczywiście odkrycie prawdy o ludziach, których się szanowało i pragnęło naśladować, powoduje szok, sądzę, że Burt ma jednak rację. Muszę zdobyć się na cierpliwość. To ich pomysły, ich błyskotliwe prace umożliwiły przeprowadzenie eksperymentu. Muszę strzec się naturalnej skądinąd tendencji do patrzenia na nich z góry teraz, gdy ich przerosłem. Muszę w pełni zdać sobie sprawę z tego, że kiedy napominają mnie nieustannie, bym mówił i pisał prosto, tak by mogli mnie zrozumieć wszyscy czytający te słowa, mają na myśli także siebie. Mimo wszystko to przerażające uczucie uświadomić sobie, że mój los jest w rękach ludzi niebędących gigantami, za których ich niegdyś uważałem, ludzi, którzy nie znają wszystkich odpowiedzi.

13 czerwca – Słowa te dyktuję w stanie emocjonalnego napięcia. Porzuciłem całe to towarzystwo. Siedzę w samolocie lecącym do Nowego Jorku i nie mam pojęcia, co będę robił, kiedy dotrę na miejsce.

Muszę przyznać, że na początku z niemym zachwytem czekałem na międzynarodowy kongres naukowców, uczonych, którzy zgromadzili się, by dyskutować i dzielić się ze sobą wielkimi ideami. To tu – myślałem – wszystko się dzieje. Tu będzie inaczej niż podczas błahych uniwersyteckich dyskusji, tu jestem w końcu wśród ludzi prowadzących najdonioślejsze badania, wśród ludzi najbardziej wykształconych, wśród uczonych piszących książki i wygłaszających wykłady, wśród autorytetów, które inni cytują z szacunkiem. Nemur i Strauss to zwykli, szarzy wyrobnicy, którzy wykroczyli poza swój poziom niekompetencji, ale reszta – byłem tego pewien – jest inna.

Sesja miała się wreszcie rozpocząć. Nemur przeprowadził nas przez gigantyczny hol pełen ciężkich barokowych mebli. Weszliśmy na górę po ogromnych, kręconych marmurowych schodach, przepychając się przez gęstniejący tłum ludzi ściskających nam ręce, uśmiechających się i kiwających głowami. Dołączyli do nas jeszcze dwaj naukowcy z Uniwersytetu Beekmana, którzy przyjechali dopiero dziś rano. Profesorowie White i Clinger szli o krok za Nemurem i Straussem, po prawej, a ja wraz z Burtem zamykałem procesję.

Tłum rozsunął się, robiąc nam przejście. Wkroczyliśmy do wielkiej sali balowej. Nemur pomachał dziennikarzom i fotoreporterom, którzy pojawili się, by z pierwszej ręki otrzymać informacje o cudzie, jaki stał się udziałem pewnego upośledzonego mężczyzny. Cudzie osiągniętym w niewiele więcej niż trzy miesiące.

Profesor najwyraźniej poinformował prasę z odpowiednim wyprzedzeniem.

Niektóre przedstawione tego dnia sprawozdania zasługiwały na szacunek. Zespół z Alaski udowodnił, że stymulacja pewnych części mózgu znacząco wpływa na poprawę zdolności uczenia się, Nowozelandczycy zaś oznaczyli części mózgu odpowiedzialne za przyjmowanie i przechowywanie bodźców. Lecz były także inne – P.T. Zellerman mówił o różnicy w czasie, w którym szczur osiąga cel w labiryncie, jako funkcji kwadratowych bądź zaokrąglonych rogów, a Worfel o inteligencji rezusa ocenianej poprzez czas reakcji na bodziec. Doprowadzało mnie to do wściekłości. Taka strata pieniędzy, czasu i energii na analizę spraw po prostu trywialnych! Burt miał rację, kiedy chwalił Nemura i Straussa za to, że poświęcili się problemom skomplikowanym, o niepewnych rozwiązaniach, a nie bezpiecznym i błahym.

Gdyby tylko Nemur potraktował mnie choć raz jak człowieka!

Przewodniczący zapowiedział blok prezentacji Uniwersytetu Beekmana. Zasiedliśmy na podwyższeniu, za długim stołem, klatka Algernona znalazła się między Burtem a mną. Byliśmy w końcu główną atrakcją wieczoru. Kiedy wreszcie zajęliśmy miejsca, przyszedł czas na zapowiedź. Spodziewałem się niemal, że przewodniczący ryknie do mikrofonu: „Panie i paaanowie! Podejdźcie bliżej, czegoś takiego bowiem nigdzie nie zobaczycie! Absolutna nowość w świecie nauki! Mysz i debil staną się oto geniuszami… na waaaszych oooczach!”.

Muszę przyznać, że byłem nieco uprzedzony.

Przewodniczący powiedział jednak tylko: „Cykl prezentacji Uniwersytetu Beekmana nie wymaga chyba przedstawienia. Wszyscy wiemy o zdumiewających osiągnięciach tamtejszego zespołu, sponsorowanego przez Fundację Welberga, a kierowanego przez profesora Nemura przy współudziale doktora Straussa z Centrum Neuropsychiatrycznego. Nie muszę dodawać, że ich prezentacji wszyscy

oczekujemy z niecierpliwością. Oddaję głos profesorowi Nemurowi i doktorowi Straussowi”.

Nemur skłonił się wdzięcznie, kwitując pochlebne słowa przewodniczącego, po czym puścił oko do Straussa, ciesząc się chwilą popularności.

Pierwszy z grona pracowników naszego uniwersytetu wystąpił profesor Clinger.

Wszystko to zaczęło mnie irytować. Zauważyłem też, że Algernon, zaniepokojony hałasem, dymem i nieznanym otoczeniem, nerwowo kręci się po klatce. Nagle doznałem przedziwnej pokusy, by odblokować zatrzask i wypuścić go. Była to absurdalna myśl – właściwie nawet nie myśl, raczej impuls – i postanowiłem ją zignorować. Słuchając jednak banalnego referatu profesora Clingera *Efekty lewoskrętności labiryntu w przeciwieństwie do jego prawoskrętności*, stwierdziłem, że bawię się zamkiem klatki.

Za kilka chwil (jeszcze nim Nemur i Strauss ukoronują wieczór opisem swego niezwykłego osiągnięcia) wystąpić miał Burt, opisując testy na podwyższenie inteligencji oraz procedury nauczania, które wymyślił dla Algernona, i ilustrując je testem praktycznym, w którym Algernon miał rozwiązywać skomplikowane problemy za jedzenie (procedura, której nie przestałem nienawidzić).

Nie miałem nic przeciw Burtowi. Burt zawsze był w stosunku do mnie w porządku – bardziej niż wielu innych – ale kiedy prezentował białą myszkę, którą obdarzono inteligencją, zachowywał się równie sztucznie i pompatycznie jak wszyscy inni. Zupełnie jakby już przymierzał się do aureoli otaczających głowy jego nauczycieli! Powstrzymałem się w tym momencie bardziej z sympatii, jaką go darzyłem, niż z jakiegokolwiek innego powodu. Wypuszczenie Algernona z klatki wywołałoby burzę,

spowodowało kompletny chaos, a przecież Burt dopiero włączał się do akademickiego wyścigu o zaszczyty.

Trzymałem palec na zameczku klatki, Algernon zaś przyglądał mi się różowymi oczkami i jestem pewien, że doskonale wiedział, o czym myślę. W tej jednak chwili Burt wziął klatkę, by dokonać demonstracji. Wyjaśnił stopień komplikacji zamka i zasady procesu decyzyjnego wymaganego każdorazowo przy jego otwarciu (cienkie plastikowe bolce zamykały się w sposób przypadkowy, co wymagało od myszy, by za każdym razem nacisnęła dźwignie w innej sekwencji). W miarę jak rosła inteligencja Algernona, rozwiązywał on ten problem coraz szybciej – to przynajmniej było jasne. Ale potem Burt wyjawił kilka spraw, o których *nie miałem* pojęcia.

W momencie, w którym był najinteligentniejszy, Algernon stał się nieprzewidywalny. Zgodnie z raportem Burta zdarzało się, że w ogóle odmawiał współpracy – choć najwyraźniej był głodny – a także, że wprawdzie rozwiązywał problem, ale zamiast odebrać nagrodę w postaci smakołyku, rzucał się na pręty klatki.

Kiedy ktoś z widowni zapytał, czy jego nieprzewidywalne zachowanie było prostą funkcją rosnącej inteligencji, Burt uniknął odpowiedzi.

– Moim zdaniem – stwierdził – nie ma wystarczających dowodów na poparcie takiego twierdzenia. Istnieją inne możliwości. Na przykład możliwe wydaje się, że zarówno wzrost inteligencji, jak i nieprzewidywalność zachowania to wynik operacji, nie zaś, że jedno jest funkcją drugiego. Być może jest to także indywidualna cecha Algernona. U innych myszy nie stwierdziliśmy niczego podobnego, ale żadna z nich nie była tak inteligentna, i to tak długo, jak Algernon.

Natychmiast zrozumiałem, że tę informację ukryto przede mną celowo. Domyślałem się dlaczego i to mnie zdenerwowało, ale w stopniu znacznie

mniejszym niż filmy.

Nie miałem pojęcia, że filmowano mnie podczas pierwszych testów w laboratorium. Znów siedziałem z półotwartymi ustami obok Burta, niczego nie pojmując i próbując przejść labirynt elektrycznym wskaźnikiem. Przy każdym wstrząsie kretyńsko otwierałem szeroko oczy, a potem znów uśmiechałem się głupio, na ten widok zaś sala nieodmiennie wybuchała gromkim śmiechem. Próbowałem i próbowałem, a im wydawało się to coraz śmieszniejsze.

Powiedziałem sobie, że to przecież nie cyrkowa publiczność, lecz naukowcy poszukujący przede wszystkim wiedzy, że trudno, to rzeczywiście śmieszne… ale Burt wczuł się w rolę i zaczął popisywać dowcipnymi komentarzami, a ja znów poczułem ochotę spłatania im figla. Wypuszczenie Algernona z pewnością byłoby lepszym żartem od tych padających z mównicy, podobnie obserwowanie dostojnego grona ścigającego na łokciach i kolanach małego, białego geniusza.

Opanowałem się jednak i gdy na podium wszedł Strauss, ochota do żartów już mi przeszła.

Strauss zajął się przede wszystkim teorią i technikami neurochirurgii, opisując dokładnie, jak pionierskie studia nad oznaczaniem centrów kontroli hormonalnej umożliwiły mu ich wyodrębnienie i stymulowanie, a jednocześnie usunięcie wstrzymującej produkcję hormonów części kory mózgowej. Wyjaśnił teorię inhibicji kompetycyjnej enzymów, po czym zaczął opisywać mój stan fizyczny przed operacją i po niej. Rozdano zdjęcia (nie wiedziałem, że mnie fotografowano) i ze śmieszków oraz spojrzeń wywnioskowałem, że większość obecnych zgodziła się z nim, jakobym przed operacją miał fizjonomię „tępą i pustą”, po operacji zaś „czujną i inteligentną”. Omawiał także ze szczegółami istotne aspekty

naszych sesji psychoterapeutycznych – zwłaszcza zmiany mojego stosunku do metody wolnych skojarzeń.

Przyjechałem do Chicago jako element prezentacji naukowej i spodziewałem się, że ludzie będą nade mną wydziwiać, ale wszyscy mówili o mnie, jakbym był czymś stworzonym wczoraj, i to wyłącznie celem zaprezentowania społeczności akademickiej. Nikt w tej sali nie widział we mnie człowieka, po prostu człowieka. Te ciągłe porównania „Charlie i Algernon", „Algernon i Charlie" nie pozostawiały wątpliwości, że jestem tylko zwierzęciem doświadczalnym niemającym życia poza laboratorium. A w dodatku, niezależnie od opanowującego mnie gniewu, nie mogłem pozbyć się wrażenia, że coś tu jest nie tak.

Nadeszła w końcu kolej Nemura. Jako szef zespołu miał teraz podsumować wyniki. Znalazł się wreszcie w światłach rampy, on, autor błyskotliwego, przełomowego eksperymentu. Na ten dzień czekał bardzo długo.

Wyglądał imponująco na mównicy i nagle stwierdziłem, że kiwam głową, że zgadzam się z każdym wypowiadanym przez niego słowem. Wiedziałem przecież, że mówi prawdę. Opisał wyczerpująco testy, eksperyment, zabieg chirurgiczny i będący jego wynikiem mój rozwój intelektualny, ożywiając wszystko fragmentami mego dziennika. Cytował wpisy dotyczące moich osobistych spraw. Dzięki Bogu większość szczegółów związanych z Alice zawarłem w prywatnych notatkach.

W pewnym momencie powiedział:

– My, którzy pracowaliśmy nad tym programem na Uniwersytecie Beekmana, mamy teraz satysfakcję wypływającą z wiedzy, że naprawiliśmy jedną z pomyłek natury i własnoręcznie stworzyliśmy wspaniałą istotę ludzką. Kiedy Charlie do nas przyszedł, znajdował się poza społeczeństwem, sam w wielkim mieście, pozbawiony przyjaciół i bliskich,

którzy mogliby się o niego troszczyć, oraz zdolności umysłowych umożliwiających prowadzenie normalnego życia. Nie miał przeszłości, nie miał kontaktu z teraźniejszością, nie miał nadziei na przyszłość. Można zaryzykować twierdzenie, że Charlie Gordon właściwie nie istniał przed eksperymentem…

Nie wiem, dlaczego aż do tego stopnia nie znoszę, kiedy mówią o mnie, jakbym był monetą świeżo odlaną w ich prywatnej mennicy, lecz jestem pewien, że w moim gniewie pobrzmiewały echa myśli, która prześladowała mnie, odkąd przyjechaliśmy do Chicago. Chciałem wstać, chciałem pokazać im wszystkim, jakim nadętym idiotą jest Nemur, chciałem wrzasnąć do niego: „Jestem człowiekiem, osobą. Miałem rodziców, mam historię życia, mam wspomnienia. Istniałem, nim jeszcze zawiozłeś mnie na salę operacyjną!”.

W tym samym czasie w żarze mojego gniewu wykuwało się silne przeczucie tego, co tak niepokoiło mnie w trakcie referatu Straussa i później, kiedy Nemur powtarzał podstawowe dane. Obaj popełnili błąd. Oczywiście! Statystyczna ocena okresu koniecznego do uznania zmiany za stałą oparta była na wcześniejszych eksperymentach dotyczących rozwoju umysłowego i procesu uczenia się normalnie upośledzonych lub normalnie inteligentnych zwierząt. Wydawało się oczywiste, że ów okres oczekiwania należy znacznie przedłużyć w przypadku zwierząt, których inteligencję podniesiono dwu- lub nawet trzykrotnie!

Nemur wyciągnął wnioski przedwcześnie. Zarówno ja, jak i Algernon musimy jeszcze poczekać, by zyskać pewność, że zmiany są trwałe. Profesorowie popełnili błąd, którego nikt nie wychwycił. Pragnąłem zerwać się z krzesła i wskazać go im, ale byłem jak sparaliżowany. Niczym Algernon znalazłem się w klatce, z której nie potrafiłem uciec.

Zaraz przyjdzie czas na pytania. Nim pozwolą mi coś zjeść, będę jeszcze musiał wystąpić przed tym szacownym zgromadzeniem. Nie. Muszę się stąd wydostać.

– …w pewnym sensie jest on tworem współczesnej psychologii eksperymentalnej. W miejsce pustej powłoki, istoty będącej ciężarem dla społeczeństwa, które słusznie obawia się jej nieodpowiedzialnego zachowania, pojawił się wrażliwy, godny szacunku mężczyzna gotów zostać tegoż społeczeństwa pożytecznym członkiem. Chciałbym, byście wszyscy państwo wysłuchali teraz paru słów z ust Charliego…

Niech go wszyscy diabli! Nie miał pojęcia, o czym mówi. W tym momencie pokusa okazała się już za silna. Zafascynowany patrzyłem, jak ręka porusza się wbrew mojej woli, jak odblokowuje zamek klatki Algernona. Kiedy otworzyłem klatkę, Algernon przyglądał mi się przez chwilę, nieruchomy. A potem odwrócił się i rzucił się do ucieczki po długim stole.

Najpierw nikt go nie zauważył, był po prostu plamą bieli na białym adamaszkowym obrusie… a potem siedząca przy stole kobieta wrzasnęła i zerwała się na nogi, przewracając krzesło. Na podłogę poleciały karafki z wodą.

– Algernon uciekł! – krzyknął Burt.

Algernon zeskoczył ze stołu na scenę, a stamtąd na widownię.

– Łapać go! Łapać! – pisnął Nemur.

Widownia, podzielona co do celów, zmieniła się w kłąb wymachujących bezładnie ramion i wierzgających nóg. Niektóre kobiety (niereprezentujące chyba psychologii eksperymentalnej) próbowały wskoczyć na chwiejne składane krzesełka, reszta zaś psychologów, goniąc za myszą, strącała je z nich.

– Zamknijcie drzwi! – krzyknął Burt, doskonale zdając sobie sprawę z tego, że Algernon jest wystarczająco inteligentny, by próbować wydostać się z sali.

Nagle zorientowałem się, że też krzyczę.

– Uciekaj! Bocznym wyjściem!

– Pobiegł do bocznego wyjścia! – poinformował ktoś.

– Łapcie go! Łapcie! – błagał Nemur.

Tłum wylał się z sali balowej za Algernonem, który pędził po ciemnoczerwonej wykładzinie, najwyraźniej doskonale wiedząc, co robi. Ścigali go pod stołami w stylu Ludwika XIV, wokół palm w wielkich donicach, w górę schodów, jeden zakręt, drugi zakręt i w dół schodami do głównego holu, zbierając po drodze posiłki. Nic w życiu nie rozbawiło mnie tak, jak widok tych godnych uczonych biegających jak kot z pęcherzem za białą myszką mądrzejszą od większości z nich.

– Śmiej się, śmiej – syknął Nemur, który omal na mnie nie wpadł. – Jeśli go nie złapiemy, zagrożony będzie cały eksperyment.

Udałem, że szukam Algernona za koszem na śmieci.

– Wie pan co? – powiedziałem. – Popełnił pan błąd. I może po dzisiejszym dniu cały ten eksperyment nie ma już najmniejszego znaczenia.

Parę sekund później kilka kobiet wypadło z damskiej toalety, kurczowo ściskając spódnice przy kolanach.

– Tam jest! – krzyknął ktoś.

Winnego odkryto, ale tłum zamarł, powstrzymywany widniejącym nad wejściem napisem: „Dla pań”. Pierwszy przekroczyłem niewidzialną granicę, wkraczając do *sanctus sanctorum*.

Algernon siedział na jednej z umywalek, wpatrując się w swe odbicie w lustrze.

– Chodź – powiedziałem. – Wyjdziemy stąd razem.

Pozwolił się wziąć i schować do kieszeni marynarki.

– Siedź cicho, póki ci nie powiem – uprzedziłem go.

W tym momencie przez wahadłowe drzwi wpadli do środka inni, zawstydzeni i zażenowani, jakby spodziewali się wrzasku nagich kobiet. Wyszedłem, kiedy przeszukiwali umywalnię. Po drodze usłyszałem jeszcze, jak Burt mówi:

– Przy wentylatorze jest dziura. Może tamtędy się wydostał?

– Dowiedz się, dokąd prowadzi ten szyb – rozkazał Strauss.

– Idź na górę – polecił Nemur Straussowi. – Ja zejdę do piwnicy.

Siły zostały przegrupowane. Wraz ze Straussem poszedłem na piętro, a kiedy kierowany przez niego i White'a kilkuosobowy oddział skręcił w korytarz B, ja korytarzem C i windą dostałem się do swojego pokoju. Wszedłem, zamknąłem drzwi i poklepałem się po kieszeni. Na światło dzienne wychynął różowy nosek wraz z kłębkiem futra. Algernon się rozejrzał.

– Zaraz się spakuję – poinformowałem go. – Wynosimy się stąd, dwaj sztuczni geniusze w ucieczce przed światem.

Chłopiec hotelowy załadował mi walizki i magnetofon do taksówki. Zapłaciłem rachunek, po czym opuściłem hotel obrotowymi drzwiami z przedmiotem poszukiwań bezpiecznym w kieszeni marynarki. Zarezerwowałem sobie miejsce na lot do Nowego Jorku.

Zamiast wrócić do siebie, zamierzam przez dobę, może dwie, pomieszkać w hotelu. To będzie nasza baza operacyjna, ja tymczasem poszukam umeblowanego mieszkania gdzieś w centrum. Nie chcę oddalać się zbytnio od Times Square.

Nagrałem tę opowieść i od razu poczułem się lepiej. Nawet zrobiło mi się trochę głupio. Doprawdy nie wiem, dlaczego się tak zdenerwowałem i co właściwie robię w samolocie do Nowego Jorku z Algernonem schowanym

pod siedzeniem w pudełku po butach. Nie wolno mi wpadać w panikę. Pomyłka nie oznacza jeszcze tragedii. Po prostu wszystko to nie jest tak oczywiste, jak sądzi Nemur.

Ale co powinienem teraz zrobić?

Najpierw muszę odwiedzić rodziców. Tak szybko, jak to tylko możliwe.

Być może nie mam aż tyle czasu, ile sądziłem.

Dziennik 14

15 czerwca – Wieść o naszej ucieczce trafiła wczoraj do gazet. Szmatławce potraktowały to jak dar Niebios. Na drugiej stronie „Daily Press” znalazło się nawet moje stare zdjęcie oraz rysunek myszy, a nagłówek głosił: „Kretyn–geniusz oraz mysz dostają szału”. Nemur i Strauss stwierdzili podobno, że żyłem ostatnio w strasznym napięciu i że niewątpliwie wkrótce się znajdę. Zaoferowali też pięćset dolarów nagrody za Algernona, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy, że jesteśmy razem.

Chciałem przeczytać nowsze wiadomości na stronie piątej i ku memu zdumieniu znalazłem tam fotografię matki i siostry. Któryś z reporterów gazety najwyraźniej przyzwoicie odrobił pracę domową.

SIOSTRA KRETYNA–GENIUSZA NIE MA POJĘCIA
O LOSACH BRATA
(Specjalnie dla „Daily Press”)

14 czerwca, Brooklyn, NY – Panna Norma Gordon, mieszkająca wraz z matką, Rose Gordon, na Marks Street 4136 w Brooklynie, zaprzecza, jakoby wiedziała, gdzie znajduje się obecnie jej brat. Panna Gordon powiedziała naszemu reporterowi: „Nie widzieliśmy go i nie mieliśmy od niego żadnych informacji przez przeszło siedemnaście lat”.

Panna Gordon przekonana była, że jej brat nie żyje, aż do marca tego roku, kiedy to dziekan Wydziału Psychologii Uniwersytetu Beekmana zwrócił się do niej o zgodę na udział Charliego w eksperymencie.

„Matka powiedziała mi, że Charlie został oddany do Warren (czyli przytułku stanowego i szkoły zawodowej dla niedorozwiniętych na Long Island) – twierdzi panna Gordon – i że zmarł tam kilka lat później. Nie miałam pojęcia, że Charlie żyje”.

Panna Gordon prosi każdego, kto znałby miejsce pobytu jej brata lub posiadał jakiekolwiek informacje na jego temat, by zgłosił się do niej na adres domowy.

Ojciec Charliego Gordona, Matthew Gordon, który nie mieszka z żoną i córką, jest właścicielem zakładu fryzjerskiego w Bronxie”.

Przez chwilę bezmyślnie gapiłem się w tekst, a potem znów spojrzałem na zdjęcie.

Jak mam je opisać?

Nie powiem, bym pamiętał twarz Rose. Choć współczesna fotografia jest wyraźna, oglądam ją przez zasłonę dzieciństwa. Znam tę kobietę, a jednak jej nie znam. Gdybyśmy minęli się na ulicy, nie poznałbym jej, ale teraz, kiedy wiem, że to moja matka, znajduję cień podobieństwa… tak!

Chuda, napięta, nieco zbyt kanciasta twarz. Ostre nos i broda. Niemal słyszę jej cienki, piskliwy głos. Włosy ciasno upięte w kok. Przeszywa mnie spojrzeniem ciemnych oczu. Tak bardzo pragnę, by wzięła mnie w ramiona, by powiedziała mi, że jestem dobrym chłopcem, a jednocześnie pragnę uciec przed laniem. Już patrząc na jej fotografię, drżę.

Norma – twarz równie szczupła, lecz nie tak ostra. Ładna kobieta, choć bardzo podobna do matki. Rozpuszczone, sięgające ramion włosy nadają jej rysom pewną miękkość.

Siedzą obok siebie na kanapie w dużym pokoju.

To twarz Rose budziła przerażające wspomnienia. Były w niej dwie zupełnie różne osoby i nigdy nie wiedziałem, która z nich akurat się objawi. Być może innym ludziom zdradzała swą prawdziwą naturę gestem dłoni, uniesieniem brwi, zmarszczeniem czoła – Norma potrafiła dostrzec oznaki zbliżającej się burzy i gdy temperament matki ujawniał się gromem, nigdy nie było jej w pobliżu – ale mnie zawsze zaskakiwała. Przychodziłem do niej po pociechę, a padałem ofiarą jej gniewu. Kiedy indziej natomiast obejmowała mnie i przytulała, obmywała me smutki jak ciepła woda,

gładziła mnie po głowie i wypowiadała słowa, które stały się mottem mojego dzieciństwa: „Jest jak wszystkie dzieci. To dobry chłopiec”.

Jej twarz przypomniana fotografią powoli znika. Teraz wraz z ojcem pochylam się nad łóżeczkiem. Ojciec trzyma mnie za rękę.

– Oto ona – mówi. – Na razie jest malutka i nie wolno ci jej dotykać, ale kiedy urośnie, będziesz mógł bawić się z siostrzyczką.

Widzę matkę leżącą niedaleko na wielkim łóżku, bladą i słabą, z ramionami spoczywającymi na kołdrze w orchidee. Z niepokojem podnosi głowę.

– Nie pozwól mu, Matt…

To było przed tym, jak zmienił się jej stosunek do mnie. Dziś rozumiem już, że nie wiedziała jeszcze, czy Norma będzie taka jak ja czy nie. Dopiero później, kiedy nabrała pewności, że jej modlitwy zostały wysłuchane, a Norma zdradzała wszystkie oznaki normalnej inteligencji, głos mojej matki zaczął brzmieć inaczej. I nie tylko głos – zmienił się też jej dotyk i wygląd, zmieniła się cała. Było tak, jakby odwróciły się bieguny magnetyczne i to, co kiedyś przyciągało, zaczęło odpychać. Widzę teraz, że kiedy w naszym ogródku rozkwitła Norma, ja stałem się chwastem, któremu pozwala się żyć, pod warunkiem że nikt go nigdy nie zobaczy, że zajmuje odległe miejsca, do których nie dociera światło.

Patrząc na zdjęcie matki, nagle ją znienawidziłem. Doprawdy lepiej byłoby, gdyby nie słuchała lekarzy, nauczycieli i tych wszystkich ludzi, którzy pracowicie tłumaczyli jej, że jestem kretynem, którzy mi ją odbierali, za sprawą których traciłem jej miłość wtedy, gdy była mi najbardziej potrzebna.

Co by mi przyszło z tego, gdybym ją dzisiaj odwiedził? Co mogłaby mi powiedzieć o mnie samym? A jednak jestem ciekawy. Jak zareagowałaby na mój widok?

Czy mam spotkać się z nią, odtworzyć przeszłość, dowiedzieć się, kim byłem? A może zapomnieć o niej i o przeszłości? Dlaczego wydaje mi się takie ważne powiedzieć jej: „Popatrz na mnie, mamo. Już nie jestem upośledzony, lecz całkiem normalny. Więcej niż normalny. Jestem geniuszem”?

I nawet kiedy próbuję wygnać ją z pamięci, wspomnienia wracają, by zatruć dzień dzisiejszy. Oto jedno z nich – z czasów, gdy byłem znacznie starszy.

Kłótnia.

Charlie leży w łóżku, otulony kołdrą po uszy. Pokój jest ciemny z wyjątkiem pasemka żółtego światła wpadającego do środka przez uchylone drzwi – łącznika między dwoma światami. Słyszy różne rzeczy, nie rozumie ich, lecz czuje, że mówią o nim, rozpoznaje ich ton. Z dnia na dzień coraz częściej kojarzy ich głosy ze skrzywieniem twarzy, kiedy mówią o nim.

Już niemal spał, kiedy na paśmie światła wpłynęły do pokoju słowa – ciche najpierw, potem coraz głośniejsze, wypowiedziane w kłótni. Matka krzyczała, przyzwyczajona do tego, że gdy wpadnie w histerię, wszyscy jej ulegną.

– Musimy się go pozbyć! Nie chcę go w domu teraz, kiedy mam ją! Zadzwoń do doktora Portmana i powiedz mu, że chcemy umieścić Charliego w Warren!

Ojciec odpowiedział jej głosem mocnym, uspokajającym.

– Przecież wiesz, że Charlie jej nie skrzywdzi – tłumaczył. – I teraz, kiedy jest taka mała, nie robi jej to żadnej różnicy.

– A skąd mamy to wiedzieć? Może dorastanie z kimś… z kimś takim jak on… będzie miało zły wpływ na dziecko?

– Doktor Portman twierdzi…

– Portman twierdzi! Portman twierdzi! Nic mnie nie obchodzi, co on twierdzi! Pomyśl tylko, czym będzie dla niej taki brat! Myliłam się przez te wszystkie lata, próbując uwierzyć, że stanie się podobny do innych dzieci. Przyznaję się do błędu. Lepiej będzie dla niego, jeśli go oddamy.

– Teraz, kiedy masz Normę, zdecydowałaś, że już go nie potrzebujesz…

– A co, myślisz, że to dla mnie łatwe? Dlaczego utrudniasz mi życie? Tyle lat ludzie tłumaczyli mi, że powinniśmy go oddać… no i mieli rację! Oddajmy go! Może w Warren, wśród sobie podobnych, Charlie coś osiągnie. Nie wiem już, co jest dobre, a co złe. Ale będę się trzymać jednego: nie poświęcę dla niego mojej córki!

Charlie nie rozumie wprawdzie, o co w tej rozmowie chodzi, ale boi się i wpełza pod kołdrę. Oczy ma otwarte, próbuje przebić wzrokiem otaczającą go ze wszystkich stron ciemność.

Kiedy teraz na niego patrzę, widzę, że właściwie nie boi się, po prostu zamiera jak ptak albo wiewiórka w obliczu drapieżnika, nieświadomie, instynktownie. Z siłą objawienia widzę wpadające przez szparę światło. Spoglądając na skulonego pod kołdrą Charliego, żałuję, że nie mogę go pocieszyć, wytłumaczyć mu, że nie zrobił nic złego i że nie jest w stanie zmienić nastawienia matki, tak by traktowała go jak wtedy, kiedy nie było jeszcze Normy. Tam, leżąc w łóżku, Charlie nie rozumiał, co się dzieje, ale teraz to boli. Gdybym tylko umiał sięgnąć w przeszłość z mej pamięci, potrafiłbym wytłumaczyć matce, jak wielką robi mi krzywdę.

Jeszcze nie czas, żeby ją odwiedzić. Najpierw muszę dojść do ładu z samym sobą.

Na szczęście, powodowany wyłącznie ostrożnością, gdy tylko przyjechałem do Nowego Jorku, podjąłem z konta moje oszczędności. Osiemset osiemdziesiąt sześć dolarów nie wystarczy mi na długo, ale mam przynajmniej czas, by opanować sytuację.

Zameldowałem się w hotelu Camden na Czterdziestej Pierwszej Ulicy, zaledwie przecznicę od Times Square. Nowy Jork. Ileż naczytałem się o Nowym Jorku! Gotham… prawdziwy tygiel… Bagdad nad Hudsonem… Miasto światła i kolorów. Nieprawdopodobne, ale całe życie przeżyłem i przepracowałem zaledwie kilka przystanków metrem stąd, a na Times Square byłem do tej pory tylko raz… z Alice.

Trudno mi powstrzymać się przed zadzwonieniem do niej. Już kilka razy zaczynałem wykręcać numer i odkładałem słuchawkę. Powinienem trzymać się z dala od Alice.

Ileż myśli muszę jeszcze uporządkować! Powtarzam sobie, że skoro nagrywam dziennik, nic nie zaginie, dane zostaną skompletowane. A oni niech się martwią; przez blisko trzydzieści lat jedyną martwiącą się osobą byłem ja. Tyle że jestem już zmęczony. Wczoraj, w samolocie, nie mogłem zasnąć i teraz oczy mi się kleją. Jutro zacznę od nowa.

16 czerwca – Zadzwoniłem do Alice, ale odłożyłem słuchawkę, nim zdążyła podejść do telefonu. Dziś wreszcie znalazłem umeblowane mieszkanie. Dziewięćdziesiąt pięć dolarów miesięcznie to więcej, niż zamierzałem wydać, ale znajduje się ono na rogu Czterdziestej Trzeciej Ulicy i Dziesiątej Alei i mam stamtąd dziesięć minut spacerem do biblioteki, więc mogę bez przeszkód kontynuować lektury i studia. Mieszkam na trzecim piętrze, w czterech pokojach, mam nawet wynajęte

pianino. Gospodyni uprzedziła mnie, że w najbliższym czasie je wywiozą, ale może zdążę jeszcze nauczyć się na nim grać.

Algernon okazał się bardzo miłym współlokatorem. Podczas posiłków siada przy małym składanym stoliku. Lubi precle, a dziś, kiedy oglądaliśmy mecz, wypił nawet odrobinę piwa. Mam wrażenie, że kibicował Jankesom.

Zamierzam wynieść większość mebli z drugiej sypialni i ulokować tam Algernona. Chcę zbudować mu trójwymiarowy labirynt z kawałków plastiku, które można tanio kupić w centrum. Znam kilka dość skomplikowanych wzorów, których powinien się nauczyć, żeby nie stracić formy. Muszę tylko znaleźć jakiś inny sposób motywowania go niż jedzenie. Z pewnością będzie reagował na inne zachęty.

Samotność stwarza mi doskonałą okazję do czytania i myślenia, a także – skoro wspomnienia zaczęły do mnie wracać – do ponownego odkrycia przeszłości, odkrycia, kim i czym naprawdę jestem. Nawet gdyby eksperyment okazał się klęską, zyskam przynajmniej tę wiedzę.

19 czerwca – Poznałem Fay Lillman, sąsiadkę z mieszkania naprzeciwko. Kiedy wróciłem ze sklepu z torbą pełną zakupów, odkryłem, że zatrzasnąłem drzwi mieszkania, nie zabrawszy klucza. Przypomniało mi się, że schody przeciwpożarowe prowadzą od okna mojego salonu do jednego z okien mieszkania na tym samym piętrze.

Słyszałem grające hałaśliwie radio. Zapukałem najpierw cicho, potem nieco głośniej.

– Proszę wejść! – usłyszałem. – Otwarte!

Pchnąłem drzwi… i zamarłem. Naprzeciw mnie stała przy sztalugach zajęta malowaniem drobna blondynka w różowym biustonoszu i majteczkach.

– Przepraszam – wykrztusiłem i cofnąłem się, zamykając drzwi. – Jestem pani sąsiadem! – krzyknąłem z korytarza. – Drzwi mi się zatrzasnęły! Chciałem skorzystać ze schodów przeciwpożarowych, żeby się dostać do okna!

Dziewczyna wyszła na klatkę, nadal w bieliźnie. W obu dłoniach ściskała pędzle, ręce oparła na biodrach.

– Nie słyszał pan, jak wołałam, żeby pan wszedł? – spytała, zapraszając mnie gestem do mieszkania i jednocześnie odsuwając nogą pełne śmieci kartonowe pudło. – Niech pan uważa, żeby się nie potknąć – poradziła mi.

Sądziłem, że zapomniała – albo po prostu nie zdaje sobie sprawy – że jest rozebrana. Zupełnie nie wiedziałem, w którą stronę patrzeć. Przyglądałem się sufitowi i ścianom, wszystkiemu, byle nie jej.

W mieszkaniu panował straszliwy bałagan. Na kilkunastu małych, składanych stołeczkach leżały tuby – większość zaschnięta i przypominająca skurczone, wyschłe węże, ale z niektórych, świeższych, wypływały pasma kolorowych farb. Pędzle, puszki, szmaty, fragmenty ram i płócien walały się dosłownie wszędzie. Powietrze było aż gęste od zmieszanych zapachów farb, oleju lnianego i terpentyny, a także ledwie wyczuwalnego odoru zwietrzałego piwa. Na trzech grubo wyścielanych krzesłach oraz wyliniałej zielonkawej kanapie leżały ubrania, na podłodze zaś buty, pończochy i bielizna, jakby lokatorka miała zwyczaj zaraz po przekroczeniu progu rozbierać się w marszu, rozrzucając swoje rzeczy.

Wszystko to pokrywała równa, wyraźnie widoczna warstwa kurzu.

– Aha, to pan jest Gordon. – Dziewczyna przyjrzała mi się dokładnie. – Od kiedy się pan wprowadził, umierałam z chęci zobaczenia pana choćby przez dziurkę od klucza. Proszę siadać. – Zgarnęła ubrania z jednego z krzeseł i rzuciła je na kanapę. – W końcu zdecydował się pan odwiedzić sąsiadkę. Coś do picia?

– Pani jest malarką – stwierdziłem, bo nic innego po prostu nie przyszło mi do głowy. Oczami wyobraźni już widziałem, jak nagle zdaje sobie sprawę, że jest rozebrana, i z krzykiem ucieka do sypialni. Myśl o tym bynajmniej mnie nie uspokajała. Przeskakiwałem wzrokiem z przedmiotu na przedmiot, patrzyłem wszędzie, byle nie na nią.

– Mam tylko piwo, jasne i ciemne. No i odrobinę sherry, której używam do gotowania. Chyba nie chce pan sherry?

– Nie mogę zostać – powiedziałem, jakoś się opanowując. Patrzyłem na śliczne znamię na jej brodzie, po lewej. – Drzwi mi się zatrzasnęły. Chcę skorzystać ze schodów przeciwpożarowych. Łączą okna naszych mieszkań.

– Ależ w każdej chwili. Te cholerne zamki tylko sprawiają kłopoty. W pierwszym tygodniu drzwi zatrzasnęły mi się trzy razy! Raz to nawet pół godziny stałam na klatce schodowej goła jak święty turecki! Wyszłam wziąć mleko i już nie mogłam wrócić. Rozmontowałam później to cholerstwo i od tej pory w ogóle nie mam zamka.

Musiałem mieć bardzo zdziwioną minę, bo dziewczyna spojrzała na mnie i roześmiała się.

– No przecież sam pan widzi, ile są warte! Człowiek nie może wejść do swojego mieszkania, a złodziejom nie przeszkadzają. W zeszłym roku mieliśmy tu piętnaście włamań, wszystkie do zamkniętych mieszkań. Do mnie nikt się nigdy nie włamał, chociaż drzwi są stale otwarte. Inna sprawa, że choćby nie wiem jak się napracowali, i tak nie znaleźliby tu nic wartościowego.

Jeszcze raz zaproponowała mi piwo i tym razem już nie odmówiłem. Poszła do kuchni, a ja dokładniej się rozejrzałem. Dopiero teraz zauważyłem, że odarta z tynku do gołej cegły ściana za mną, od której odsunięto wszystkie meble, porozstawiane obecnie po całym pokoju, zmieniona została w galerię sztuki. Obrazy zasłaniały ją prawie do sufitu,

mnóstwo innych stało opartych o siebie na podłodze. Było tu kilkanaście autoportretów, w tym dwa akty. Obraz, nad którym pracowała, kiedy wszedłem, też był aktem. Włosy miała na nim rozpuszczone – w rzeczywistości, jasne i kręcone, otaczały głowę niczym korona – spadały na ramiona, jedno pasmo zaś wiło się pomiędzy piersiami. Namalowała swe piersi twarde i sterczące, z nierealistycznie jaskrawoczerwonymi sutkami. Kiedy usłyszałem, że wraca z piwem, okręciłem się na pięcie, potknąłem o stos książek i zacząłem udawać zainteresowanie niewielkim jesiennym pejzażem ze ściany.

Trochę mi ulżyło, kiedy zobaczyłem, że narzuciła na siebie cienki, zniszczony szlafroczek, bo choć miał on dziury w najbardziej nieodpowiednich miejscach, przynajmniej mogłem po raz pierwszy się jej przyjrzeć.

Nie była, ściśle mówiąc, piękna, ale dzięki niebieskim oczom i ostremu, zgrabnemu noskowi przypominała kota, co przyjemnie kontrastowało z energicznymi, zdecydowanymi ruchami. Miała około trzydziestu pięciu lat, była smukła i zgrabna. Postawiła piwo na dębowym parkiecie, usiadła na podłodze naprzeciw kanapy i gestem zaproponowała mi, żebym zrobił to samo.

– Podłoga wydaje mi się wygodniejsza od krzeseł – oznajmiła, popijając piwo wprost z puszki. – A co ty o tym sądzisz?

Powiedziałem jej, że nigdy się nad tym nie zastanawiałem, a ona roześmiała się i stwierdziła, że mam uczciwą twarz. Była w nastroju do opowiadania o sobie. Oznajmiła, że unika Greenwich Village, ponieważ tam, zamiast malować, siedziałaby tylko w barach i kawiarniach.

– Lepiej mi tu, z dala od tych pozerów i dyletantów. Tu mogę robić, co chcę, i nikt nie przychodzi, żeby ze mnie podkpiwać. Ty też nie przyszedłeś ze mnie podkpiwać, prawda? – spytała.

Wzruszyłem ramionami, starając się nie zwracać uwagi na kurz pokrywający mi spodnie i ręce.

– Mam wrażenie, że każdy z czegoś kpi – odparłem. – Na przykład ty przed chwilą kpiłaś z pozerów i dyletantów.

Posiedzieliśmy tak jeszcze chwilę w milczeniu, po czym stwierdziłem, że muszę już wracać do siebie. Odsunęła od okna stos książek, a ja zacząłem pokonywać tor przeszkód złożony z gazet i papierowych toreb wypełnionych półlitrowymi butelkami po piwie.

– Któregoś dnia będę musiała wynieść je i sprzedać – powiedziała z westchnieniem.

Wyszedłem na schody przeciwpożarowe. Kiedy udało mi się otworzyć okno mojego mieszkania, wróciłem po torbę z zakupami, nim jednak zdążyłem powiedzieć „Dziękuję” i „Do widzenia”, dziewczyna wylazła za mną.

– Idę zobaczyć, jak mieszkasz – poinformowała. – Nigdy nie widziałam tego mieszkania. Przed tobą najmowały je dwie stare siostry, które nie mówiły mi nawet „Dzień dobry”.

Usiadła na parapecie.

– Chodź – zaprosiłem ją, stawiając torbę na stole. – Wprawdzie nie mam piwa, ale mogę ci zrobić filiżankę kawy.

Nie zwracała na mnie uwagi. Patrzyła przed siebie szeroko otwartymi ze zdumienia oczami.

– Mój Boże! Nigdy jeszcze nie widziałam tak schludnego mieszkania! Jakim cudem żyjący samotnie mężczyzna jest w stanie utrzymać taki porządek?

– Nie jestem szczególnie porządny – zacząłem się usprawiedliwiać. – To dlatego, że ledwie zdążyłem się wprowadzić. Zastałem to mieszkanie

wysprzątane i czułem potrzebę utrzymania go w takim stanie. Przeszkadza mi teraz, kiedy coś nie leży na swoim miejscu.

Zeszła z okna, nadal wyraźnie zainteresowana apartamentem.

– Hej – wykrzyknęła nagle – lubisz tańczyć? Wiesz… – Wyciągnęła ramiona i wykonała skomplikowaną figurę, nucąc pod nosem jakąś południowoamerykańską melodię. – Powiedz mi, że dobrze tańczysz, a pęknę z radości.

– Tylko fokstrota – odparłem. – I wcale nie tak dobrze.

Wzruszyła ramionami.

– Na tym punkcie mam fioła, ale nie spotkałam jeszcze nikogo, to znaczy nikogo sympatycznego, kto by dobrze tańczył. Muszę się od czasu do czasu zrobić na bóstwo i odwiedzić Stardust Ballroom w śródmieściu. Większość tamtejszych facetów jest trochę odstręczająca, ale tańczyć to oni umieją. – Westchnęła, rozglądając się. – Powiem ci, czego nie lubię w miejscach tak cholernie odpicowanych jak to. Jako artystkę… dobijają mnie te linie. Proste linie ścian, podłogi, rogów zmieniają każde wnętrze w pudło przypominające trumnę. Potrafię sobie z tym poradzić wyłącznie po paru głębszych. Wtedy linie się skręcają i falują, a ja zaczynam czuć sympatię do świata. Ufff! Gdybym tu mieszkała, cały czas chodziłabym na bani. – Obróciła się gwałtownie i spojrzała mi prosto w oczy. – Słuchaj, pożyczyłbyś mi piątkę do dwudziestego? Dwudziestego dostaję alimenty. Na ogół mi starcza, ale tydzień temu miałam problem… – Nim zdołałem odpowiedzieć, krzyknęła piskliwie i pobiegła do stojącego w rogu pianina. – Kiedyś grałam. Parę razy słyszałam, jak ćwiczysz. Powiedziałam sobie: „Ten gość jest całkiem niezły”. Już wtedy chciałam cię poznać, choć jeszcze nawet się nie widzieliśmy. Tak długo nie grałam…

Stukała w klawisze, a ja poszedłem zrobić kawę.

– Możesz wpadać i ćwiczyć, kiedy tylko zechcesz – rzuciłem z kuchni. Zupełnie nie wiedziałem, co się stało, że tak nagle zaprosiłem kogoś do mieszkania, ale w tej dziewczynie było coś, co kazało zapomnieć o najdrobniejszych nawet objawach egoizmu. – Na razie nie zostawiam jeszcze otwartych drzwi, ale nie zamykam okna, więc jeśli nie będzie mnie w domu, zawsze dostaniesz się do środka schodami przeciwpożarowymi. Pijesz ze śmietanką i z cukrem?

Nie odpowiedziała, więc zajrzałem do pokoju. Nie zobaczyłem jej i ruszyłem w stronę okna, a wtedy usłyszałem jej głos z sypialni zajmowanej przez Algernona.

– Hej, a co to? – zainteresowała się. Z przejęciem studiowała trójwymiarowy labirynt, który wybudowałem z plastiku, i nagle znów krzyknęła. – Współczesna rzeźba! Sześciany i linie proste!

– To labirynt – próbowałem tłumaczyć. – Specjalne narzędzie edukacyjne dla Algernona.

Krążyła wokół konstrukcji, zachwycona.

– W Muzeum Sztuki Współczesnej dadzą ci za to fortunę – orzekła.

– To nie rzeźba – powiedziałem z naciskiem. Otworzyłem drzwiczki klatki Algernona, wpuszczając go do środka.

– Mój Boże – szepnęła zachwycona. – Rzeźba z *żywym elementem*. Charlie, to największa sensacja od czasu zgniecionych samochodów i konstrukcji z puszek!

Próbowałem jej wyjaśnić, o co chodzi, ale ona tylko powtarzała, że żywy element przejdzie do historii sztuki. Dopiero kiedy zobaczyłem, jak śmieją się jej oczy, zrozumiałem, że najzwyczajniej w świecie się ze mną drażni.

– Mogłaby to być sztuka samokreująca – powiedziała tonem pełnym namysłu. – Twórcze doświadczenie dla publiczności. Kup sobie drugą mysz, a kiedy będą miały małe, zachowuj jedną, by żywy element się

reprodukował. Twoje dzieło osiągnie nieśmiertelność, a zamożni kolekcjonerzy będą kupować jego kopie, by mieć o czym dyskutować. Jak je nazwiesz?

– No dobrze – westchnąłem. – Poddaję się…

– Nie – prychnęła i stuknęła palcem w kopułkę, pod którą właśnie skrył się Algernon, z powodzeniem rozwiązując problem. – „Poddaję się” jest zbyt banalne. Co sądzisz o tytule: „Życie to tylko labirynt”?

– Wariatka – rzuciłem.

– Ależ naturalnie. – Wykręciła zgrabny piruet, odwracając się w moją stronę, i dygnęła z wdziękiem. – Zastanawiałam się, kiedy do tego dojdziesz.

W tym momencie zaparzyła się kawa.

W połowie filiżanki moja sąsiadka poderwała się nagle i stwierdziła, że musi lecieć, bo już pół godziny temu miała się spotkać z kimś, kogo poznała na wystawie sztuki.

– Mówiłaś, że chcesz pożyczyć pieniądze – przypomniałem jej.

Sięgnęła do mojego portfela i wyciągnęła pięciodolarowy banknot.

– Do następnego tygodnia, kiedy przyjdzie czek – powiedziała. – Dzięki. – Zgniotła pieniądze, posłała całusa Algernonowi i nim zdążyłem coś powiedzieć, znikła za oknem, podczas gdy ja stałem, tępo patrząc w ślad za nią.

Taka atrakcyjna kobieta, tak pełna życia, taka energiczna. Głos, oczy – wszystko w niej było zaproszeniem. I mieszkała tuż za oknem, wystarczyło przejść po schodach przeciwpożarowych!

20 czerwca – Być może powinienem był odczekać trochę, nim poszedłem spotkać się z Mattem, a być może w ogóle nie powinienem się

z nim spotykać. Sam już nie wiem. Wszystko w końcu wygląda inaczej, niż się spodziewałem.

Wiedziałem, że Matt otworzył zakład fryzjerski gdzieś w Bronxie, więc odszukanie go nie sprawiło mi większego problemu. Pamiętałem, że sprzedawał towary firmy z Nowego Jorku i ta informacja doprowadziła mnie do „Towarów Fryzjerskich Metro", Metro zaś miało w rejestrze klientów „Zakład Fryzjerski Gordona" na Wentworth Street w Bronxie.

Matt często marzył na głos o własnym zakładzie fryzjerskim. Śmiertelnie nienawidził pracy komiwojażera. Jakże oni się o to kłócili! Rose wrzeszczała, że „sprzedawca" to przynajmniej godny zawód i że nigdy nie zgodzi się mieć za męża fryzjera. Och, jakim tonem Margaret Phinney będzie o niej mówić „żona fryzjera"! A co z Lois Meiner, której mąż jest likwidatorem szkód w Alarm Casualty Company? Czy nie będzie zadzierać nosa?

Przez lata pracy w zawodzie komiwojażera, nienawidząc każdej upływającej minuty (zwłaszcza po obejrzeniu filmu *Śmierć komiwojażera*), Matt marzył o tym, że pewnego dnia będzie pracował u siebie. O tym musiał myśleć, kiedy rozprawiał o oszczędnościach i sam strzygł mnie w piwnicy. Chwalił się też, że dobrze to robi, o wiele lepiej niż wszyscy ci tani fryzjerzy ze Scales Avenue. Zrywając z Rose, zerwał również ze znienawidzonym zawodem i bardzo go za to szanowałem.

Cieszyłem się na myśl, że go zobaczę. Ciepło wspominałem Matta. On jeden skłonny był brać mnie takim, jaki byłem. Nim pojawiła się Norma, jeśli nie chodziło o pieniądze i opinię sąsiadów, kłócił się o mnie, twierdząc, że trzeba mnie zostawić w spokoju, zamiast zmuszać do robienia tego, co robią inne dzieci. Kiedy Norma zjawiła się już na świecie, argumentował, że mam prawo do własnego życia, choć jestem inny. Zawsze

mnie bronił. Nie mogłem się doczekać chwili, kiedy zobaczę jego twarz. Był kimś, z kim mogłem podzielić się tym, co zaszło.

Wentworth Street znajdowała się w dość kiepskiej części Bronxu. Na większości sklepów wisiały tabliczki „Do wynajęcia”, reszta zaś była zamknięta, lecz kiedy wysiadłem z autobusu i przeszedłem pół przecznicy, zobaczyłem znak fryzjera rozjaśniony padającym z okna pasmem światła.

Zakład był pusty. Fryzjer siedział na fotelu przy oknie, pogrążony w lekturze magazynu. Kiedy podniósł na mnie wzrok, natychmiast rozpoznałem Matta – tęgiego, o czerwonych policzkach, znacznie starszego i niemal łysego z wyjątkiem wianuszka siwych włosów wokół głowy, ale nadal Matta.

Kiedy mnie zobaczył, odrzucił magazyn.

– Nie ma kolejki. Pan następny – powiedział.

Zawahałem się, a on źle to zrozumiał.

– Na ogół o tej godzinie mam już zamknięte, proszę pana, ale umówił się ze mną stały klient i nie przyszedł. Właśnie zamierzałem kończyć. Ma pan szczęście, że przysiadłem, żeby dać odpocząć nogom. Najlepsze strzyżenie w Bronxie.

Pozwoliłem mu wciągnąć się do zakładu. Natychmiast się ożywił, wyjął nożyczki, grzebień, świeżą pelerynę.

– Wszystko czyściutkie, sam pan widzi, a to więcej, niż da się powiedzieć o większości zakładów w okolicy. Strzyżenie i golenie?

Usiadłem na fotelu. Zdumiewające, że mnie nie poznał, choć ja nie miałem żadnych wątpliwości, kim jest. Musiałem sobie przypomnieć, że nie widział mnie od przeszło piętnastu lat i że szczególnie zmieniłem się w ciągu kilku ostatnich miesięcy. Owinął mnie pasiastą peleryną i przyglądał mi się w lustrze ze zmarszczonym czołem, a ja miałem wrażenie, że coś świta mu w głowie.

– Wszystko – powiedziałem, wskazując wiszący na ścianie cennik związkowy. – Strzyżenie, golenie, mycie głowy, lampa kwarcowa…

Brwi podjechały mu bardzo wysoko.

– Mam się spotkać z kimś, kogo nie widziałem od bardzo dawna – wyjaśniłem – więc chcę wyglądać jak najlepiej.

Znów mnie strzygł i było to paraliżujące uczucie. Nieco później zaczął ostrzyć brzytwę na skórzanym pasku; ten odgłos spowodował, że aż się skuliłem, a kiedy delikatnym ruchem przechylił mi głowę i poczułem ostrze na gardle, doznałem wrażenia, że znów trafiam na stół operacyjny. Zamknąłem oczy i czekałem.

Mięśnie szyi napięły mi się i nagle drgnęły. Brzytwa zadrasnęła skórę tuż nad jabłkiem Adama.

– Hej! – krzyknął Matt. – Jezu… spokojnie. Pan się poruszył. Bardzo przepraszam.

Pobiegł do zlewu namoczyć ręcznik.

W lustrze widziałem, jak nabrzmiewa jasnoczerwona kropelka, jak płynie cienki strumyczek krwi. Zaniepokojony, przepraszający Matt znalazł się przy mnie, nim sięgnął on peleryny.

Poruszał się szybko i zręcznie jak na tak tęgiego mężczyznę i nagle poczułem wyrzuty sumienia. Powinienem powiedzieć mu, kim jestem. Chciałem mu to wyznać, poczuć, jak mnie obejmuje, i porozmawiać z nim o dawnych czasach. A jednak kiedy zasypywał skaleczenie zasypką, milczałem.

Skończył golenie, nie odzywając się słowem, po czym przysunął do fotela lampę kwarcową i przykrył mi oczy chłodnymi białymi kompresami nasyconymi wyciągiem z oczaru wirginijskiego. Wtedy, pogrążony w jasnoczerwonym mroku, zobaczyłem, jak po raz ostatni wyprowadza mnie z domu…

Charliego budzi piskliwy głos matki. Nauczył się już przesypiać kłótnie – są w końcu w jego domu zjawiskiem codziennym – ale dziś w histerii matki jest coś złowrogiego.

Wtula buzię w poduszkę i słucha.

– Nic na to nie poradzę! Musi odejść! Powinniśmy myśleć o niej! Nie zgodzę się, żeby codziennie wracała do domu zapłakana, bo dzieci się z niej śmieją. Ma szanse na normalne życie, on nie może go jej zniszczyć!

– Co chcesz zrobić? Wyrzucić chłopca na ulicę?

– Odeślij go. Do Warren.

– Porozmawiajmy o tym rano.

– Nie. Ty tylko gadasz i gadasz, a nic z tego nie wynika. Nie chcę, żeby został w tym domu do jutra. Ma zniknąć w tej chwili!

– Nie bądź idiotką, Rose. Za późno już, żeby coś dziś zrobić. Wrzeszczysz tak, że wszyscy cię słyszą.

– Nic mnie to nie obchodzi. Ma się wynieść z domu. Nie zniosę dłużej jego widoku.

– Stajesz się nieznośna, Rose. Co ty wyprawiasz?

– Ostrzegam cię. Zabierz go stąd.

– Odłóż nóż.

– Nie zgodzę się, żeby zniszczył jej życie.

– Oszalałaś. Odłóż ten nóż!

– Lepiej byłoby dla niego, gdyby umarł. Nigdy nie będzie w stanie prowadzić normalnego życia. Okażę mu łaskę…

– Straciłaś rozum! Na litość boską, opanuj się!

– Masz go zabrać. Już… zaraz!

– Dobrze. Zabiorę go do Hermana, a jutro spróbuję się dowiedzieć, jak umieścić go w Warren.

Zapada cisza. Leżąc w ciemności, mam wrażenie, że zadrżał cały dom. Nagle rozlega się głos Matta, spokojniejszy niż jej.

– Wiem, co przez niego przeszłaś, i nie winię cię za to, że się boisz. Musisz się jednak opanować. Zabiorę go dziś do Hermana. Czy to cię zadowoli?

– O nic więcej nie proszę. Twoja córka też ma prawo do normalnego życia.

Matt idzie do pokoju Charliego. Ubiera go. Choć Charlie nie rozumie, co się dzieje, boi się. Kiedy wychodzą, Rose odwraca się do nich plecami. Być może stara się przekonać siebie, że syn zniknął już z jej życia, że już nie istnieje. Charlie widzi jeszcze leżący na kuchennym stole długi nóż, którym matka kroi befsztyki. Wyczuwa, że chciała go skrzywdzić, że chciała zabrać mu coś i dać to Normie.

Patrzy najpierw na nóż, potem na matkę. Matka trzyma w ręku ściereczkę i zabiera się do mycia zlewu.

Jestem już ostrzyżony, ogolony, opalony. Siedzę bezwładnie na fryzjerskim fotelu, czuję się lekki, elegancki i czysty. Matt zdziera mi pelerynę z szyi i oferuje drugie lusterko, bym mógł obejrzeć tył głowy. Widzę siebie w dużym lustrze, patrzącego w lusterko, które dla mnie trzyma, i to lusterko przechyla się nagle tak, że powstaje iluzja nieskończoności i nieskończonej liczby Charlesów Gordonów oglądających się w dwóch lustrach. Patrzę na siebie… patrzącego na siebie… patrzącego na siebie…

Którym jestem naprawdę? Kim jestem?

Pomyślałem, że nic mu nie powiem. Po co ma wiedzieć? Odejdę, nie wyjawiając prawdy. Nagle jednak przypomniałem sobie, że chciałem, by wiedział. Chciałem, by przyznał, że istniałem. Chciałem, żeby chwalił się mną jutro przed klientami, których będzie golił i strzygł. Dzięki temu wszystko, co się ze mną działo, miało się stać bardziej rzeczywiste. Jeśli dowie się, że jestem jego synem, stanę się prawdziwym człowiekiem.

– Teraz, kiedy pozbyłem się już zbędnych włosów, może rozpozna mnie pan – powiedziałem.

Matt zmarszczył brwi.

– A to co? Jakiś dowcip?

Zapewniłem go, że to nie dowcip, i powiedziałem, że jeśli dobrze mi się przyjrzy i trochę pomyśli, z pewnością mnie rozpozna. Wzruszył ramionami, odkładając nożyczki i grzebienie.

– Nie mam czasu na zgadywanki – stwierdził. – Zaraz zamykam zakład. Należy się trzy pięćdziesiąt.

Co będzie, jeśli mnie nie pamięta? Co będzie, jeśli to wszystko przez moją głupią wyobraźnię? Wyciąga dłoń po pieniądze, ale ja nie sięgam po portfel. Musi sobie mnie przypomnieć. Musi mnie poznać.

Nie. Oczywiście, że nie. Dłonie mi się pocą, w ustach czuję kwaśny smak… ale nie chcę zwymiotować przy nim.

– Czy pan się dobrze czuje?

– Tak… już… chwileczkę…

Padam na jeden z foteli, kulę się, walczę o oddech, czekam, aż krew z powrotem napłynie mi do głowy. Żołądek mi się kurczy. Mój Boże, nie pozwól mi teraz zemdleć. Nie pozwól, żebym się przy nim ośmieszył.

– Wody… proszę o szklankę wody…

Właściwie nie chce mi się pić, pragnę tylko, żeby się odwrócił. Wolałbym, żeby po tych wszystkich latach nie widział mnie w takim stanie.

Kiedy wraca z wodą, czuję się już trochę lepiej.

– Niech pan to wypije. Odpocznie chwilę. Wszystko będzie dobrze. – Patrzy na mnie popijającego zimną wodę. Widzę, jak walczy z oporną pamięcią. – Ja pana chyba naprawdę skądś znam.

– Nie… Już wszystko dobrze. Za chwilę sobie pójdę.

Co właściwie mogłem mu powiedzieć? „No, tylko mi się przyjrzyj, jestem twoim synem, którego spisałeś na straty. Nie to, żebym cię za coś winił, ale wróciłem, wydanie przejrzane i uzupełnione. Sam sprawdź. Zadawaj mi pytania. Mówię dwudziestoma językami, współczesnymi i martwymi, jestem geniuszem matematycznym i piszę koncert fortepianowy, który grać będą długo po mojej śmierci”.

Jak miałem mu to powiedzieć?

Co za absurd! Siedzę tu, w jego zakładzie i czekam, żeby poklepał mnie po głowie, żeby powiedział: „Dobry chłopiec”. Pragnę jego uznania, pragnę, by twarz rozjaśniła mu się z satysfakcji jak wtedy, kiedy wreszcie nauczyłem się sznurować buty i zapinać sweterek. Przyszedłem tu, żeby zobaczyć właśnie ten wyraz jego twarzy, ale wiem, że go nie zobaczę.

– Chce pan, żebym zadzwonił do lekarza?

Nie jestem jego synem. Jego synem był inny Charlie. Zmieniłem się dzięki wiedzy i inteligencji. Znienawidziłby mnie za tę zmianę, tak jak znienawidzili mnie przyjaciele z piekarni, bo to, że urosłem, jego pomniejszyło. A tego nie chciałem.

– Wszystko w porządku – powiedziałem. – Przepraszam za kłopot. – Wstałem ostrożnie, niepewny, czy zdołam utrzymać się na nogach. – Musiałem zjeść coś nieświeżego. Może pan już zamykać.

Ruszyłem ku drzwiom, ale on zawołał za mną ostrym głosem.

– Proszę zaczekać!

Obróciłem się. Patrzył na mnie podejrzliwie.

– Co to za numery? – usłyszałem.

– Nie rozumiem.

Wyciągnął dłoń, pocierając kciukiem wskazujący i środkowy palec.

– Jest mi pan winien trzy pięćdziesiąt.

Przeprosiłem go i zapłaciłem, ale widziałem, że nie wierzy, iż po prostu zapomniałem. Dałem mu piątkę, kazałem zatrzymać resztę i wyszedłem, nie oglądając się za siebie.

21 czerwca – Rozbudowałem trójwymiarowy labirynt Algernona, dodając nowe sekwencje. Rozpracował je bez problemu. Nie ma żadnego powodu, by motywować go jedzeniem lub piciem. Sprawia wrażenie, jakby uczył się dla przyjemności i jakby sukces był dla niego nagrodą samą w sobie. A jednak, zgodnie z tym, co powiedział podczas zjazdu Burt, zachowuje się niekonsekwentnie. Czasami po ćwiczeniu, lub nawet w jego trakcie, dostaje ataków wściekłości i rzuca się na plastikowe ścianki. Czy to frustracja, czy coś poważniejszego?

17.30 – Ta zwariowana Fay pojawiła się dziś u mnie, oczywiście przez okno. Przyniosła białą myszkę – samiczkę – mniej więcej o połowę mniejszą od Algernona. Twierdziła, że potrzebne mu towarzystwo w samotne letnie noce. Bardzo prędko pokonała moje wątpliwości i przekonała mnie, że towarzystwo dobrze mu zrobi. Kiedy upewniłem się, że Minnie jest zdrowa i ma dobry charakter, wyraziłem zgodę na ten związek. Ciekaw byłem, co Algernon zrobi, kiedy nagle znajdzie się z dziewczyną, ale gdy tylko włożyliśmy Minnie do klatki, Fay złapała mnie za ramię i wyciągnęła z pokoju.

– Czy ty w ogóle masz pojęcie, co to jest romantyczny nastrój? – spytała, po czym włączyła radio i podeszła do mnie. Robiła doprawdy groźne wrażenie. – Nauczę cię najnowszych kroków – oznajmiła.

Nie sposób gniewać się na taką dziewczynę jak Fay.

W każdym razie cieszę się, że Algernon nie jest już sam.

23 czerwca – Późnym wieczorem usłyszałem śmiech na korytarzu, a potem rozległo się stukanie do drzwi. Okazało się, że to Fay z jakimś mężczyzną.

– Cześć, Charlie – powiedziała na mój widok i zachichotała. – Leroy, poznaj Charliego. To mój najbliższy sąsiad. Wspaniały artysta. Tworzy rzeźby z żywymi elementami.

Leroy złapał ją, żeby za mocno nie uderzyła w ścianę. Zerknął na mnie nerwowo i burknął coś.

– Poznałam Leroya w Stardust Ballroom – wyjaśniła Fay. – Wspaniale tańczy.

Ruszyła z nim w stronę swojego mieszkania, lecz zatrzymała go gwałtownym szarpnięciem.

– Hej! – Znów zachichotała. – Może zaprosimy Charliego na drinka, zrobimy party?

Leroy najwyraźniej nie uważał tego za najlepszy pomysł.

Zdołałem jakoś się wymówić. Zza zamkniętych drzwi dobiegał mnie ich śmiech na korytarzu. Chociaż próbowałem czytać, przed oczami tańczyły mi obrazy: wielkie białe łóżko… chłodne białe prześcieradła… i ich dwoje, dwa splecione ciała.

Chciałem zadzwonić do Alice, ale nie zadzwoniłem. Po co mam się torturować? Nie potrafiłem nawet przywołać jej twarzy. Umiałem

wyobrazić sobie Fay, ubraną i rozebraną, z jej czystymi niebieskimi oczami i jasnymi włosami, upiętymi i wijącymi się wokół głowy niczym korona. Fay widziałem wyraźnie, Alice była jakby za mgłą.

Mniej więcej godzinę później w mieszkaniu Fay rozległy się krzyki, później wrzask i odgłosy takie, jakby czymś rzucano. Wyskoczyłem z łóżka, chcąc sprawdzić, czy nie potrzebuje pomocy, ale w tym momencie trzasnęły drzwi i usłyszałem klnącego na korytarzu Leroya. Po kilku minutach Fay zapukała do okna. Było otwarte, więc weszła i przysiadła na parapecie. Miała na sobie czarne jedwabne kimono ukazujące śliczne nogi.

– Cześć – szepnęła. – Masz papierosa?

Dałem jej papierosa, a ona ześlizgnęła się z parapetu i usiadła na kanapie.

– Ojej! – westchnęła. – Na ogół potrafię się o siebie zatroszczyć, ale są typy tak napastliwe, że trzeba je powstrzymywać siłą.

– Tak? – odparłem. – Przyprowadziłaś go tu, by powstrzymywać siłą?

Usłyszała w mym głosie uszczypliwą nutę i gwałtownie uniosła głowę.

– Nie podoba ci się to?

– A kimże ja jestem, żeby mi się podobało albo nie podobało? Ale jeśli podrywasz faceta na tańcach, musisz się spodziewać, że zechce skorzystać z okazji. Miał prawo spróbować szczęścia.

Fay potrząsnęła głową.

– Poszłam do Stardust Ballroom, bo lubię tańczyć. Nie rozumiem, dlaczego miałabym spać z kimś tylko dlatego, że zaprosiłam go do domu. Nie przypuszczałeś chyba, że z nim spałam? Prawda?

Tańczący mi przed oczami obraz ich dwojga w łóżku prysnął jak bańka mydlana.

– Gdybyś ty był tym facetem, sprawa wyglądałaby inaczej – dodała jeszcze.

– A co to niby ma znaczyć?

– Dokładnie to, co powiedziałam. Gdybyś mnie poprosił, poszłabym z tobą do łóżka.

Próbowałem zachować kamienny wyraz twarzy.

– Dzięki. Będę o tym pamiętał. Napijesz się kawy?

– Charlie, zupełnie nie wiem, co o tobie myśleć. Większość mężczyzn albo mnie lubi, albo nie. I wiem to od razu. Ale ty… ty sprawiasz wrażenie, jakbyś się mnie bał. Nie jesteś homoseksualistą, prawda?

– Cholera, nie!

– Chodzi mi o to, że nie powinieneś tego przede mną ukrywać. Jeśli jesteś, zostaniemy przyjaciółmi. Ale muszę wiedzieć.

– Nie jestem homoseksualistą. Kiedy szliście do ciebie, żałowałem, że to nie mnie zaprosiłaś.

Pochyliła się ku mnie i pod rozchylonym kimonem dojrzałem jej piersi. Objęła mnie i czekała, żebym coś zrobił. Wiedziałem, czego się spodziewa, i powiedziałem sobie, że nie ma powodu nie skorzystać z okazji. Miałem wrażenie, że przy niej nie dopadnie mnie panika. W końcu to nie ja zacząłem, a poza tym Fay różniła się od kobiet, które spotykałem do tej pory. Być może, biorąc pod uwagę mój poziom emocjonalny, była dla mnie stworzona. No więc przytuliłem ją.

– To rozumiem – szepnęła. – Już zaczynałam myśleć, że nic cię nie obchodzę.

– Obchodzisz – szepnąłem, całując ją w szyję, lecz podczas pocałunku ujrzałem nas, jakbym był kimś trzecim, stojącym w drzwiach. Widziałem obejmujących się mężczyznę i kobietę i kiedy zobaczyłem siebie tak z dystansu, podniecenie natychmiast opadło. Tym razem rzeczywiście nie było paniki, ale znikło też pożądanie.

– U ciebie czy u mnie? – spytała.

– Zaraz, chwileczkę…

– Co się stało?

– Może jednak nie? Nie czuję się najlepiej.

Spojrzała na mnie zdziwiona.

– Może chcesz czegoś? Czegoś specjalnego? Mogę…

– Nie, nie o to chodzi – odparłem ostro. – Po prostu nie czuję się najlepiej.

Ciekaw byłem, jakie zna sposoby podniecenia mężczyzny, ale nie był to najlepszy czas na eksperymenty. Rozwiązania swych problemów musiałem szukać gdzie indziej.

Nie wiedziałem, co mam jej powiedzieć. Bardzo chciałem, żeby sobie poszła, ale nie miałem ochoty jej wyrzucać. Tymczasem Fay przyglądała mi się zaciekawiona. W końcu powiedziała:

– Słuchaj, czy nie przeszkadzałoby ci, gdybym została u ciebie na noc?

– Dlaczego?

Wzruszyła ramionami.

– Lubię cię. Nie wiem. Leroy może przecież wrócić. Jest mnóstwo powodów. Jeśli nie chcesz…

I znów mnie zaskoczyła. Potrafiłbym znaleźć co najmniej kilka pretekstów, żeby się jej pozbyć, lecz nawet nie próbowałem.

– Masz może gin? – spytała.

– Nie. Prawie nie piję.

– To przyniosę od siebie.

Nim zdołałem ją zatrzymać, wyszła przez okno i po paru chwilach wróciła z butelką wypełnioną niemal w dwóch trzecich oraz cytryną. Wzięła ode mnie z kuchni dwie szklanki i nalała do obu.

– Masz – powiedziała. – Zaraz poczujesz się lepiej. Zapomnisz o tych wszystkich uroczystych prostych liniach. To przez nie masz problemy.

Wszystko tu jest zbyt ułożone, zbyt kanciaste, czujesz się jak w celi. Jak Algernon w tej swojej rzeźbie.

Wcale nie miałem zamiaru pić, ale czułem się kiepsko i pomyślałem: „Czemu nie?”. Niczego nie mogło to już pogorszyć, a może zdołałoby stłumić jakoś uczucie, że patrzę na siebie oczami kogoś, kto nie ma zielonego pojęcia, co właściwie robię.

Mówiąc krótko – upiła mnie.

Pamiętam pierwszego drinka, pamiętam, jak poszedłem do łóżka, pamiętam, jak położyła się obok mnie z butelką w dłoni. I nic więcej aż do popołudnia, kiedy obudziłem się z kacem.

Fay spała smacznie, obrócona do ściany, z poduszką pod głową. Na nocnym stoliku, obok popielniczki, z której wysypywały się niedopałki, stała pusta butelka. Ostatnią rzeczą, którą pamiętałem, było to, że wypiłem drugą szklaneczkę.

Fay przeciągnęła się i obróciła ku mnie… naga. Odsunąłem się od niej i poczułem, że spadam z łóżka. Złapałem koc, próbując się nim okryć.

– Cześć. – Powitała mnie ziewnięciem. – Wiesz, czego chciałabym spróbować w najbliższej przyszłości?

– Czego?

– Chciałabym namalować twój akt. Jako *Dawida* Michała Anioła. Wyglądałbyś wspaniale. Dobrze się czujesz?

Skinąłem głową.

– Gdyby tylko nie ten kac. Słuchaj… wypiłem za dużo?

Roześmiała się. Leżała na boku, podpierając się na łokciu.

– Ale się naładowałeś. No i byłeś cholernie dziwny. Nie jak pedał albo coś, ale dziwny.

– Jak? – Próbowałem otulić się kocem, by móc iść. – Co to właściwie znaczy? Co takiego… zrobiłem?

– Widziałam już facetów, którzy robili za szczęśliwych, smutnych, śpiących, seksownych, ale żaden z nich nie zachował się jak ty. Boże, szkoda, że nie miałam aparatu fotograficznego. Świetny byłby z ciebie model.

– Na litość boską, co takiego zrobiłem?

– Nic, czego bym się spodziewała. Żadnego seksu ani nic z tych rzeczy. Ale byłeś wspaniały! Aktorstwo na medal! Co za talent! Zrobiłbyś karierę na scenie. Ci z Palace obsypaliby cię złotem. Udawałeś prostaczka, głupca. No wiesz, jakby dorosły zaczął nagle zachowywać się jak dziecko. Opowiadałeś, że chcesz iść do szkoły, nauczyć się czytać i pisać jak wszyscy. Takie głupoty. Udawałeś kogoś innego – jak na tych kursach aktorstwa – i powtarzałeś, że nie będziesz się ze mną bawił, bo mama zabierze ci fistaszki i wsadzi cię do klatki.

– Fistaszki?

– Słowo honoru, fistaszki! – Zaśmiała się, drapiąc się po głowie. – Powtarzałeś raz za razem, że nie dostanę twoich fistaszków. Cholera, to mnie najbardziej zdziwiło. Ale słuchaj, jak ty to mówiłeś! Jak ci kretyni na ulicy, ci, co podpalają się, patrząc na dziewczynę. Byłeś zupełnie innym człowiekiem. Najpierw myślałam, że po prostu żartujesz, ale teraz wydaje mi się, że jesteś maniakiem czy coś takiego. No bo tak tu porządnie, a ty wszystkim się przejmujesz…

Nie zdenerwowało mnie to, choć spodziewałem się właśnie tego. Jakimś cudem gin złamał bariery świadomości powstrzymujące dawnego Charliego Gordona ukrytego gdzieś w głębi mojego umysłu. Podejrzewałem cały czas, że stary Charlie wcale nie znikł. W głębi naszych umysłów nic nigdy nie ginie. Operacja pokryła go werniksem wykształcenia, inteligencji, ale na poziomie uczuć pozostał, obserwował mnie i czekał.

Na co właściwie czekał?

– Dobrze się czujesz?

Powiedziałem jej, że czuję się dobrze.

Złapała koc, który ściskałem kurczowo, i wciągnęła mnie do łóżka. Nim zdołałem ją powstrzymać, objęła mnie i pocałowała.

– Tej nocy się bałam, Charlie – powiedziała. – Wydawało mi się, że zwariowałeś. Słyszałam o tych biednych impotentach, jak to nagle do nich dociera i szaleją.

– Więc dlaczego zostałaś?

Wzruszyła ramionami.

– Cóż… byłeś jak przerażone małe dziecko. Wiedziałam, że mnie nie skrzywdzisz, ale nie byłam pewna, czy nie skrzywdzisz siebie. Pomyślałam, że mogę zostać na noc. Tak mi było przykro. Ale na wszelki wypadek trzymałam to pod ręką… – Wyjęła ciężką podpórkę na książki, którą wcisnęła między łóżko i ścianę.

– Mam nadzieję, że nie musiałaś jej użyć?

Potrząsnęła głową.

– Boże, musiałeś kochać fistaszki, kiedy byłeś mały – powiedziała.

Wyskoczyła z łóżka i zaczęła się ubierać, a ja ją obserwowałem. Zachowywała się naturalnie, bez zahamowań. Piersi miała pełne, dokładnie takie, jakie namalowała na autoportrecie. Marzyłem o tym, żeby ją objąć, ale wiedziałem, że są to próżne marzenia. Mimo operacji Charlie cały czas gdzieś tam się krył.

I bał się, że straci swoje fistaszki.

24 czerwca – Dziś miałem przedziwnie antyintelektualne doświadczenie. Gdyby nie zabrakło mi odwagi, upiłbym się, ale po historii z Fay wiedziałem już, że może to być niebezpieczne. Więc zamiast pić,

wybrałem się na Times Square. Wędrowałem od kina do kina, pogrążając się w westernach i horrorach, tak jak zdarzało mi się już wcześniej, i za każdym razem w samym środku filmu dopadało mnie poczucie winy. Więc wychodziłem, nie czekając do końca, i szedłem na następny. Powtarzałem sobie, że w tym wymyślonym świecie szukam czegoś, czego brakuje mi w rzeczywistym.

Całkiem nagle, w Keno Amusement Center, zorientowałem się, że wcale nie chodzi mi o filmy, lecz o *widownię*. Sam w ciemności, pragnąłem czuć przy sobie ludzi.

Bariery wyrosłe między jednostkami tu nagle stają się cienkie i jeśli słucham uważnie, słyszę świat. Podobnie jest w Greenwich Village. I nie chodzi tylko o bliskość – blisko innych jestem także w wypełnionej windzie albo w metrze w godzinach szczytu, a nic nie czuję – ale w upalną noc, kiedy ludzie uciekają z mieszkań, ocieramy się o siebie i kiedy ja ocieram się o kogoś, odbieram coś w rodzaju związku między gałęźmi, pniem i korzeniami. W takich chwilach ciało mam napięte, skórę cienką i czuję nieprzezwyciężony głód bycia częścią czegoś, więc ruszam na podbój mrocznych zakątków i ślepych uliczek nocy.

Zazwyczaj, kiedy spacer wyczerpuje mnie do cna, idę do domu i walę się do łóżka, ale dziś, zamiast wrócić do siebie, poszedłem na kolację. Mieli nowego pomywacza, chłopca mniej więcej szesnastoletniego i zobaczyłem coś znajomego w nim, w jego ruchach, w jego spojrzeniu. Nagle, sprzątając ze stołu gdzieś za moimi plecami, chłopiec ten upuścił talerze.

Rozległ się brzęk, biała porcelana rozprysła się między stolikami, a on stał oszołomiony i przerażony, trzymając pustą tacę. Gwizdy i głupie okrzyki klientów („I po premii!”, „Hej, szczęścia życzymy!”, „No, za długo tu nie popracował!”), które towarzyszą zazwyczaj zbiciu czegoś w restauracji, najwyraźniej wyprowadziły go z równowagi.

Właściciel pojawił się na sali, sprawdzając, co to za hałas. Chłopiec skulił się nagle i podniósł ręce, jakby bronił się przed ciosem.

– Widzisz? Widzisz, idioto? – krzyknął właściciel. – Nie stój jak kukła. Weź szczotkę i posprzątaj po sobie. Szczotkę… szczotkę, idioto! Szczotka jest w kuchni. Masz to posprzątać!

Chłopiec zorientował się, że nikt nie ma zamiaru go karać, i wyraz przerażenia znikł mu z twarzy. Uśmiechał się i nawet nucił coś do siebie, wracając ze szczotką. Co bardziej jowialni klienci nie zrezygnowali jednak z kpin, zabawiając się jego kosztem.

– Synku, coś tu jeszcze zostało. Ładny kawałek masz z tyłu…

– No, postaraj się lepiej…

– Nie taki on głupi. Łatwiej stłuc, niż zmywać…

Puste oczy chłopca przeskakiwały z dowcipnisia na dowcipnisia. Widział, że ludzie się uśmiechają, więc postanowił ich naśladować, aż wreszcie zaczął się śmiać z żartów, których nie był w stanie zrozumieć.

Patrzyłem w jego oczy, puste i bezmyślne – szeroko otwarte oczy dziecka, które nie wie wprawdzie, o co chodzi, lecz tak bardzo pragnie sprawić przyjemność dorosłym – i ze zgrozą zdałem sobie sprawę, że znam to spojrzenie. Ten chłopiec był upośledzony umysłowo i dlatego właśnie stał się obiektem kpin.

A ja kpiłem z niego wraz z nimi.

Nagle poczułem wściekłość… wściekłość na siebie i na dowcipnisiów, których pełno było wokół mnie. Zapragnąłem rzucać w nich odłamkami walających się po podłodze naczyń. Zapragnąłem zmiażdżyć pięścią ich roześmiane twarze. Skoczyłem na równe nogi.

– Milczeć! – krzyknąłem. – Zostawcie go! On nie rozumie! Nic nie poradzi na to, że jest taki… Na litość boską, odrobinę szacunku! *Przecież to też człowiek!*

W restauracji zapadła nagle martwa cisza. Przekląłem się za to, że straciłem panowanie nad sobą i wywołałem scenę. Płacąc rachunek i wychodząc, nie tknąwszy jedzenia, próbowałem nie patrzeć na chłopca.

Wstydziłem się za nas obu.

Jakie to dziwne. Uczciwi, wrażliwi ludzie, którym nawet w głowie nie postałoby wyśmiewać się z kogoś pozbawionego ręki lub nogi albo na przykład ze ślepca, bez zahamowań żartują z człowieka niedorównującego im inteligencją. Do furii doprowadzało mnie to, że przecież i ja, jak ten chłopiec, robiłem z siebie dla takich błazna.

I niemal całkiem o tym zapomniałem.

Jakże niedawno zrozumiałem, że ludzie się ze mnie śmieją. Zdałem sobie sprawę, jak – nie wiedząc o tym – wraz z nimi śmiałem się sam z siebie.

I to bolało najbardziej.

Często odczytywałem swoje wczesne zapiski. Widziałem w nich analfabetyzm, dziecięcą naiwność oraz głupotę, która przez dziurkę od klucza wygląda z ciemności w oślepiające światło świata. W snach i we wspomnieniach widziałem Charliego uśmiechającego się szeroko i niepewnie, gdy ktoś powiedział w jego obecności coś niezrozumiałego. Nawet będąc głupkiem, miałem świadomość, że jestem kimś gorszym, że inni ludzie mają w bród tego, czego mi brakuje, czego mi odmówiono. Umysłowo ślepy i głuchy wierzyłem, że ma to coś wspólnego z umiejętnością czytania i pisania, i byłem pewien, że jeśli nauczę się czytać i pisać, będę tak mądry jak oni.

Nawet kretyn chce być jak inni.

Dziecko nie potrafi zdobyć pożywienia, nie wie, co mu wolno, a czego nie wolno jeść, ale czuje głód.

To był dla mnie dobry dzień. Już wiedziałem, że muszę przestać bezsensownie zamartwiać się tym, co ze mną będzie, że muszę przestać

przejmować się przeszłością i przyszłością. Przecież mogę dać coś z siebie innym. Mogę użyć wiedzy oraz talentu na polu podnoszenia ludzkiej inteligencji. Kto zrobi to lepiej ode mnie? Kto oprócz mnie żył w obu tych światach?

Jutro mam zamiar skontaktować się z radą nadzorczą Fundacji Welberga i poprosić ją o pozwolenie prowadzenia niezależnych badań nad tym. Jeśli wyrażą zgodę, być może będę w stanie im pomóc. Mam nawet kilka pomysłów.

Ileż można dokonać dzięki już osiągniętym technikom, pod warunkiem że się je udoskonali. Jeśli ze mnie zrobiono geniusza, co z ponad pięcioma milionami ludzi upośledzonych w samych Stanach Zjednoczonych? Co z niezliczonymi milionami na całym świecie i z tymi, którzy dopiero narodzą się upośledzeni? Jakie wspaniałe rzeczy można będzie zrobić, używając wypracowanych technik w stosunku do ludzi normalnych? A co z ludźmi genialnymi?

Tyle jest wymagających wyważenia bram, że z niecierpliwością czekam chwili, w której oddam temu problemowi moją wiedzę i wszystkie zdolności. Zmuszę ich, by dostrzegli, że to dla mnie coś ważnego.

Jestem pewien, że fundacja mnie poprze.

Ale nie potrafię dłużej żyć samotnie. Muszę opowiedzieć o wszystkim Alice.

25 czerwca – Rozmawiałem dziś z Alice. Byłem strasznie zdenerwowany i chyba mówiłem od rzeczy, ale samo brzmienie jej głosu sprawiło mi przyjemność, a i ona wydawała się zadowolona, że zadzwoniłem. Zgodziła się ze mną spotkać. Wziąłem taksówkę i przez całą drogę z centrum złościłem się, że jedzie tak wolno.

Otworzyła drzwi, nim zdołałem zadzwonić. Zarzuciła mi ręce na szyję.

– Charlie, tak bardzo się o ciebie niepokoiliśmy. Wyobrażałam sobie, że leżysz martwy w jakimś zaułku albo wędrujesz wśród slumsów, bo dostałeś amnezji. Straszne! Dlaczego od razu nie poinformowałeś nas, że z tobą wszystko w porządku? Przecież mogłeś!

– Nie strofuj mnie tak. Musiałem jakiś czas pobyć sam, znaleźć odpowiedzi na kilka pytań.

– Chodź do kuchni. Zrobię kawy. Co się z tobą działo?

– Za dnia rozmyślałem, czytałem i pisałem, a nocami wędrowałem w poszukiwaniu samego siebie. I odkryłem, że Charlie mnie obserwuje.

– Nie mów tak. – Alice zadrżała. – Przecież nikt cię nie obserwuje. Wyobraziłeś to sobie.

– Cały czas mam wrażenie, że nie jestem sobą. Zająłem miejsce Charliego, wyrzuciłem go z siebie, tak jak mnie wyrzucili z piekarni. Chcę powiedzieć, że Charlie Gordon żyje w przeszłości, a ta przeszłość jest rzeczywista. Nie możesz wybudować nowego domu w miejscu, w którym stoi stary. Trzeba go zburzyć, a starego Charliego zburzyć nie można. On istnieje. Najpierw szukałem go, poszedłem do jego… do mojego ojca. Chciałem tylko udowodnić, że w przeszłości Charlie był człowiekiem, bo w ten sposób mogłem usprawiedliwić własne istnienie. Obraziło mnie stwierdzenie Nemura, że to on mnie stworzył. Odkryłem jednak, że Charlie istnieje nie tylko w przeszłości, lecz i tu, teraz. We mnie i wokół mnie. I cały czas wchodził pomiędzy nas. Myślałem, że tę barierę stworzyła moja inteligencja – pompatyczna, idiotyczna duma i wrażenie, że nie mamy ze sobą nic wspólnego, gdyż przewyższyłem cię intelektualnie. Ty mi to podpowiedziałaś. Ale myliłaś się. To był Charlie, mały chłopiec bojący się kobiet z powodu tego, co robiła mu matka. Czyżbyś nie rozumiała? Przez kilka miesięcy rosłem intelektualnie, ale miałem aparat emocjonalny

dziecinnego Charliego. I za każdym razem, kiedy się do ciebie zbliżałem, kiedy myślałem o tym, żeby się z tobą kochać, dochodziło do zwarcia.

Mówiłem głośno, uderzałem w nią głosem, aż zaczęła drżeć. Twarz miała czerwoną.

– Charlie – szepnęła – czy mogę coś dla ciebie zrobić? Czy mogę ci jakoś pomóc?

– Chyba zmieniłem się przez te kilka tygodni spędzonych z dala od laboratorium – tłumaczyłem dalej. – Najpierw wcale nie wiedziałem, jak to zrobić, ale dziś wieczorem, kiedy spacerowałem po mieście, wreszcie to pojąłem. Popełniłem błąd, próbując rozwiązać ten problem samodzielnie. Im głębiej zanurzałem się w morze snów i wspomnień, tym lepiej rozumiałem, że problemów emocjonalnych nie da się rozwiązać w ten sam sposób, w jaki rozwiązuje się problemy intelektualne. Tego właśnie dowiedziałem się o sobie wczoraj wieczorem. Pomyślałem, że snuję się po świecie jak dusza potępiona, i nagle zdałem sobie sprawę, że jestem potępioną duszą. Gdzieś, kiedyś oddzielony zostałem emocjonalnie od wszystkiego i wszystkich. Wędrując po mrocznych zaułkach, szukałem sposobu, by nawiązać łączność ze światem na poziomie uczuć, nie tracąc przy tym swobody intelektualnej… ale mroczne zaułki to ostatnie miejsce, w którym mógłbym cokolwiek znaleźć. Teraz wiem, że muszę po prostu dorosnąć. Wszystko od tego zależy…

Mówiłem, wylewając z siebie gotujące się w duszy wątpliwości, cały paraliżujący mnie strach. Alice była dla mnie jak płyta rezonansowa, słuchała mnie niczym zahipnotyzowana. Rozgrzewałem się, dygotałem, miałem wrażenie, że moje ciało płonie. Spalałem infekcję w obecności kogoś, na kim mi zależało, i to właśnie różniło chwilę obecną od wszystkich przeszłych.

Ona nie była jednak w stanie znieść napięcia. Przedtem tylko drżała, teraz z jej oczu popłynęły łzy. Spojrzałem na wiszący nad kanapą obraz – na skuloną, zarumienioną dziewicę – i przez chwilę zastanawiałem się, co Alice czuje w tym momencie. Wiedziałem, że mi się odda, i wiedziałem, że jej pragnę, ale nie wiedziałem, jak zareaguje na to Charlie.

Charlie nie przeszkodziłby mi zapewne kochać się z Fay. Prawdopodobnie stałby tylko w drzwiach i patrzył. Kiedy jednak przytulałem Alice, wpadał w panikę. Dlaczego tak bardzo bał się pozwolić mi kochać właśnie ją?

Siedziała na kanapie, patrząc na mnie i czekając, co zrobię. Co mogłem zrobić? Tak bardzo pragnąłem wziąć ją w ramiona…

Gdy tylko o tym pomyślałem, otrzymałem ostrzeżenie.

– Dobrze się czujesz, Charlie? Jesteś taki blady.

Usiadłem obok niej.

– Zakręciło mi się w głowie. Zaraz przejdzie – zapewniłem ją, ale wiedziałem, że jak długo Charlie będzie czuł niebezpieczeństwo, ja nie poczuję się lepiej.

I wtedy wpadłem na pewien pomysł. Wydał mi się obrzydliwy, ale natychmiast zdałem sobie sprawę, że przezwyciężę paraliż, tylko jeśli uda mi się go oszukać. Z jakiegoś powodu Charlie bał się Alice, chociaż nie bał się Fay… a więc zgaszę światło i będę udawał, że kocham się właśnie z Fay. On przecież nie dostrzeże różnicy.

Był to pomysł wstrętny, wręcz odrzucający, ale gdyby tylko mi się udało, Charlie straciłby swą przedziwną władzę nad moimi uczuciami. Przecież nie ukrywałbym przed sobą dłużej, że kochałem Alice.

Był to jedyny sposób.

– Już mi lepiej. Posiedźmy chwilę w ciemności – powiedziałem, gasząc światło i próbując całkiem się opanować. Nie zapowiadało się to najłatwiej.

Musiałem sam siebie przekonać, wyobrazić sobie Fay, zahipnotyzować się do tego stopnia, by uwierzyć, że siedząca obok mnie kobieta to właśnie ona. Jeśli nawet Charlie oddzieli się jakoś ode mnie, chcąc obserwować nas z zewnątrz, nic mu to nie da, bo w pokoju będzie ciemno.

Czekałem na sygnał, że coś podejrzewa, na ostrzegawcze symptomy paniki. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Byłem całkowicie spokojny, choć ożywiony.

Objąłem ją.

– Charlie, ja…

– Nic nie mów! – warknąłem, a ona jakby się skurczyła. – Proszę – poprawiłem się – nie mów nic. Posiedźmy chwilę bez słowa w ciemności. – Przytuliłem ją i z zamkniętymi oczami zacząłem rekonstruować obraz Fay z długimi blond włosami i jasną skórą, Fay takiej, jaką widziałem ostatnio w swym mieszkaniu. Całowałem włosy Fay, szyję Fay i w końcu moje usta spoczęły na ustach Fay. Czułem dłonie Fay na ramionach i czułem, jak budzi się we mnie coś, co jeszcze nigdy nie obudziło się dla kobiety. Pieściłem ją, najpierw powoli, a potem niecierpliwie, coraz gwałtowniej. Podniecenie narastało we mnie wraz z przeświadczeniem, że wszystko w końcu musi się wyjaśnić.

Nagle poczułem, że ktoś wpatruje mi się w plecy. Ktoś jeszcze był w pokoju, ktoś z napięciem przebijał wzrokiem ciemność, rozpaczliwie próbował coś zobaczyć. Gorączkowo zacząłem powtarzać w myśli jedno imię: Fay, Fay, FAY! Wyobraziłem sobie jej twarz tak dokładnie i jasno, by nic nie mogło wkroczyć między nas.

A kiedy przytuliła mnie mocno, krzyknąłem i odsunąłem ją gwałtownie.

– Charlie!

Nie widziałem twarzy Alice, lecz jej głos nie pozostawiał najmniejszych wątpliwości co do tego, jak bardzo jest zaskoczona.

– Nie, Alice. Nie mogę. Nie zdołasz tego zrozumieć.

Poderwałem się z kanapy. Włączyłem światło. Spodziewałem się niemal, że zobaczę go stojącego gdzieś tu, ale oczywiście nikogo nie dostrzegłem. Byliśmy sami, a cała scena rozegrała się wyłącznie w mojej wyobraźni. Alice leżała na kanapie, bluzkę miała rozpiętą – to ja ją rozpiąłem – twarz zaczerwienioną i wpatrywała się we mnie rozszerzonymi zdumieniem oczami.

– Kocham cię – wykrztusiłem przez zaciśnięte gardło – ale tego zrobić nie potrafię. Niczego ci nie wyjaśnię, lecz gdybym nie przestał, nienawidziłbym się do końca życia. Nie każ mi się tłumaczyć, bo i ty mnie znienawidzisz. Ma to coś wspólnego z Charliem. Z jakichś powodów nie pozwoli mi się z tobą kochać.

Odwróciła ode mnie wzrok i zaczęła zapinać bluzkę.

– Dziś było jakoś inaczej – stwierdziła. – Nie wpadłeś w panikę, nie dostałeś mdłości, nic się nie działo. Pragnąłeś mnie.

– Tak, pragnąłem cię, lecz tak naprawdę *nie z tobą* miałem się kochać. Chciałem cię wykorzystać… do pewnego stopnia… nic więcej nie umiem powiedzieć. Sam niewiele rozumiem. Po prostu umówmy się, że nie jestem jeszcze gotowy. Nie potrafię udawać, oszukiwać, zachowywać się tak, jakby wszystko było w porządku, gdy nie jest. To tylko kolejna ślepa uliczka.

Zacząłem zbierać się do wyjścia.

– Charlie, ty znów uciekasz.

– Skończyłem z uciekaniem. Czeka mnie praca. Powiedz im, że za parę dni zjawię się w laboratorium… gdy tylko zdołam się pozbierać.

Wyszedłem z jej mieszkania w stanie gorączkowego podniecenia. Kiedy znalazłem się na ulicy, stanąłem, nie potrafiąc zdecydować, co zrobić dalej. W którąkolwiek szedłem stronę, porażał mnie szok oznaczający kolejną

pomyłkę. Nie widziałem przed sobą żadnej drogi. Boże, Boże… cokolwiek robiłem, gdziekolwiek się obróciłem, zamykały się przede mną wszystkie drzwi.

Nic mi nie zostało. Nie miałem swojej ulicy, swojego miejsca, swojej kobiety.

W końcu zszedłem do metra i pojechałem na Czterdziestą Dziewiątą Ulicę. W wagoniku było prawie pusto, ale jechała nim blondynka o długich włosach, która przypominała mi Fay. Idąc w kierunku przystanku autobusowego, minąłem sklep alkoholowy. Wszedłem do środka i nie zastanawiając się ani chwili, kupiłem półlitrową butelkę ginu. Czekając na autobus, otworzyłem ją, nadal zapakowaną w papierową torbę, i – niczym nędzny włóczęga – pociągnąłem potężny łyk. Spalił mi gardło aż do żołądka, ale niech to diabli, jeśli nie poprawił mi samopoczucia! Pociągnąłem jeszcze raz, znacznie oszczędniej, i kiedy przyjechał autobus, czułem się już naładowany potężną energią. Nie miałem zamiaru pić więcej. W tej chwili wcale nie pragnąłem się upić.

Kiedy dojechałem do domu, od razu zapukałem do drzwi Fay. Nikt nie odpowiedział. Zajrzałem do środka. Nie wróciła jeszcze, ale w całym mieszkaniu paliło się światło. Świetna dziewczyna, nic jej nie obchodziło. Czemu ja nie miałbym być do niej podobny?

Poszedłem do siebie. Rozebrałem się, wziąłem prysznic, włożyłem szlafrok i czekałem. Modliłem się, żeby nie był to jeden z tych wieczorów, kiedy nie wracała sama.

Około wpół do trzeciej nad ranem usłyszałem, jak wchodzi po schodach. Zabrałem butelkę, wyszedłem na schody przeciwpożarowe i tą drogą dotarłem pod jej okno w chwili, gdy otwierała drzwi. Nie miałem zamiaru siedzieć tam w kucki i podglądać jej, ale kiedy chciałem zapukać w szybę, zobaczyłem, jak zrzuca pantofle i radośnie okręca się dookoła. Potem

podeszła do lustra i powoli zaczęła się rozbierać w swym własnym striptizie. Napiłem się dżinu. Nie mogłem przecież dać jej teraz znać, że siedzę za oknem, podglądając ją.

Wróciłem do mieszkania. Nie zapaliłem światła. Najpierw myślałem, czy nie zaprosić jej do siebie, ale u mnie było za porządnie, za czysto – za dużo prostych linii do wymazania – i wiedziałem, że to się nie uda. Wyszedłem więc na klatkę schodową i zapukałem do niej, najpierw cicho, potem trochę głośniej.

– Otwarte! – usłyszałem wreszcie.

Fay leżała głową do mnie na podłodze z rozpostartymi rękami. Nogi oparła na kanapie, miała na sobie wyłącznie bieliznę. Nie wstała, spojrzała tylko na mnie, odginając szyję. Widziała mnie oczywiście do góry nogami.

– Charlie, kochanie, czemu stoisz na głowie? – spytała.

– A co to ma za znaczenie? – odpowiedziałem pytaniem, wyciągając butelkę. – Linie i kąty są zbyt proste, więc pomyślałem sobie, że może zechcesz dołączyć do mnie w ich wymazywaniu.

– Masz najlepszy środek do tego – przyznała. – Kiedy skoncentrujesz się na tym rozgrzanym punkciku w żołądku, wszystkie zaraz zaczynają znikać.

– No właśnie.

– Cudownie. – Zerwała się na równe nogi. – Mam podobny problem. Ze zbyt wieloma kanciastymi dziś tańczyłam. Trzeba ich koniecznie wymazać.

Podniosła szklankę, a ja posłusznie ją napełniłem. Kiedy piła, objąłem ją, głaszcząc nagą skórę jej karku.

– Hej, spokojnie, maleńki! O co chodzi?

– O mnie. Czekałem, aż wrócisz do domu.

Odsunęła się.

– Spokojnie, Charlie. Już to przerabialiśmy. Nie wyszło, zdajesz sobie chyba z tego sprawę? To znaczy, bardzo cię lubię i gdybym myślała, że jest

jakaś szansa, zaraz zaciągnęłabym cię do łóżka. Ale nie chcę się podpalać po nic. To nie w porządku, Charlie.

– Dzisiaj będzie inaczej. Obiecuję. – Nim zdążyła zaprotestować, trzymałem ją w ramionach, całowałem i pieściłem, oszałamiałem i podbijałem rosnącym od miesięcy podnieceniem gotowym rozerwać mnie na strzępy.

Próbowałem rozpiąć jej biustonosz, ale szarpnąłem zbyt mocno i zerwałem haftkę.

– Na litość boską, Charlie, niszczysz mi garderobę.

– Nie przejmuj się garder… – aż się zadławiłem, pomagając jej go zdjąć. – Kupię ci nową. Chcę ci zadośćuczynić za wszystkie rozczarowania. Będę się z tobą kochał całą noc!

Fay natychmiast się ode mnie odsunęła.

– Charlie, do tej pory nie posyłałeś takich tekstów. I nie patrz na mnie, jakbyś chciał mnie połknąć w całości, dobrze? – Porwała wiszącą na jednym z krzeseł bluzkę i zasłoniła się nią. – Przez ciebie czuję się naga.

– Chcę się z tobą kochać. Dziś z pewnością nic mi nie przeszkodzi. Wiem… czuję to. Fay, nie odmawiaj mi!

– Słuchaj… – powiedziała szeptem. – Napij się jeszcze.

No więc napiłem się i nalałem jej dżinu. Podczas gdy piła, całowałem jej ramiona i szyję. Oddychała ciężko, gdyż moje podniecenie się jej udzieliło.

– Boże, Charlie, jeśli znów mnie podkręcisz, a potem zawiedziesz, to nie wiem, co zrobię. Ja też jestem człowiekiem, rozumiesz?

Pociągnąłem ją na kanapę. Usiadła obok mnie na stosie ubrań i bielizny.

– Nie tu, Charlie – powiedziała, wstając. – Chodźmy do łóżka.

– Tutaj – rzuciłem, zdzierając z niej bluzkę.

Fay spojrzała na mnie, postawiła szklaneczkę na podłodze, wstała i zdjęła majteczki. Stanęła przede mną naga.

– Zgaszę światło – szepnęła.

– Nie! – Przewróciłem ją na kanapę. – Chcę na ciebie patrzeć.

Całowała mnie długo i trzymała w ramionach.

– Nie waż się mnie dziś rozczarować, Charlie. Nie waż się mnie rozczarować.

Jej ciało poruszyło się i powoli przywarło do mojego ciała. Wiedziałem już, że tym razem nic nam nie przeszkodzi. Fay westchnęła przeciągle i wyszeptała moje imię.

Przez chwilę czułem na sobie jego wzrok. Ponad oparciem kanapy dostrzegłem twarz, bladą na tle panujących za oknem ciemności. Patrzył z miejsca, z którego przed kilkoma zaledwie minutami sam obserwowałem Fay. Zmiana percepcji i to ja znów byłem za oknem, obserwując kochających się w mieszkaniu mężczyznę i kobietę.

Gwałtownym wysiłkiem woli wróciłem na kanapę, świadom jej ciała, swego pożądania i potencji oraz jego chciwie wpatrzonych w nas oczu. Pomyślałem sobie: „Dobra, ty żałosny sukinsynu, patrz. Nic mnie to już nie obchodzi”.

A on gapił się na nas wielkimi oczami.

29 czerwca – Nim wrócę do laboratorium, mam zamiar skończyć badania, które zacząłem po opuszczeniu sympozjum. Zatelefonowałem do Landsdoffa z New Institute for Advanced Study, by spytać go o możliwość zastosowania zjawiska tworzenia par do prac eksperymentalnych w biofizyce. Z początku myślał, że dzwoni wariat, ale kiedy wskazałem mu błędy w jego artykule w „New Institute Journal”, trzymał mnie przy telefonie prawie godzinę. Chce, żebym przyjechał i przedyskutował moje pomysły z jego grupą. Może nawet przypomnę mu to zaproszenie, ale

dopiero po zakończeniu własnych prac w laboratorium… jeśli będę jeszcze miał czas. Czas bowiem jest tu problemem. Nie wiem, ile mi go pozostało. Miesiąc? Rok? Całe życie? Zależy to wyłącznie od tego, czego dowiem się o psychofizycznych skutkach ubocznych eksperymentu.

30 czerwca – Teraz, kiedy mam Fay, przestałem spacerować po mieście. Dałem jej klucz do mieszkania. Śmieje się ze mnie, że zamykam drzwi, a ja śmieję się z niej z powodu bałaganu, który ma u siebie. Ostrzegła mnie, żebym nie próbował jej zmienić. Mąż rozwiódł się z nią przed pięcioma laty, bo nie dbała o mieszkanie i nie sprzątała go porządnie.

Tak właśnie traktuje większość spraw, których nie uważa za istotne. Nie potrafi – albo nie chce – się nimi przejmować. Wczoraj znalazłem za fotelem stos mandatów za parkowanie w niedozwolonym miejscu. Było ich ze czterdzieści, może pięćdziesiąt. Kiedy przyszła z puszkami piwa, spytałem, dlaczego je zbiera.

– Ach, mandaty! – powiedziała i roześmiała się. – Gdy tylko mój były wyśle mi ten cholerny czek, zapłacę najpilniejsze. Nawet nie wiesz, jak przez nie cierpię. Trzymam je tu, za fotelem, bo wyrzuty sumienia męczą mnie za każdym razem, kiedy je zobaczę. Tylko co może zrobić samotna dziewczyna? Gdziekolwiek pojadę, zawsze stoją te znaki: nie parkuj tu, nie parkuj tam! Nie mogę przecież czytać, co podobało się im napisać, ilekroć wychodzę z samochodu.

No więc obiecałem, że nie będę próbował jej zmienić. Obecność Fay mnie stymuluje. Ta dziewczyna ma ogromne poczucie humoru, jest wolna i niezależna. Tylko że po pewnym czasie człowiek zaczyna mieć dość jej pasji tanecznej. Co wieczór bawimy się do drugiej, trzeciej nad ranem. Brakuje mi na to energii.

To, co nas łączy, trudno nazwać miłością, ale Fay jest dla mnie ważna. Za każdym razem, kiedy wychodzi, nasłuchuję jej kroków na korytarzu.

Charlie przestał nas obserwować.

5 lipca – Mój pierwszy koncert fortepianowy zadedykowałem Fay. Podobał jej się pomysł – pierwszy raz coś jej zadedykowano – ale nie sądzę, by rozkoszowała się samym koncertem. Dowodzi to tezy, że mężczyzna nie jest w stanie znaleźć ideału w jednej kobiecie. Kolejny argument za poligamią.

Najważniejsze wydaje mi się to, że Fay jest całkiem bystra i ma dobre serce. Dziś dowiedziałem się, dlaczego w tym miesiącu zabrakło jej pieniędzy. Tydzień przed tym, nim się poznaliśmy, spotkała w Stardust Ballroom pewną dziewczynę. Kiedy dziewczyna opowiedziała jej, że nie ma rodziny w mieście ani pieniędzy i nie ma gdzie spać, Fay zaprosiła ją do siebie. Dwa dni później lokatorka znalazła dwieście trzydzieści dwa dolary schowane w toaletce i znikła z nimi. Fay nie poinformowała o tym policji; nawet nie znała nazwiska dziewczyny!

– I co by mi przyszło z doniesienia? – dopytywała się. – Ta biedna suka cholernie potrzebowała forsy, skoro zrobiła coś takiego. Nie mam zamiaru zrujnować jej życia za kilkaset dolców. Nie jestem bogata, ale nie chcę obedrzeć jej ze skóry. Wiesz, co mam na myśli?

Wiedziałem, co ma na myśli.

Nigdy jeszcze nie spotkałem nikogo tak wielkodusznego, tak otwartego jak Fay. Fay jest tym, czego akurat teraz potrzebuję. Umierałem z tęsknoty za czymś prostym, zwykłym… ludzkim.

8 lipca – Niewiele mam czasu na pracę – wieczorami odwiedzamy jeden klub za drugim, a rankami leczę kaca. Tylko dzięki aspirynie i jakiejś miksturze przygotowanej przez Fay byłem w stanie skończyć analizę form czasownikowych języka urdu i wysłać ją do „Międzynarodowego Biuletynu Lingwistycznego". Językoznawcy ze swoimi magnetofonami będą się teraz tłoczyć w kolejce po wizę do Indii, podważyłem bowiem podstawy metodologii ich badań.

Nie potrafię nie podziwiać twórców językoznawstwa strukturalnego – ludzi, którzy sami sobie stworzyli dyscyplinę naukową bazującą na deterioracji języka pisanego. Kolejny to przykład naukowców poznających coraz to lepiej coraz większe nic – wypełniających biblioteki tomami subtelnych analiz słowa „chrząkać". Nie byłoby w tym niczego złego, gdyby nie próbowali zniszczyć stałości języka.

Dziś zadzwoniła do mnie Alice. Chciała się dowiedzieć, kiedy wrócę do pracy w ich laboratorium. Powiedziałem jej, że pragnę najpierw skończyć eksperymenty, które już zacząłem, i że spodziewam się uzyskać zgodę Fundacji Welberga na prywatne badania. Niemniej ma rację – czas ma znaczenie.

Fay nadal pragnie tylko chodzić na tańce. Wczoraj wieczorem zaczęliśmy od picia w klubie White Horse, po czym przenieśliśmy się do Benny's Hideaway, następnie do Pink Slipper… a potem to już nawet nie pamiętam, gdzie byliśmy, ale tańczyliśmy, aż nie byłem w stanie utrzymać się na nogach. Najwyraźniej coraz lepiej znoszę alkohol, bo byłem już nieźle pijany, nim pojawił się Charlie. Jedyne, co pamiętam, to jego głupawa próba stepowania na scenie Allakazam. Nieźle się wykazał, nim wyrzucili nas za drzwi, w każdym razie Fay stwierdziła, że jej zdaniem jestem doskonałym komikiem, zwłaszcza że do perfekcji opanowałem udawanie idioty, co bardzo się podobało wszystkim obecnym.

Niech to diabli, ale nie mam zielonego pojęcia, co się działo potem. Wiem tylko, że nadwerężyłem sobie kręgosłup. Myślałem, że to przez tańce, ale Fay mówi, że spadłem z tej cholernej kanapy.

Algernon znów zachowuje się nieprzewidywalnie. Mam wrażenie, że Minnie się go boi.

9 lipca – Dziś zdarzyła się rzecz straszna. Algernon ugryzł Fay. Ostrzegałem ją, żeby się z nim nie bawiła, ale Fay zawsze lubiła go karmić. Zazwyczaj kiedy wchodziła do pokoju, Algernon wychodził z ukrycia i biegł do niej, dzisiaj jednak wszystko wyglądało inaczej. Tkwił po przeciwnej stronie labiryntu, skulony tak, że przypominał kłębek białej wełny. Fay wsadziła palce przez siatkę, od góry, i wtedy skurczył się jeszcze bardziej. Próbowała przywabić go, otwierając labirynt, i nim zdążyłem jej powiedzieć, by zostawiła go w spokoju, popełniła błąd, usiłując go złapać. Ugryzł ją w kciuk, spojrzał na nas bardzo nieprzyjaźnie i ukrył się w labiryncie.

Minnie znaleźliśmy z drugiej strony w karmniku. Krwawiła z rany na piersi, ale żyła. Kiedy ją wyjmowałem, znienacka pojawił się Algernon i mnie też próbował ugryźć. Złapał zębami rękaw koszuli i musiałem mocno nim potrząsnąć, żeby się odczepił.

Po tych przeżyciach Algernon trochę się uspokoił. Obserwowałem go potem przeszło godzinę. Sprawia teraz wrażenie oszołomionego oraz zdezorientowanego i chociaż nadal uczy się rozwiązywać nowe problemy niezależnie od nagród, zachowuje się co najmniej dziwnie. Zamiast rozważnie i zdecydowanie pokonywać labirynt, biega, tracąc panowanie nad sytuacją. Coraz częściej skręca w ślepy korytarz i całym ciałem wali

w przegrodę. Doprawdy, zachowuje się, jakby się spieszył, jakby brakowało mu czasu.

Wstrzymuję się od pochopnej diagnozy. Wchodzi tu w grę zbyt wiele czynników. Wiem jednak, że muszę zabrać go z powrotem do laboratorium. Niezależnie od tego, jak fundacja ustosunkuje się do mej prośby o zgodę na prowadzenie własnych badań, jutro rano zadzwonię do Nemura.

Dziennik 15

12 lipca – W gabinecie dziekana Wydziału Psychologii czekali na mnie Nemur, Strauss, Burt i jeszcze kilka osób. Robili, co mogli, żebym czuł się jak w domu, niemniej natychmiast zauważyłem, jak bardzo Burt chce wziąć Algernona, więc mu go dałem. Nikt nic nie powiedział, ale nietrudno też było się zorientować, że Nemur nieprędko wybaczy mi, że za jego plecami skontaktowałem się z fundacją. A jednak było to konieczne. Nim powróciłem na uniwersytet, musiałem się przecież upewnić, że pozwolą mi na rozpoczęcie własnych badań. Gdybym musiał spowiadać się Nemurowi z każdego kroku, zmarnowałbym za wiele czasu.

Fundacja poinformowała go o swojej decyzji, więc przyjął mnie chłodno, formalnie. Wyciągnął rękę, ale twarz miał poważną.

– Charlie – powiedział – cieszymy się, że wróciłeś i będziesz z nami pracował. Jayson zadzwonił do mnie i przekazał, że fundacja przydzieliła cię do pracy nad projektem. Ludzie i laboratorium są do twojej dyspozycji. Centrum komputerowe zapewniło mnie, że będziesz miał pierwszeństwo w dostępie do sprzętu. No i oczywiście gdybym mógł ci w czymkolwiek pomóc…

Jak mógł starał się sprawiać wrażenie serdecznego, ale z wyrazu jego twarzy odczytałem, że jest nastawiony sceptycznie. No bo w końcu jakie miałem doświadczenie w psychologii eksperymentalnej? Co mogłem wiedzieć o technikach, które wypracowywał cierpliwie przez wiele lat? Ale, jak mówiłem, sprawiał wrażenie serdecznego i powstrzymywał się od ostatecznej oceny. Na razie niewiele może zrobić. Jeśli nie znajdę

wyjaśnienia zachowania Algernona, cała jego robota będzie na nic, ale jeśli rozwiążę problem, zasługą podzieli się zespół.

Odwiedziłem Burta. Obserwował właśnie Algernona zmagającego się z labiryntem. Kiedy mnie zobaczył, westchnął tylko i potrząsnął głową.

– Zapomniał mnóstwo rzeczy – powiedział. – Większość reakcji wyższego poziomu po prostu zanikła. Rozwiązuje problemy w sposób znacznie bardziej prymitywny, niż mógłbym się spodziewać.

– To znaczy jak?

– No… przedtem potrafił sam rozpoznawać proste zależności. Na przykład nieotwierające się przejścia: co drugie, co trzecie, tylko czerwone albo tylko zielone. Teraz biegnie przez labirynt już po raz trzeci i nadal używa metody prób i błędów.

– Czy przyczyną może być dłuższa nieobecność w laboratorium?

– Niewykluczone. Damy mu czas na zaaklimatyzowanie się i spróbujemy jutro.

Odwiedzałem to laboratorium wielokrotnie, ale teraz moim zadaniem było nauczyć się, co ma mi do zaoferowania. W kilka dni musiałem opanować wiedzę, którą inni nabywali latami. Wraz z Burtem przez cztery godziny zwiedzałem je sekcja po sekcji. Próbowałem wyrobić sobie ogólny obraz. Kiedy już skończyliśmy, zorientowałem się, że jednych drzwi mi nie otworzył.

– Co tam jest? – spytałem.

– Lodówka i piec do kremacji – wyjaśnił. Z wysiłkiem popchnął ciężkie drzwi, po czym zapalił światło. – Mrozimy ciała zwierząt doświadczalnych przed spaleniem. Unikamy w ten sposób odoru rozkładu.

Odwrócił się, by wyjść, ale ja jeszcze chwilę stałem w miejscu.

– Nie Algernona – powiedziałem w końcu. – Jeśli… kiedy… słuchaj, nie chcę, żebyście spalili tu Algernona. Oddajcie go mi. Ja sam wszystko

załatwię.

Nie roześmiał się, tylko skinął głową. Nemur powiedział mu, że od tej pory mam dostawać wszystko, o co poproszę.

Ogranicza mnie wyłącznie czas. Jeśli sam mam znaleźć odpowiedzi, muszę natychmiast brać się do pracy. Od Burta dostałem listę lektur, od Straussa i Nemura notatki. Już miałem wychodzić, kiedy przyszła mi do głowy dziwna myśl.

– Chciałbym się czegoś dowiedzieć – zwróciłem się do Nemura. – Przed chwilą obejrzałem piec do palenia ciał zwierząt doświadczalnych. A jakie plany mieliście w stosunku do mnie?

Stanął jak wryty.

– Jestem pewien, że zaplanowaliście sobie wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Jaki miał być mój los?

Nadal milczał. Musiałem mocniej go nacisnąć.

– Mam prawo wiedzieć wszystko o tym, co ma związek z eksperymentem, a więc także znać przyszłość, jaką dla mnie zaplanowaliście.

– Nie ma powodu, żeby cokolwiek ukrywać – powiedział profesor i zamilkł. Przypalił sobie zapalonego papierosa. – Rozumiesz chyba, że od początku mieliśmy wielkie szanse na stałość zmiany i mamy je nadal… naprawdę wielkie szanse…

– W to nie wątpię.

– Oczywiście twój udział w badaniach nakładał na nas wielką odpowiedzialność. Nie wiem, ile pamiętasz i czego dowiedziałeś się ostatnio o początku eksperymentu, ale informowaliśmy cię, że jego wynik może być wyłącznie czasowy.

– Onegdaj zapisałem to nawet w dzienniku, choć wówczas nie rozumiałem, co to może oznaczać. Nie ma o czym mówić, teraz rozumiem.

– Cóż, zdecydowaliśmy się zaryzykować, ponieważ uznaliśmy, że nie możemy wyrządzić ci poważnej krzywdy, natomiast istnieje szansa na znaczącą poprawę.

– Nie musi się pan usprawiedliwiać.

– Wiesz jednak, że musieliśmy otrzymać pozwolenie od członka twojej najbliższej rodziny. Ty nie mogłeś przecież podjąć decyzji w sprawie, której znaczenia nie pojmowałeś.

– Wiem wszystko. Mówi pan o mojej siostrze Normie. Czytałem o tym w gazetach. Podejrzewam, że dostałby pan od niej zgodę na moją egzekucję.

Nemur podniósł brwi, ale nie skomentował tego.

– W każdym razie poinformowaliśmy ją, że jeśli eksperyment zakończy się niepowodzeniem, nie będziemy mogli odesłać cię do piekarni i do tego pokoju, w którym mieszkałeś.

– A to czemu?

– Istniało niebezpieczeństwo, że byłbyś po prostu innym człowiekiem. Ingerencja chirurgiczna i zastrzyki hormonalne mogą mieć długofalowe skutki. Stres pooperacyjny również zostawia czasem jakiś ślad. Chodzi mi na przykład o zaburzenia osobowości komplikujące upośledzenie. Byłbyś, jak wspomniałem, innym człowiekiem…

– Wspaniale. Jakby nie wystarczał mi ten krzyż, który i tak muszę dźwigać.

– No i nie było żadnej pewności, że wróciłbyś do poprzedniego stanu umysłowego. Uwzględniliśmy możliwość regresu na jeszcze niższy poziom.

Miałem dowiedzieć się wszystkiego, także tego, co najgorsze. Nemur postanowił zrzucić ciężar z serca.

– Równie dobrze może mi pan zdradzić resztę – zaproponowałem. – Póki jeszcze mam w tej sprawie coś do powiedzenia. Jakie plany mieliście wobec mnie?

Wzruszył ramionami.

– Fundacja gotowa była wysłać cię do Przytułku i Szkoły Zawodowej Warren.

– Do diabła!

– Umowa, którą zawarliśmy z twoją siostrą, stanowi, że fundacja pokryje wszystkie koszty, a ty będziesz otrzymywał miesięczne wynagrodzenie na własne wydatki. Do końca życia.

– Ale dlaczego właśnie Warren? Zawsze sobie radziłem w normalnym świecie, nawet kiedy wsadzili mnie tam po śmierci wuja Hermana. Donner wyciągnął mnie stamtąd niemal natychmiast. Pracowałem normalnie i normalnie żyłem! A teraz znowu mam tam wrócić?

– Jeśli zdołasz poradzić sobie w normalnym życiu, nie będziesz musiał mieszkać w przytułku. Łagodniejszym przypadkom pozwala się żyć w mieście. Ale przecież musieliśmy cię jakoś zabezpieczyć… na wszelki wypadek.

Miał rację. Nie powinienem się skarżyć. Pomyśleli o wszystkim. Wysłanie do Warren wydawało się logiczne… taka lodówka, w której siedziałbym po kres mych dni.

– W każdym razie to nie piec – powiedziałem.

– Co?

– Nie, nic. Żartuję. – Nagle coś przyszło mi do głowy. – Czy Warren można odwiedzać? Przyjść, rozejrzeć się?

– Tak. Mam wrażenie, że ciągle ktoś do nich jeździ, że przyjmują tam regularne wycieczki. Rodzaj reklamy. Dlaczego pytasz?

– Chcę go obejrzeć. Chcę wiedzieć, co mnie czeka, póki jeszcze mam jakiś wpływ na własny los, póki mogę sam coś postanowić. Niech pan sprawdzi, czy uda się to załatwić… jak najszybciej.

Widziałem, że pomysł odwiedzenia przytułku wyprowadził go z równowagi. Zupełnie jakbym zamówił sobie trumnę i za życia sprawdzał, czy jest wygodna. Cóż, nie mogłem go za to winić. Nie zdawał sobie sprawy, że dla mnie odkrycie, kim jestem, oznacza odkrycie sensu całego życia – zarówno tego, co było, jak i tego, co może się jeszcze zdarzyć, tego, skąd przyszedłem, jak i tego, dokąd idę. Wiemy wprawdzie, że na końcu naszego labiryntu czeka nas śmierć (choć ja nie zawsze zdawałem sobie z tego sprawę; jeszcze niedawno dziecko we mnie było pewne, że śmierć zdarza się tylko innym ludziom), a jednak teraz wiem, że droga, którą przebywam, ten labirynt właśnie, czyni mnie tym, kim jestem. Nie tylko cielesną powłoką, lecz także sposobem życia – jednym z wielu sposobów. Poznanie ścieżek, którymi idę, oraz tych, którymi mogę jeszcze iść, może mi pomóc w zrozumieniu tego, czym się staję.

Tego wieczoru i przez kilka następnych dni zgłębiałem teksty i teorie psychologiczne: psychologię kliniczną, psychologię osobowości, psychometrię, teorię uczenia się, psychologię eksperymentalną, behawiorystyczną, środowiskową, zwierzęcą, fizjologiczną, analityczną, funkcjonalną, dynamiczną, postaci i całą resztę starych i współczesnych szkół, frakcji i systemów myślenia. Przygnębiające wydaje mi się, że tyle idei, na których psychologowie opierają swe przekonania o naturze ludzkiej inteligencji, pamięci i sposobach uczenia się, to tylko pobożne życzenia.

Fay chce odwiedzić laboratorium, ale poprosiłem ją, żeby tego nie robiła. Tego mi tylko brakuje, żeby wpadła na Alice. Jakbym miał za mało kłopotów!

Dziennik 16

14 lipca – Nie był to przyjemny dzień na odwiedziny w Warren – chmury wisiały nisko, padał drobny deszcz. Być może to pogoda winna jest depresji, w którą popadam, kiedy o tym myślę. Albo może po prostu oszukuję sam siebie i niepokoi mnie możliwość, że zostanę tam wysłany. Pożyczyłem samochód od Burta. Alice chciała ze mną pojechać, ale musiałem być sam.

Fay nic o tej wycieczce nie powiedziałem.

Do farmerskiej społeczności Warren na Long Island jechałem jakieś półtorej godziny. Znalazłem miejsce bez najmniejszych problemów. Była to wielka kamienna posiadłość, wjeżdżało się do niej między dwiema betonowymi kolumnami stojącymi po obu stronach wąskiej bocznej drogi. Na błyszczącej mosiężnej tabliczce lśnił napis: „Przytułek i Szkoła Zawodowa Warren". Stojący przy drodze znak nakazywał ograniczenie szybkości do dwudziestu kilometrów na godzinę. Prowadziłem powoli, mijając kolejne budynki zajęte prawdopodobnie przez administrację.

Łąką jechał w moją stronę traktor. Oprócz traktorzysty z tyłu wisiało na nim jeszcze dwóch mężczyzn. Wystawiłem głowę przez okno.

– Hej! Może mi pan powiedzieć, gdzie znajdę pana Winslowa? – krzyknąłem.

Traktor się zatrzymał.

– W szpitalu – powiedział kierujący nim mężczyzna. – Niech pan skręci tu w lewo, a potem w prawo.

Nie mogłem nie zauważyć młodego człowieka jadącego z tyłu i kurczowo trzymającego się uchwytu. Był nieogolony, a na jego ustach błąkał się charakterystyczny pusty uśmiech. Miał na sobie marynarską czapkę z rondem opuszczonym śmiesznie na czoło, chociaż nie było słońca, i patrzył na mnie niepewnie wielkimi, zdziwionymi oczami. Nie potrafiłem znieść tego spojrzenia. Kiedy traktor odjechał, w tylnym lusterku widziałem, że nadal obserwuje mnie ciekawie.

Wyprowadził mnie z równowagi. Przypominał Charliego.

Zdumiałem się, widząc, że główny psycholog jest taki młody. Był to wysoki, szczupły mężczyzna o zmęczonej twarzy. Spokojne spojrzenie niebieskich oczu świadczyło jednak, że za maską młodości kryje się siła charakteru.

Obwiózł mnie po terenie własnym samochodem, wskazując świetlicę, szpital, szkołę, biura i piętrowe budynki, które nazywał „domkami”. Tam mieszkali pacjenci.

– Czyżby nie było tu ogrodzenia? – zdziwiłem się.

– Nie. Przy wjeździe jest tylko brama, a teren otaczają żywopłoty. Ich zadaniem jest zniechęcać ciekawskich.

– To jak udaje się wam powstrzymać tych… ich… od opuszczenia ośrodka?

Tylko wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

– To niemożliwe. Niektórzy rzeczywiście opuszczają teren, ale przeważnie wracają.

– Nie ścigacie ich?

Spojrzał na mnie, jakby próbował odgadnąć, co kryje się za moimi pytaniami.

– Nie. Jeśli wpadną w tarapaty, szybko dowiadujemy się o tym od ludzi z miasteczka… albo odwozi ich policja.

– A jeśli nie wpadną?

– Jeśli nikt, także oni sami, się z nami nie kontaktuje, zakładamy, że udało się im przystosować do życia w normalnym świecie. Powinien pan zrozumieć, panie Gordon, że to nie więzienie. Stan wymaga od nas, byśmy – w granicach rozsądku – próbowali odszukać pacjentów, ale nie mamy ani środków, ani możliwości stałego nadzorowania czterech tysięcy ludzi. Ci, którzy uciekają, należą do lżej upośledzonych. Ostatnio nie trafia ich do nas tak wielu. Teraz przeważają ludzie z uszkodzeniami mózgu wymagający praktycznie stałej opieki. Lekko upośledzeni cieszą się większą swobodą. Po tygodniu spędzonym poza ośrodkiem zazwyczaj wracają. Orientują się, że nie ma tam dla nich miejsca. Świat ich nie potrzebuje.

Wysiedliśmy z samochodu i weszliśmy do jednego z domków. Ściany w środku wyłożone były białymi kafelkami, w powietrzu unosił się zapach środków dezynfekcyjnych. Z korytarza na parterze wchodziło się do wielkiej świetlicy. Siedziało tam siedemdziesięciu pięciu chłopców, czekając na dzwonek wzywający na drugie śniadanie. Natychmiast dostrzegłem jednego ze starszych, tulącego innego, czternasto- czy może piętnastoletniego. Kiedy weszliśmy, wszyscy odwrócili się ku nam, a kilku śmielszych podeszło bliżej.

– Proszę się nie obawiać – powiedział psycholog, kiedy zobaczył wyraz mojej twarzy. – Nie zrobią panu krzywdy.

W tym momencie zjawiła się opiekująca się nimi kobieta, potężna, przystojna, w dżinsowym fartuchu na białej płóciennej koszuli z podwiniętymi rękawami. Dopiero kiedy obróciła głowę, dostrzegłem wielkie ciemnoczerwone znamię na jej lewym policzku.

– Nie spodziewałam się dziś towarzystwa, Ray – powiedziała. – Gości przyprowadzasz na ogół w czwartki.

– Thelmo, to pan Gordon z Uniwersytetu Beekmana. Chce się tylko rozejrzeć i zorientować w naszej pracy. Przecież wiem, że dla ciebie to żadna różnica. Każdy dzień jest dobry.

– Oczywiście. – Kobieta roześmiała się głośno. – Ale w środę zmieniamy materace, więc w czwartek znacznie ładniej tu pachnie.

Zauważyłem, że trzyma się po mojej lewej, ukrywając w ten sposób znamię na policzku. Pokazała mi sypialnie, pralnię, magazyny i jadalnię przygotowaną do posiłku. Mówiąc, nie przestawała się uśmiechać. Wyraz twarzy oraz włosy, upięte wysoko na czubku głowy w duży kok, upodabniały ją do tancerek Lautreca, ale ani razu nie spojrzała mi prosto w oczy. Zastanawiałem się, jak bym się czuł, gdybym znalazł się pod jej opieką.

– Ci, co tu mieszkają, są dobrzy – powiedziała – ale wie pan, jak to jest. Trzystu chłopców, po siedemdziesięciu pięciu na piętro, a nas tylko piątka, żeby mieć na nich oko. Ale tam, w tych *brudnych* domkach… jest o wiele gorzej. Tam obsługa nie wytrzymuje długo. Póki ma się do czynienia z dziećmi, niezbyt to przeszkadza, ale kiedy dorastają i nadal nie umieją zadbać o siebie, robi się obrzydliwie.

– Wydaje się pani bardzo miłą osobą – powiedziałem. – Ci chłopcy mieli szczęście, że to pani nadzoruje ich domek.

Roześmiała się wesoło, nadal patrząc przed siebie. Zęby miała bardzo białe.

– Nie jestem ani lepsza, ani gorsza od innych. Bardzo lubię moich podopiecznych. Praca z nimi nie jest łatwa, ale za to wdzięczna. Kiedy człowiek pomyśli, jak bardzo go potrzebują… – Na chwilę przestała się uśmiechać. – Normalne dzieci dorastają tak szybko… odchodzą… zapominają, kto je kochał i kto się o nie troszczył. A te chcą wszystkiego,

co jesteś w stanie im dać. Zawsze. – Znów się roześmiała, jakby powaga tego stwierdzenia zawstydziła ją. – To ciężka praca, ale warta wysiłku.

Na dole, gdzie czekał na nas Winslow, zadzwonił dzwonek na obiad. Chłopcy zaczęli wypełniać jadalnię. Zauważyłem, że ten starszy, który przedtem trzymał młodszego na kolanach, prowadzi go do stołu za rękę.

– To wspaniałe – powiedziałem, wskazując ich głową.

Winslow przytaknął.

– Ten starszy to Jerry, a młodszy Dusty. Często oglądamy tu podobne obrazki. Niektórzy z nich odczuwają brak zwykłego ludzkiego kontaktu, a ponieważ nikt tu nie ma dla nich za wiele czasu, niekiedy wiążą się ze sobą.

Pojechaliśmy do szkoły. Kiedy mijaliśmy jeden z domków, usłyszałem przeraźliwe wycie podchwycone przez dwa lub trzy inne głosy. Dostrzegłem, że okna są tu zakratowane.

Po raz pierwszy tego ranka Winslow robił wrażenie speszonego.

– W tym domku obowiązują specjalne zasady bezpieczeństwa – wyjaśnił. – Mieszkają w nim upośledzeni z zaburzeniami emocjonalnymi. Jeśli istnieje niebezpieczeństwo, że mogą skrzywdzić kogoś lub siebie, umieszczamy ich w domku „K”. Są zamknięci na stałe.

– Pacjenci z zaburzeniami emocjonalnymi? Przecież ich miejsce jest w szpitalach psychiatrycznych!

– Oczywiście, ale to dość skomplikowana sprawa. Niektórzy z nich to przypadki graniczne, ludzie, którzy załamali się, gdy trochę już z nami pomieszkali. Inni trafili tu z wyroku sądu. Tych po prostu musieliśmy przyjąć, choć tak naprawdę nie mamy dla nich miejsca. Prawdziwy problem polega na tym, że właściwie nigdzie już nie ma miejsca. Wie pan, ile mamy nazwisk na liście oczekujących? Tysiąc czterysta. Tymczasem do końca roku znajdziemy być może miejsce dla dwudziestu pięciu, trzydziestu osób.

– A co z resztą?

– Są u swych rodzin. Problem wolnych miejsc w Warren wygląda inaczej niż w typowym szpitalu. My mamy pacjentów, którzy najczęściej pozostają z nami do końca życia.

Przyjechaliśmy do szkoły – nowoczesnego piętrowego budynku z betonu i szkła, wyposażonego w wielkie okna. Próbowałem wyobrazić sobie siebie w roli pacjenta przemierzającego te korytarze. Widziałem się pośrodku wchodzących gęsiego do klasy uczniów. Być może, jak ten, będę pchał przed sobą kogoś na wózku, może będę prowadził kogoś za rękę albo tulił w ramionach?

W jednej z pracowni stolarskich starsi chłopcy pod kierunkiem nauczyciela robili ławki. Kiedy weszliśmy, stłoczyli się wokół nas, obserwując mnie z ciekawością. Nauczyciel odłożył piłę i ruszył w naszym kierunku.

– To pan Gordon z Uniwersytetu Beekmana – przedstawił mnie Winslow. – Chce się przyjrzeć niektórym naszym pacjentom. Być może kupi cały ten kram.

Nauczyciel roześmiał się, gestem wskazując uczniów.

– Jeśli ku… ku… kupi – powiedział – to z do… dobrodziejstwem inwentarza. I będzie mu… mu… musiał zapewnić nam więcej dreee… wna.

Pokazał mi warsztat. Dopiero teraz zauważyłem, jak cisi są ci chłopcy. Pracowali, szlifując i malując ławki, ale w ogóle nie rozmawiali!

– To moi „mi… mi… milczący chłopcy” – powiedział nauczyciel, jakby wyczuł, o co chcę go zapytać. – Głu… uuchonie… nie… niemi.

– Mamy ich tutaj stu sześciu – wtrącił Winslow. – W ramach specjalnego programu opłacanego przez rząd federalny.

Nieprawdopodobne! Ileż im brakowało do bycia normalnymi ludźmi – upośledzeni, głusi i niemi… a jednak pilnie szlifowali ławki!

Jeden z chłopców, zaciskający kawałek drewna w imadle, przerwał pracę, poklepał Winslowa po ramieniu i wskazał mu palcem róg sali, gdzie na półkach stały wykończone, schnące przedmioty. Pokazywał to na podstawę lampy na drugiej półce, to na siebie. Niekształtna podstawa zrobiona była niedbale, drewno popękało, a farba nałożona została nierówno. Winslow oraz nauczyciel zachwycali się nią demonstracyjnie, chłopiec zaś spojrzał na mnie z dumnym uśmiechem, czekając, żebym też go pochwalił.

– Tak. – Skinąłem głową, wyraźnie wymawiając słowa. – Jest bardzo ładna… bardzo dobra.

Powiedziałem tak, gdyż potrzebował pochwały, ale nie czułem nic. Chłopak uśmiechnął się do mnie, a kiedy już wychodziliśmy, podszedł i na pożegnanie dotknął mojego ramienia. Omal nie zaszlochałem. Z ogromnym trudem zdołałem opanować emocje, póki nie wyszliśmy na korytarz.

Dyrektorka szkoły była niewysoką, tęgą kobietą o bardzo macierzyńskim wyglądzie. Posadziła mnie przed starannie przygotowanym wykresem przedstawiającym różne rodzaje pacjentów oraz liczbę wychowawców przypadających na poszczególne kategorie i przedmioty, których nauczają.

– Oczywiście – stwierdziła – trafia tu niewielu pacjentów z IQ w górnym minimum. Ludzie z ilorazem inteligencji w granicach sześćdziesięciu czy siedemdziesięciu coraz częściej uczą się w specjalnych klasach zwykłych szkół, istnieją też lokalne instytucje, których zadaniem jest opiekować się nimi. Większość tych, którzy przychodzą do nas, doskonale poradziłaby sobie w rodzinach zastępczych lub pensjonatach, pracując na farmach albo wykonując proste prace w fabrykach, pralniach…

– Piekarniach – podpowiedziałem jej.

Zmarszczyła czoło, zdziwiona.

– Tak – przyznała – piekarnie też chyba wchodzą w grę. Więc my dzielimy dzieci (nazywam ich dziećmi niezależnie od wieku, bo są jak dzieci), więc dzielimy je na „czyste” i „brudne”. Administrowanie domkami jest znacznie łatwiejsze, jeśli nie miesza się kategorii. Niektóre dzieci „brudne” cierpią na poważne uszkodzenia mózgu i trzymane są w kołyskach. Trzeba się nimi opiekować do końca życia.

– Lub póki nauka nie znajdzie sposobu, by im pomóc.

– Och! – Uśmiechnęła się, jakby zamierzała powiedzieć coś najbardziej oczywistego. – Obawiam się, że im nie można już, niestety, pomóc.

– Każdemu można pomóc.

Spojrzała na mnie niepewnie.

– Tak, tak, oczywiście, ma pan rację. Nie wolno nam tracić nadziei.

Zaniepokoiłem ją. Uśmiechnąłem się w duszy, wyobrażając sobie, jak przyprowadzają mnie tu jako jedno z jej „dzieci”. Byłbym „czysty” czy „brudny”?

W gabinecie Winslowa napiliśmy się kawy. Mówił o swojej pracy.

– To świetne miejsce. Nie mamy psychiatrów na etatach, zatrudniamy tylko konsultanta, który przychodzi do nas raz na dwa tygodnie. Więcej nie potrzeba. Psychologowie pracują z wielkim poświęceniem. Mógłbym zatrudnić psychiatrę, ale wziąłby tyle co dwóch psychologów, a ci nie wahają się dać tym chorym coś z siebie.

– Co pan ma na myśli, mówiąc „coś z siebie”?

Przyglądał mi się dłuższą chwilę, a potem spod jego maski zmęczenia wychynął gniew.

– Mnóstwo ludzi wspomaga nas materialnie, ale bardzo niewielu skłonnych jest poświęcić czas i uczucie. To mam na myśli. – Głos miał ochrypły. Wskazał butelkę ze smoczkiem stojącą na półce z książkami po przeciwnej stronie gabinetu. – Widzi pan tę butelkę?

Powiedziałem mu, że zauważyłem ją, gdy tylko weszliśmy.

– A ile zna pan osób gotowych wziąć w ramiona dorosłego mężczyznę, przytulić go i karmić z butelki? Zaryzykować, że zostaną przez niego zmoczone, że może nawet będą musiały czyścić się z odchodów? Sprawia pan wrażenie zdumionego. Nie tak to wygląda z perspektywy tej waszej akademickiej wieży z kości słoniowej, prawda? Co pan wie o tym, jak żyją nasi pacjenci, odcięci od wszelkich ludzkich doświadczeń?

Nie mogłem powstrzymać uśmiechu. Najwyraźniej źle go odczytał, bo wstał i szybko się pożegnał. Jeśli wrócę tu jako pacjent, a on o wszystkim się dowie, jestem pewien, że zrozumie. Tego rodzaju ludzie potrafią zrozumieć.

Wyjeżdżając z Warren, nie wiedziałem właściwie, co myśleć. Czułem się niczym zawieszony w chłodnej, szarej mgle rezygnacji. Nikt nie rozmawiał ze mną o rehabilitacji, o leczeniu, o tym, że ludzie ci kiedyś mogą znaleźć się w normalnym świecie. Nikt sam nie wymówił słowa „nadzieja”. Mieszkańcy Warren umarli za życia, nie, gorzej jeszcze, nigdy nie żyli w pełni, świadomie. Nie mieli duszy.

Myślałem o opiekunce jednego z domków, tej z czerwonym znamieniem na twarzy, o jąkającym się nauczycielu stolarki, o przypominającej matkę dyrektorce i o młodym, sprawiającym wrażenie śmiertelnie zmęczonego psychologu i żałowałem, że nie wiem, jakimi drogami tu trafili, co spowodowało, że postanowili podzielić się częścią siebie z tymi milczącymi umysłami. Jak starszy chłopiec tulący w ramionach młodszego, tak i oni spełniali się, obdarowując sobą tych, dla których los był skąpy.

Myślałem też o tym, czego mi nie pokazano.

Być może sam przybędę wkrótce do Warren, by spędzić tu z nimi resztę życia.

15 lipca – Odkładałem wizytę u matki. Chcę się z nią spotkać, a jednocześnie nie chcę, przynajmniej do czasu, aż dowiem się, co mnie czeka. Lepiej się najpierw przekonać, jak mi idzie praca i jakie przynosi efekty.

Algernon odmawia pokonywania labiryntu. Poziom motywacji znacznie się u niego obniżył. Wpadłem dziś zobaczyć, co u niego, i tym razem zastałem na miejscu Straussa. Obserwując mysz, obaj z Nemurem sprawiali wrażenie zaniepokojonych. Dziwnie się czułem, widząc kłębek białego futerka przymocowany do stołu, karmiony przez Burta kroplomierzem. Jeśli w najbliższym czasie nic się nie zmieni, zaczną go chyba karmić dożylnie.

Patrząc na skrępowanego Algernona, nagle poczułem pasy na własnych rękach i nogach. Zacząłem się dławić i musiałem wybiec z laboratorium na świeże powietrze.

Nie powinienem tak się z nim identyfikować.

Poszedłem do baru Murraya. Wypiłem kilka szklaneczek, a potem zadzwoniłem do Fay i dalej bawiliśmy się razem w tym samym stylu. Jest na mnie trochę zła, że przestałem zabierać ją na tańce. Rozzłościła się w końcu i zaczęła wychodzić sama. Nie ma pojęcia o mojej pracy i nic jej to nie obchodzi, a kiedy próbuję z nią porozmawiać na ten temat, nie kryje znudzenia. Po prostu nie lubi się wysilać. Nie powinienem mieć do niej o to pretensji. Z tego, co widzę, interesują ją wyłącznie trzy rzeczy: taniec, malowanie i seks. Z tych trzech zaś tak naprawdę łączy nas tylko seks. Głupio postępowałem, starając się zainteresować ją moją pracą.

No więc chodzi na tańce beze mnie. Powiedziała mi nawet, że ostatniej nocy śniło się jej, że podpaliła wszystkie moje książki i notatki i że tańczyliśmy wokół ogniska. Powinienem się pilnować, bo Fay staje się

coraz bardziej zaborcza. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że moje mieszkanie zaczyna przypominać jej. Straszny tu bałagan.

No i powinienem mniej pić.

16 lipca – Ostatniej nocy Alice i Fay wreszcie się spotkały.

Martwiłem się tym, co może nastąpić, kiedy staną ze sobą twarzą w twarz. Alice przyszła mnie odwiedzić, kiedy dowiedziała się od Burta o Algernonie. Wie, co to może oznaczać, a nadal czuje się odpowiedzialna, bo przecież zachęciła mnie do udziału w eksperymencie.

Piliśmy kawę i rozmawialiśmy do późna. Wiedziałem, że Fay poszła tańczyć do Stardust Ballroom, więc nie spodziewałem się, że wróci tak wcześnie. A jednak za piętnaście druga zaskoczyła nas, pojawiając się nagle na schodach przeciwpożarowych. Zapukała w szybę, podniosła do końca na pół otwarte okno i wlazła do środka z butelką w ręku.

– Psuję wam zabawę – oznajmiła – ale chociaż przyniosłam własne zapasy.

Powiedziałem jej wcześniej, że Alice pracuje ze mną na uniwersytecie, Alice też już wspomniałem o Fay, więc przynajmniej nie były zaskoczone. Przez kilka sekund mierzyły się wzrokiem, po czym natychmiast wdały się w dyskusję o sztuce i o mnie, a jeśli chodzi o moją osobę, to po chwili równie dobrze mógłbym się znajdować w innej galaktyce. Jednym słowem, polubiły się.

– Zrobię kawę – powiedziałem i poszedłem do kuchni, żeby im nie przeszkadzać.

Kiedy wróciłem, Fay siedziała na bosaka na podłodze, pociągając dżin wprost z butelki. Wyjaśniała Alice, że jej zdaniem nie ma nic lepszego dla

ludzkiego ciała od kąpieli słonecznych, a nudyzm to najprostsze rozwiązanie wszystkich problemów moralnych.

Alice śmiała się histerycznie z jej sugestii, byśmy we trójkę przystali do kolonii nudystów. Przyjęła nawet nalanego jej drinka.

Siedzieliśmy tak i gadaliśmy do świtu. Postanowiłem odprowadzić Alice do domu. Kiedy protestowała, twierdząc, że to niepotrzebne, Fay wtrąciła się i powiedziała jej, żeby nie była głupia i nie jeździła sama po mieście. Nie o tej godzinie.

Poszedłem na dół i znalazłem taksówkę.

– Jest w tej dziewczynie coś… – powiedziała Alice, kiedy jechaliśmy do niej – …ale nie wiem, co. Otwartość, ufność, całkowity brak egoizmu?

Zgodziłem się z nią.

– I kocha cię – dodała.

– Nie. Kocha wszystkich – odparłem z naciskiem. – Ja jestem po prostu sąsiadem.

– Czyżbyś jej nie kochał?

Potrząsnąłem głową.

– Ty jesteś jedyną kobietą, jaką kiedykolwiek kochałem.

– Nie rozmawiajmy o tym.

– A więc poważnie ograniczasz nam zasób tematów.

– Jednego tylko się lękam, Charlie. Picia. Słyszałam o twoich kacach.

– Powiedz Burtowi, by ograniczył się do prowadzenia obserwacji i składania raportów dotyczących wyłącznie eksperymentu. Z piciem potrafię sobie poradzić.

– Mam wrażenie, że parę razy już to słyszałam.

– Nigdy z moich ust.

– Tylko to mam przeciw niej. Przez nią zacząłeś pić… no i przeszkadza ci w pracy.

– Z tym też potrafię sobie poradzić.

– Twoja praca jest teraz ważna, Charlie. Nie tylko dla świata i milionów nieznanych ci ludzi, ale dla ciebie. Charlie, nie pozwól, by ktoś związał ci ręce!

– A więc prawda wyszła na jaw – zażartowałem. – Chciałabyś, bym rzadziej się z nią widywał!

– Tego nie powiedziałam.

– Ale to miałaś na myśli. Jeśli przeszkadza mi w pracy, to oboje wiemy, że powinienem przestać się z nią widywać.

– Nie, nie sądzę, byś powinien przestać się z nią widywać. Fay dobrze ci robi. Potrzebna ci kobieta, która sporo przeszła, taka jak ona.

– Ty dobrze byś mi zrobiła.

Alice odwróciła się ode mnie.

– Nie w tym sensie, jaki mam na myśli, mówiąc o niej. – Nagle spojrzała mi prosto w oczy. – Przyszłam do ciebie gotowa ją znienawidzić. Chciałam, by okazało się, że jesteś związany ze złą, głupią zdzirą, miałam nawet zamiar odegrać bohaterską rolę i ocalić cię wbrew twojej woli. Jednak teraz, kiedy ją poznałam, zdałam sobie sprawę, że nie mam prawa jej osądzać. Naprawdę myślę, że jest dla ciebie dobra. Jakby trochę pozbawiło mnie to zapału. Lubię ją, chociaż nie wszystko mi się w niej podoba. Ale mimo to, jeśli pijesz z nią i spędzasz całe noce na tańcach w kabaretach i nocnych klubach, ona jest zawadą. I ten problem tylko ty możesz rozwiązać.

– A więc mam kolejny problem do rozwiązania – roześmiałem się.

– A dorosłeś do niego? Bardzo poważnie się zaangażowałeś. Widać to na pierwszy rzut oka.

– Nie aż tak poważnie.

– Opowiedziałeś jej o sobie?

– Nie.

Choć było to niemal niezauważalne, dostrzegłem, że się uspokoiła. Utrzymując w tajemnicy historię mojego życia, udowodniłem jakoś, że nie oddałem się Fay cały. Oboje zdawaliśmy sobie sprawę, że choćby nie wiem jaka była cudowna, nigdy by tego nie zrozumiała.

– Potrzebowałem jej, a ona w jakiś sposób potrzebowała mnie. Jesteśmy sąsiadami, więc wszystko odbyło się naturalnie. Tylko tyle. Nie nazwałbym tego miłością. Miłość to coś, co łączy nas.

Alice opuściła wzrok. Siedziała ze zmarszczonym czołem, wpatrując się w swoje splecione ręce.

– Nie jestem pewna, co właściwie nas łączy – powiedziała w końcu.

– Coś tak głębokiego i znaczącego, że tkwiący we mnie Charlie jest przerażony, gdy tylko pojawia się choćby cień szansy, że będziemy się kochać.

– A przy niej?

Wzruszyłem ramionami.

– Stąd właśnie wiem, że to z nią nie jest ważne. Nie na tyle w każdym razie, by Charlie wpadał w panikę.

– Wspaniale! – Alice się roześmiała. – Co za cholerna ironia! Kiedy tak o nim mówisz, nienawidzę go za to, że wszedł między nas. Czy sądzisz, że kiedykolwiek pozwoli ci… nam…

– Nie wiem. Mam nadzieję.

Pożegnaliśmy się na progu. Podaliśmy sobie ręce i gest ten jakimś dziwnym trafem wydał mi się bardziej czuły i intymny niż uścisk.

Wróciłem do domu. Kochałem się z Fay, ale myślami byłem z Alice.

27 lipca – Pracuję po dwadzieścia cztery godziny na dobę. Mimo protestów Fay kazałem położyć materac w laboratorium. Fay stała się zbyt władcza i zbyt zazdrosna o pracę. Moim zdaniem zniosłaby obecność innej kobiety, ale nie całkowite oddanie się czemuś, czego nie rozumie. Obawiałem się, że coś podobnego może nastąpić, ale już nie mam do niej cierpliwości. Żal mi każdej sekundy, której nie spędzam przy pracy, i denerwują mnie ludzie, którzy próbują kraść mi czas.

Kiedy piszę, są to przede wszystkim notatki do pracy, które trzymam osobno, ale od czasu do czasu zapisuję jeszcze w dzienniku myśli i nastroje. Z czystego przyzwyczajenia.

Matematyka inteligencji jest fascynującą dziedziną. W pewnym sensie problemem tym zajmowałem się przez całe życie. To tu zastosować mogę całą nabytą wiedzę.

Czas nabrał dla mnie zupełnie innego wymiaru, oznacza pracę i całkowite oddanie poszukiwaniu odpowiedzi. Świat wokół mnie – oraz moja przeszłość – wydają się odległe, bezkształtne, jakby i przestrzeń, i czas stały się gumką naciąganą, skręcaną i plątaną, aż zatraciła pierwotny kształt. Cała rzeczywistość skupia się tu, na trzecim piętrze głównego budynku, wśród klatek, myszy i wyposażenia laboratorium.

Nie ma już ani dnia, ani nocy. Muszę zmieścić badania, które mogłyby zająć całe życie, w kilku zaledwie tygodniach. Wiem, że powinienem odpocząć, ale nie zdołam, póki nie poznam prawdy o tym, co się dzieje.

Alice bardzo mi teraz pomaga. Przynosi kanapki i kawę, a niczego w zamian nie żąda.

Uwaga dotycząca percepcji: wszystko wydaje mi się niezwykle wyraźne, czyste, każde wrażenie odbieram wzmocnione i kolorowe do tego stopnia, że czerwienie, żółcie oraz błękity aż płoną. Spanie tu jest doprawdy dziwnym doświadczeniem. Zapachy zwierząt laboratoryjnych – psów,

małp, myszy – przywołują wspomnienia i czasami trudno mi powiedzieć, czy doświadczam nowego wrażenia, czy przeżywam przeszłość. Nie wiem, ile z tego jest wspomnieniem, a ile rzeczywistością; formuje się przedziwny twór z pamięci i realności, przeszłości i teraźniejszości, reakcji na bodźce zachowane w centrach nerwowych mózgu i reakcji na bodźce płynące z laboratorium. Czuję się tak, jakby to, czego się nauczyłem, wykrystalizowało się w przezroczysty wszechświat i widzę wszystkie jego fasetki odbite w błyskach czystego światła.

Małpka siedzi pośrodku klatki, patrzy na mnie sennymi ślepiami, gładzi się po policzkach małymi, pomarszczonymi łapkami starca. Czi… czi… czi… skacze na siatkę, wspina się na wiszącą na górze huśtawkę. Siedzą tam inne małpki, wpatrując się tępo w przestrzeń. Sikają, robią kupy, pierdzą, gapią się na mnie i śmieją. Czi… czi… czi…

Małpka skacze tu i tam, w górę i w dół, huśta się, próbuje łapać inne małpy za ogony, ale te, które siedzą na górze, usuwają się, nie zwracając na nią uwagi. Dobra małpka… ładna małpka… takie ma wielkie oczy, taki długi ogon… Mogę dać małpce orzeszka? Nie! Ten pan będzie na ciebie krzyczał. Tu jest napisane, żeby nie karmić zwierząt. Małpka nazywa się szympans. Czy mogę ją pogłaskać? Nie! Chcę pogłaskać szympona. Nie wolno. Chodź, obejrzyjmy słonia.

Przed klatkami tłum jaskrawo ubranych ludzi. Jest wiosna.

Algernon leży we własnych odchodach. Nie rusza się. Zapachy są silniejsze niż kiedykolwiek.

Co ze mną?

28 lipca – Fay ma nowego przyjaciela. Ostatniej nocy wróciłem do domu, żeby się z nią spotkać. Najpierw wstąpiłem do siebie po butelkę, a potem wyszedłem na schody przeciwpożarowe. Na szczęście nim wszedłem, spojrzałem przez okno. Leżeli na kanapie. Dziwne, ale wcale się tym nie przejąłem. Odczułem raczej ulgę.

Pojechałem do laboratorium, żeby popracować z Algernonem. Są chwile, kiedy budzi się z letargu. Od czasu do czasu przebiega labirynt o zmiennych sekwencjach, ale jeśli nie udaje mu się i trafia w miejsce, z którego nie ma wyjścia, reaguje bardzo gwałtownie. Kiedy dotarłem do laboratorium, przede wszystkim zajrzałem do niego. Był ożywiony, podbiegł nawet do mnie, jakby mnie poznał. Sprawiał wrażenie chętnego do pracy i gdy przez otwór wsadziłem go do labiryntu, natychmiast ruszył wprost do mety. Dwukrotnie udało mu się tam dotrzeć bez problemów. Za trzecim razem pokonał połowę drogi, zatrzymał się w miejscu, w którym rozchodziły się korytarzyki, a potem, niepewnie, pobiegł złym. Widząc, co się dzieje, miałem ochotę sięgnąć do środka i wyciągnąć go, nim dobiegnie do ściany. Powstrzymałem się jednak i tylko patrzyłem.

Zauważył wreszcie, że porusza się po nieznanym terenie, i zwolnił. A potem jego zachowanie przestało być logiczne – biegł, zatrzymywał się, zawracał, kręcił się w kółko i znów ruszał do przodu, aż w końcu trafił w ślepy zaułek. Słaby wstrząs elektryczny poinformował go, że popełnił błąd. W tym momencie, zamiast zawrócić i poszukać alternatywnej drogi, zaczął biegać w kółko, skrzecząc jak igła gramofonu przesuwająca się w poprzek płyty. Rzucał się też na ścianki – podskakiwał, obracał się w powietrzu, lądował na nich łapkami, spadał i próbował znowu. Dwukrotnie udało mu się uchwycić pazurkami drucianej siatki na górze. Wisiał na niej, piszcząc przeraźliwie, po czym spadał i próbował raz jeszcze. Nagle przestał i zwinął się w małą, nieruchomą kulkę.

Kiedy wziąłem go do ręki, nie zmienił pozycji. Pozostał w stanie przypominającym katatonię. Jeśli poruszyłem jego głową lub łapką, pozostawała w pozycji, którą jej nadałem, jakby zrobiona była z wosku. Odłożyłem go do klatki i obserwowałem, póki stan ten nie minął i Algernon nie zaczął poruszać się normalnie.

Nie potrafię jednak odkryć przyczyn regresu. Czy wynika z jego cech indywidualnych? Następuje przypadkowo czy też może rządzi nim jakaś zasada właściwa dla całej procedury?

Będę musiał odkryć tę zasadę.

Jeśli ją znajdę, jeśli doda ona choćby najmniejszą odrobinę do naszej wiedzy o upośledzeniach, jeśli umożliwi udzielenie pomocy takim jak ja, będę zadowolony. Cokolwiek mi się zdarzy, przeżyję tysiąc normalnych żyć dzięki temu, co dam tym, którzy jeszcze się nie narodzili.

To wystarczy.

31 lipca – Już prawie wiem. Niemal czuję smak rozwiązania. Oni wszyscy myślą, że zabijam się, pracując w tym tempie, nie rozumieją jednak, że żyję w natężeniu czystości i piękna, z którego istnienia nie zdawałem sobie przedtem sprawy. Każda część mojego jestestwa dostrojona jest do rytmu pracy. Chłonę ją w ciągu dnia wszystkimi porami skóry, nocami zaś, tuż przed zapadnięciem w sen, pomysły wybuchają mi w głowie jak fajerwerki. Nie ma większej rozkoszy niż nagły rozbłysk, w którym znajduje się rozwiązanie problemu.

Nieprawdopodobne, że coś może się zdarzyć, pozbawić mnie tej pulsującej energii, ducha wypełniającego wszystko, co robię. Jest tak, jakby cała wiedza, którą nasiąkłem przez kilka ostatnich miesięcy, zmieniła się w promień światła, w iluminację. To piękno, miłość i prawda stopione

w jedno. To rozkosz. Teraz, kiedy ją znalazłem, jak mógłbym z niej zrezygnować? Życie i praca to najlepsze, co może zdarzyć się człowiekowi. Kocham to, co robię, ponieważ rozwiązanie problemu znajduje się gdzieś tu, w moim umyśle i wkrótce, już bardzo niedługo znajdzie drogę do świadomości. Niech tylko dane mi będzie rozwiązać ten jeden jedyny problem. Modlę się do Boga o odpowiedź, której pragnę, lecz jeśli nie będzie to ta odpowiedź, przyjmę każdą i będę Mu wdzięczny za to, co miałem.

Nowy przyjaciel Fay to nauczyciel tańca ze Stardust Ballroom. Nie mam do niej żalu, w końcu tak mało czasu jej poświęcałem.

11 sierpnia – Od dwóch dni brnę w ślepą uliczkę. Nic. Skręciłem nie tam, gdzie trzeba, ponieważ, choć znajduję odpowiedzi na wiele pytań, nie ma wśród nich najważniejszego: Jak regresja Algernona ma się do podstawowej hipotezy eksperymentu?

Na szczęście wiem wystarczająco dużo o funkcjonowaniu umysłu, by mnie to za bardzo martwiło. Zamiast wpadać w panikę i rezygnować (albo, co gorsza, rozpaczliwie szukać odpowiedzi, które i tak by się nie pojawiły), postanowiłem przestać myśleć o sprawie, pozwolić jej dojrzeć. Świadomy proces poszukiwań zaprowadził mnie tak daleko, jak to tylko możliwe, czas teraz na wszystkie te tajemne operacje poniżej poziomu świadomości. Oto jeden z owych cudów nie do wytłumaczenia – wszystko, czego się nauczyłem i czego doświadczyłem, łączy się, by pomóc mi w pracy. Gdybym starał się za bardzo, mógłbym się zablokować. Jak wiele ważnych problemów pozostało nierozwiązanych z powodu ignorancji lub dlatego, że ludzie nie mieli wystarczającej wiary w proces twórczy i w siebie, by pozwolić *całemu* umysłowi skupić się na jednym?

No więc wczoraj po południu zdecydowałem się odłożyć pracę i pójść na cocktail party wydane przez panią Nemur na cześć dwóch członków rady nadzorczej Fundacji Welberga, którzy najbardziej pomogli jej mężowi w otrzymaniu grantu. Chciałem zabrać Fay, ale oznajmiła mi, że już jest umówiona i woli iść potańczyć.

Poszedłem tam, pragnąc szczerze zachowywać się jak najmilej i zdobyć mnóstwo przyjaciół. Ostatnio mam jednak pewne problemy w kontaktach z ludźmi. Nie wiem, kto jest winien, ja czy oni, ale każda próba towarzyskiej rozmowy kończy się klęską. Czyżby ludzie się mnie bali? A może w głębi duszy nic ich nie obchodzę, oni zaś nic nie obchodzą mnie?

Wziąłem szklaneczkę i zacząłem krążyć po wielkiej sali. Tu i tam stały grupki pogrążonych w rozmowach o niczym. W końcu dopadła mnie pani Nemur i przedstawiła Hyramowi Harveyowi, jednemu z członków rady. Pani Nemur jest kobietą atrakcyjną, po czterdziestce. Była mocno wymalowana i miała długie, czerwone paznokcie. Trzymała Harveya pod ramię.

Zapytała, jak mi idą badania.

– Tak jak można się było tego spodziewać – odparłem. – Muszę teraz rozwiązać bardzo trudny problem.

Zapaliła papierosa i uśmiechnęła się.

– Wiem, że wszyscy członkowie grupy badawczej są ci wdzięczni za to, że zdecydowałeś się do niej dołączyć i pomóc im, ale wyobrażam sobie, że wolałbyś raczej zająć się jakimś nowym tematem. Podejmowanie cudzej pracy wydaje się dość nudne w porównaniu z rozwiązywaniem problemów, które znalazło się samemu.

Twarda z niej była sztuka, owszem. Nie pozwalała Harveyowi zapomnieć, że to wszystko zasługa jej męża. Nie oparłem się pokusie docięcia jej.

– Nikt nigdy nie zaczyna niczego nowego, pani Nemur. Buduje się na upadkach innych. W nauce nie istnieje pojęcie oryginalności. Liczy się tylko to, co każdy z nas jest w stanie dodać do sumy wiedzy.

– Oczywiście – przytaknęła, mówiąc raczej do starszego mężczyzny niż do mnie. – Jaka szkoda, że pan Gordon nie przyłączył się do nas wcześniej, by pomóc nam rozwiązać wszystkie te drobne końcowe problemy. Och – zaśmiała się lekko – zapomniałam! Nie był pan wówczas w stanie prowadzić żadnych eksperymentów psychologicznych!

Harvey zawtórował jej, a ja pomyślałem, że lepiej nie odpowiadać. Bertha Nemur postanowiła, że musi mieć ostatnie słowo, i gdybym posunął się choćby o krok dalej, sytuacja zrobiłaby się nieprzyjemna.

Dostrzegłem doktora Straussa i Burta rozmawiających z drugim przedstawicielem Fundacji Welberga, George’em Raynorem.

– Problem w tym, panie Raynor – mówił właśnie Strauss – by mieć wystarczające fundusze nieobwarowane żadnymi ograniczeniami. Kiedy określone sumy przeznacza się na określone cele, praktycznie nie możemy pracować.

Raynor machnął wielkim cygarem w stronę otaczającej go grupy.

– Prawdziwy problem polega na tym – stwierdził – by przekonać radę, że tego rodzaju badania mają praktyczną wartość.

Strauss potrząsnął głową.

– Pragnąłem tylko podkreślić, że pieniądze powinny być przeznaczone po prostu na badania. Nikt nigdy nie wie z góry, czy wyniknie z nich coś użytecznego. Rezultaty często są negatywne. Uczymy się, czym coś nie jest. Dla człowieka, który zaczyna z tego miejsca, to równie istotna informacja jak wiedza o tym, czym coś jest. Przynajmniej dowiaduje się, czego nie ma robić.

Podchodząc do tej grupy, dostrzegłem żonę Raynora, której zostałem przedstawiony już wcześniej. Była to piękna, ciemnowłosa, mniej więcej trzydziestoletnia kobieta. Gapiła się na mnie, a raczej na czubek mojej głowy, jakby spodziewała się, że lada chwila coś stamtąd wyrośnie. Spojrzałem jej prosto w oczy. Poczuła się niepewnie i obróciła w stronę Straussa.

– A co z bieżącym projektem? – spytała. – Spodziewacie się, że uda wam się użyć wypracowanych technik w przypadku innych upośledzonych? Czy to coś, co przyniesie jakiś pożytek światu?

Strauss wzruszył ramionami. Wskazał mnie głową.

– Za wcześnie jeszcze na zdecydowaną odpowiedź. Pani mąż pomógł nam uzyskać pomoc Charliego. Bardzo wiele zależy teraz od tego, czego uda mu się dokonać.

– Oczywiście – wtrącił Raynor – my wszyscy rozumiemy konieczność prowadzenia badań naukowych, przynajmniej w takiej dziedzinie jak wasza. Ale odkrycie, jak uzyskać trwałe rezultaty, pokazanie światu, że wasze teorie dadzą się użyć w praktyce, byłoby dla nas wspaniałą reklamą.

Już miałem coś powiedzieć, kiedy Strauss wstał i położył mi dłoń na ramieniu.

– Wszyscy na uniwersytecie zdajemy sobie sprawę, jak ważna jest praca Charliego. Jego zadaniem jest teraz dojść do prawdy, obojętnie jaka ona będzie. Fundacji zostawiamy decyzję co do sposobu przekazania tej prawdy ludziom.

Uśmiechnął się do Raynorów i dyskretnie mnie od nich odciągnął.

– Wcale nie to zamierzałem powiedzieć – zaprotestowałem.

– Tak mi się właśnie wydawało – szepnął, trzymając mnie za łokieć. – Dostrzegłem ten błysk oka i domyśliłem się, że chcesz rozszarpać ich na strzępy. Nie mogłem ci na to pozwolić, rozumiesz?

– Chyba rozumiem – przyznałem, sięgając po kolejne martini.

– Nie sądzisz, że to niemądrze tak dużo pić?

– Zapewne, ale próbuję się odprężyć, a mam wrażenie, że trafiłem w złe miejsce.

– Spokojnie, Charlie. Lepiej, żebyś dziś nie wpadł w kłopoty. Ci ludzie nie są głupi. Wiedzą, co o nich myślisz, a choć ty możesz sądzić, że ich nie potrzebujesz, my z pewnością ich potrzebujemy.

Zasalutowałem mu służbiście.

– Spróbuję, ale proszę trzymać panią Raynor z dala ode mnie. Uszczypnę ją, jeśli znów pokręci przede mną tyłkiem.

– Ciii! Jeszcze cię usłyszy!

– Ciii! – powtórzyłem szeptem. – Dobra, siądę sobie w kąciku i nie będę wchodził ludziom w drogę.

Widziałem już jak przez mgłę, ale byłem pewien, że się na mnie gapią. Zdaje się, że mówiłem coś do siebie. Nawet nie pamiętam co. Trochę później zorientowałem się, że ludzie wychodzą wyjątkowo wcześnie, ale nie zwróciłem na to szczególnej uwagi.

Nagle pojawił się przede mną Nemur.

– Za kogo się, do cholery, uważasz, że pozwalasz sobie na takie zachowanie?! – niemal na mnie krzyczał. – W życiu nie widziałem tak niewybaczalnej arogancji!

Wstałem z wysiłkiem.

– Dlaczego pan tak mówi?

Strauss chciał go powstrzymać, ale Nemur powiedział, plując i bełkocząc w gniewie:

– Mówię tak, ponieważ nie znasz uczucia wdzięczności, a w dodatku nie rozumiesz sytuacji! W końcu, nawet jeśli nie wobec nas, to wobec tych ludzi masz dług wdzięczności.

– A od kiedy to obowiązkiem królika doświadczalnego jest wyrażać wdzięczność? – krzyknąłem. – Posłużyłem wam do waszych celów, a teraz próbuję naprawić wasze błędy, więc jakim cudem przy tej okazji popadłem w jakieś długi?

Strauss znów próbował załagodzić sytuację, Nemur jednak nie miał zamiaru mu na to pozwolić.

– Chwileczkę – rzucił. – Chcę tego posłuchać. Chyba najwyższy czas, żeby wszystko zostało powiedziane.

– Za dużo wypił – wtrąciła jego żona.

– Wcale nie tak dużo! Mówi całkiem zrozumiale. Do tej pory godziłem się na wszystko. Naraził na szwank – może nawet zniszczył – naszą pracę. Teraz z jego ust chcę usłyszeć, jakie ma usprawiedliwienie.

– Dajmy temu spokój – zaproponowałem. – Pan wcale nie chce usłyszeć prawdy.

– Ależ chcę, Charlie. A przynajmniej twoją wersję prawdy. Chcę wiedzieć, czy czujesz choć odrobinę wdzięczności za to wszystko, co dla ciebie zrobiliśmy: za zdolności, których nabrałeś, za rzeczy, których się nauczyłeś, za to, czego miałeś szansę doświadczyć. A może uważasz, że przedtem było ci lepiej?

– Pod pewnymi względami tak.

To nim wstrząsnęło.

– Wiele się nauczyłem przez te kilka miesięcy – mówiłem dalej. – Nie tylko o Charliem Gordonie, ale o życiu i ludziach w ogóle. Dowiedziałem się, że Charlie Gordon i jako kretyn, i jako geniusz nikogo nie obchodzi. Więc co to właściwie za różnica?

– Och! – roześmiał się Nemur. – Zacząłeś litować się nad sobą, co? A czego się spodziewałeś? Celem eksperymentu było podniesienie twojej inteligencji, a nie popularności. Nie mieliśmy żadnego wpływu na to, co się

stanie z twoją osobowością, a ty z sympatycznego umysłowo upośledzonego młodego człowieka zmieniłeś się w aroganckiego, egoistycznego, nieznośnego sukinsyna.

– Drogi profesorze, problem w tym, że chciał pan kogoś, kto będzie inteligentny, ale nadal da się trzymać w klatce i pokazywać na życzenie dla pańskiej większej chwały. Tyle że ja jestem człowiekiem.

Widziałem, że Nemur jest zły i że nie wie, czy skończyć rozmowę, czy jeszcze raz spróbować mnie pokonać.

– Jak zwykle osądzasz nas niesprawiedliwie. Wiesz, że zawsze byliśmy dla ciebie dobrzy, że robiliśmy dla ciebie wszystko, co w naszej mocy.

– Wszystko oprócz traktowania mnie jak człowieka. Aż do znudzenia powtarzał pan, że przed eksperymentem byłem nikim. Wiem dlaczego. Jeśli kiedyś byłem nikim, to teraz pan, mój stwórca, ma nade mną władzę życia i śmierci. Boli pana, że nie okazuję panu należnej wdzięczności w każdej godzinie, każdej minucie życia. Cóż, może pan wierzyć albo nie, ale jestem panu wdzięczny… lecz to, co pan dla mnie zrobił, choćby nie wiem jak cudowne, nie daje panu prawa do traktowania mnie jak królika doświadczalnego. Jestem człowiekiem i był nim Charlie, zanim w ogóle postawił stopę w pańskim laboratorium. Sprawia pan wrażenie zdumionego. Rozumiem, odkrywamy oto nagle, że zawsze byłem człowiekiem, nawet przed eksperymentem, a to rzuca wyzwanie pańskiemu przekonaniu, że ktoś z ilorazem inteligencji mniejszym od setki niewart jest nawet splunięcia. Profesorze Nemur, zaryzykowałbym twierdzenie, że patrząc na mnie, odczuwa pan wyrzuty sumienia.

– Dość! – warknął Nemur. – Jesteś pijany.

– Ależ skąd! Gdybym się upił, zobaczyłby pan innego Charliego Gordona niż ten, z którym właśnie pan rozmawia. Tak, ten pogrążony w mroku Charlie jest z nami. Ukryty we mnie.

– On oszalał – stwierdziła pani Nemur. – Mówi tak, jakby istniało dwóch Charliech Gordonów. Lepiej niech się pan nim zajmie, doktorze.

Strauss tylko potrząsnął głową.

– Nie. Wiem, o co mu chodzi. Bardzo wyraźnie wyszło to podczas ostatnich sesji terapeutycznych. W ciągu tego miesiąca pojawiło się przedziwne… rozdwojenie. Charlie przeżył doświadczenia, w których odbierał siebie takim, jaki był przed eksperymentem: jako odrębną, wyraźnie rozpoznawalną jednostkę nadal funkcjonującą w jego świadomości. Zupełnie jakby dawny Charlie walczył o odzyskanie kontroli nad ciałem…

– Nie! Tego nigdy nie powiedziałem! Charlie istnieje, zgoda, ale wcale ze mną nie walczy! Czeka. Nigdy nie próbował przejąć kontroli, powstrzymać mnie od zrobienia czegoś, co miałem ochotę zrobić. – W tym momencie przypomniałem sobie o Alice i natychmiast się poprawiłem: – No, prawie nigdy. Łagodny i pokorny Charlie, o którym wszyscy przed chwilą mówiliście, po prostu czeka cierpliwie. Przyznaję, że pod wieloma względami jestem do niego podobny, nie mam jednak ani jego pokory, ani łagodności. Nauczyłem się, jak mało ten świat daje człowiekowi.

– Stałeś się cyniczny – rzekł Nemur. – Tylko w ten sposób wykorzystałeś daną ci okazję. Geniusz zniszczył w tobie wiarę w świat i w ludzi.

– Prawda wygląda nieco inaczej – powiedziałem cicho. – Przekonałem się tylko, że sama inteligencja nic nie znaczy. Tu, na uniwersytecie, inteligencja, wykształcenie, wiedza i cała reszta nabrały cech boskich. Teraz wiem, że przeoczyliście jedną prawdę: inteligencja i wykształcenie niewzbogacone ludzkimi uczuciami nie mają żadnego znaczenia. – Porwałem kolejne martini ze stojącego obok stoliczka na kółkach i kontynuowałem kazanie. – Proszę mnie dobrze zrozumieć. Inteligencja to jeden z największych ludzkich darów. Za często jednak poszukiwanie

wiedzy wypiera poszukiwanie miłości. Oto jeszcze coś, co odkryłem ostatnio na własne potrzeby. Prezentuję wam moją najnowszą hipotezę: inteligencja bez zdolności dawania i brania uczuć prowadzi do umysłowego i emocjonalnego załamania, do neuroz, a także, być może, psychoz. Powiem więcej: umysł całkowicie zaprzątnięty sobą jako głównym celem, przy jednoczesnym wykluczeniu normalnych stosunków międzyludzkich, rodzi wyłącznie gwałt i ból. Jako człowiek upośledzony miałem wielu przyjaciół. Teraz nie mam ani jednego. Och, oczywiście, nie brakuje mi znajomych, mam ich całe mnóstwo. Ale nie przyjaciół. Nie takich jak ci ludzie z piekarni. Na całym świecie nie mam ani jednego przyjaciela, który coś by dla mnie znaczył, i ja też nie znaczę nic dla nikogo. – Stwierdziłem nagle, że mówię niewyraźnie i że w głowie mi się kręci. – To nie może być prawda – powiedziałem żałośnie. – Jak myślicie? Czy waszym zdaniem to może… być prawda?

Strauss podszedł i chwycił mnie za ramię.

– Charlie, lepiej będzie, jeśli się teraz położysz. Za dużo wypiłeś.

– Dlaczego wy wszyscy tak się na mnie gapicie? Co ja takiego powiedziałem? Przecież mówię wyłącznie to, co uważam za prawdę!

Słyszałem wypowiadane przez siebie słowa, ale były niewyraźne, jakby twarz znieczulono mi nowokainą. Byłem pijany, w ogóle się nie kontrolowałem. Nagle, niemal jak za przekręceniem wyłącznika, zobaczyłem tę scenę z drzwi do jadalni. Widziałem siebie jako tego drugiego Charliego, stojącego przy stoliku na kółkach ze szklanką w ręku i patrzącego na świat rozszerzonymi, przerażonymi oczami.

– Zawsze próbowałem postępować właściwie. Mama uczyła mnie, że muszę być miły dla ludzi. Mówiła, że w ten sposób uniknę kłopotów i będę miał mnóstwo przyjaciół.

Po tym, jak Charlie chwiał się i drżał, poznałem, że musi iść do łazienki. O Boże, tylko nie to, nie tu, nie przed nimi!

– Przepraszam – powiedział. – Muszę iść…

Mimo pijackiego otępienia udało mi się obrócić go i poprowadzić w stronę toalety.

Zdążył. Wystarczyło mi kilka sekund na odzyskanie panowania. Przytuliłem policzek do ściany, a potem przemyłem twarz zimną wodą. Nadal byłem nieco oszołomiony, ale wiedziałem już, że dojdę do siebie.

I wtedy dostrzegłem Charliego przyglądającego mi się z lustra nad umywalką. Nie wiem, skąd wiedziałem, że to Charlie, a nie ja sam. Może powiedział mi o tym tępy, pytający wyraz jego twarzy? Gapił się na mnie wielkimi, przerażonymi oczami, jakby jedno moje słowo mogło skłonić go do panicznej ucieczki w głąb lustrzanego świata. Ale nie uciekał. Po prostu wpatrywał się we mnie z rozchylonymi ustami. Szczęka opadła mu luźno.

– Cześć – powiedziałem. – A więc postanowiłeś stanąć ze mną wreszcie twarzą w twarz?

Zmarszczył czoło, lekko, jakby nie w pełni rozumiał, o co mi właściwie chodzi, jakby chciał poprosić o wyjaśnienie i na darmo szukał słów. Nagle poddał się i tylko uśmiechnął się krzywo.

– Zostań tam, gdzie jesteś! – krzyknąłem. – Dość mam tego twojego szpiegowania zza uchylonych drzwi i z ciemnych kątów, gdzie wcale cię nie widzę.

Patrzył bez słowa.

– Kim jesteś, Charlie?

Nic, tylko ten uśmiech.

Skinąłem głową. Powtórzył mój ruch.

– Daj wreszcie spokój – powiedziałem. – Przecież czegoś musisz chcieć. Śledzisz mnie i…

Spojrzał w dół. Opuściłem wzrok i zobaczyłem… ręce.

– Więc chcesz je odzyskać, tak? Chcesz, żebym się stąd wyniósł, byś mógł wrócić na miejsce, które musiałeś opuścić, jakby w tym czasie nic się nie stało? Nie winię cię za to. To twoje ciało i twój umysł… to twoje życie, choćbyś nawet nie umiał go wykorzystać. Nie miałem prawa ci go odbierać. Nikt nie miał do tego prawa. Kto powiedział, że moje światło jest lepsze od twojego mroku? Że śmierć jest od niego lepsza? Kim jestem, żeby wygłaszać takie twierdzenia? Ale jedno ci powiem, Charlie. – Wyprostowałem się i odsunąłem od lustra. – Nie jestem twoim przyjacielem, lecz wrogiem! Nie oddam swej inteligencji bez walki. Nie potrafię wrócić tam, do tej jaskini. Charlie, *ja* nie mam dokąd pójść, więc lepiej trzymaj się z dala ode mnie. Zostań w mojej nieświadomości, bo do niej należysz, i przestań się za mną włóczyć. Nie zamierzam dać za wygraną, niezależnie od tego, co oni sobie myślą. Niezależnie od tego, jaki jestem samotny. Chcę zatrzymać to, co mi dali, i zrobić coś wspaniałego dla świata i dla ludzi takich jak ty.

Kiedy odwracałem się w stronę drzwi, miałem wrażenie, że wyciąga do mnie rękę. Ale było to oczywiście tylko głupie złudzenie. Po prostu upiłem się i rozmawiałem z własnym odbiciem w lustrze.

Kiedy wyszedłem, Strauss chciał mnie wsadzić do taksówki, ale uparłem się, że sam wrócę do domu. Potrzebowałem jedynie odrobiny świeżego powietrza. Poza tym miałem ochotę na samotny spacer.

Widziałem siebie takiego, jaki stałem się w rzeczywistości, przynajmniej zdaniem Nemura. Byłem aroganckim, egoistycznym sukinsynem. W odróżnieniu od Charliego nie potrafiłem zdobyć przyjaciół, nie umiałem myśleć o innych ludziach, o ich problemach. Interesowałem się wyłącznie sobą. Przez jedną, długą chwilę w łazienkowym lustrze widziałem siebie oczami Charliego – zobaczyłem, kim się stałem.

Było mi wstyd.

Kilka godzin później stwierdziłem nagle, że stoję przed domem. Poszedłem na górę słabo oświetloną klatką schodową. Kiedy mijałem mieszkanie Fay, zauważyłem światło pod drzwiami. Ruszyłem ku nim, ale gdy już miałem zapukać, usłyszałem jej chichot i męski śmiech.

Na to też było za późno.

Wszedłem do siebie cicho i dłuższy czas stałem w ciemności, bojąc się poruszyć, bojąc się włączyć światło. Tkwiłem wśród wirującego mi przed oczami mroku.

Co mi się stało? Dlaczego jestem taki samotny?

4.30 nad ranem – Rozwiązanie pojawiło się, kiedy leżałem, drzemiąc. Olśnienie! Wszystko nagle zaczęło do siebie pasować, dostrzegłem wreszcie to, co powinienem był widzieć od początku. Koniec ze spaniem! Muszę wrócić do laboratorium i sprawdzić rozwiązanie w świetle danych komputerowych. A więc tu popełniono błąd! Znalazłem go!

Tylko… co będzie ze mną?

26 sierpnia – LIST DO PROFESORA NEMURA (KOPIA).

Szanowny Panie Profesorze,

osobną pocztą otrzyma Pan kopię mojego raportu zatytułowanego Efekt Algernona-Gordona. Studium nad strukturą i funkcją podwyższonej inteligencji. *Jego publikację zostawiam do Pańskiego uznania.*

Jak Pan wie, zakończyłem już doświadczenia. Do raportu dołączyłem wszystkie obliczenia. Dodatek zawiera także matematyczną analizę danych. Oczywiście należy je zweryfikować.

Rezultaty wydają się jasne. Co bardziej sensacyjne aspekty mojego rozwoju nie mogą zaćmić faktów. Chirurgiczno-stymulacyjna metoda opracowana przez Pana i doktora Straussa pozbawiona jest, przynajmniej na razie, istotnej praktycznej wartości i nie może być stosowana do podwyższania ludzkiej inteligencji.

Jeśli chodzi o dane dotyczące Algernona: choć fizycznie nadal jest młody, obserwujemy u niego oznaki regresu umysłowego. Aktywność motoryczna została wyraźnie zakłócona, spadła wydajność gruczołów, pogłębia się utrata koordynacji ruchowej, należy także podejrzewać postępującą amnezję.

Jak udowadniam w pracy, te i inne objawy deterioracji fizycznej oraz umysłowej można przewidzieć ze statystycznie istotną dokładnością dzięki zastosowaniu podanego przeze mnie wzoru. Chociaż bodziec chirurgiczny, któremu obaj zostaliśmy poddani, zaowocował intensyfikacją i przyśpieszeniem wszystkich procesów umysłowych, błąd, który pozwoliłem sobie nazwać efektem Algernona-Gordona, jest logiczną konsekwencją całego procesu wzrostu inteligencji. Udowodniona tu hipoteza najprościej opisać się daje następującymi słowami:

ZASZCZEPIONA SZTUCZNIE INTELIGENCJA DETERIORUJE W CZASIE WPROST PROPORCJONALNIE DO STOPNIA JEJ WZROSTU.

Jak długo będę w stanie, mam zamiar zapisywać swe pomysły i refleksje w dzienniku. Jest to jedna z niewielu przyjemności, którym oddaję się samotnie, a także konieczność z punktu widzenia kompletności badań.

Jednakże wszystko wskazuje na to, że deterioracja moich zdolności umysłowych może być szybka.

Sprawdzałem dane i płynące z nich wnioski kilkanaście razy w nadziei, że znajdę w nich jakiś błąd. Z przykrością muszę jednak stwierdzić, że są one niepodważalne. Niemniej jestem wdzięczny losowi za ten niewielki wkład – w postaci niniejszego opracowania – jaki mogłem wnieść do badań nad funkcjonowaniem ludzkiego umysłu i prawami rządzącymi sztucznym podwyższaniem ludzkiej inteligencji.

Wczoraj wieczorem doktor Strauss wyraził opinię, że klęska eksperymentu, udowodnienie błędności teorii jest równie ważne dla wzrostu wiedzy jak sukces. Teraz wiem, iż mówił prawdę. Przykro mi tylko, że mój wkład w wiedzę na tym polu zbudowany został na gruzach jego pracy i pracy jego zespołu, zwłaszcza ludzi, którzy tak wiele dla mnie zrobili.

Z poważaniem
Charles Gordon

Zał.: raport.
Kopia do: Dr Strauss
Fundacja Welberga

1 września – Nie wolno mi wpadać w panikę. Wkrótce pojawią się oznaki niestabilności emocjonalnej oraz zaburzenia pamięci, pierwsze symptomy regresu. Czy będę w stanie sam je rozpoznać? Wszystko, co mogę teraz zrobić, to opisywać swój stan tak obiektywnie, jak to tylko możliwe, pamiętając, że ten pamiętnik jest pierwszy w swoim rodzaju, a także, najprawdopodobniej, ostatni.

Dzisiaj rano Nemur wysłał Burta z moim raportem i danymi statystycznymi na Uniwersytet Hallston. Najtęższe umysły mają tam

sprawdzić rezultaty badań i prawidłowość obliczeń. Przez cały zeszły tydzień Burt trudził się sprawdzaniem strony doświadczalnej i wykresów metodologicznych. Podjęte przez nich środki ostrożności nie powinny mnie irytować, w końcu jestem tu jedynie gościem, w dodatku takim, który spóźnił się na przyjęcie, więc Nemur z trudem przyjmuje do wiadomości fakt, że moja praca może go przerastać. Sam uwierzył w mit własnej wszechmocy, a ja jestem tylko człowiekiem z zewnątrz.

Po prawdzie nie obchodzi mnie już, co myśli Nemur, ani w ogóle którykolwiek z nich. Praca została wykonana, dane przekazane, pozostaje tylko sprawdzenie, czy na podstawie badań nad jego przypadkiem prawidłowo przewidziałem krzywą regresu Algernona. Będzie to jednocześnie informacja o tym, co stanie się ze mną.

Alice rozpłakała się, kiedy usłyszała o wynikach. A potem uciekła. Muszę ją jakoś przekonać, że nie powinna czuć się winna z mojego powodu.

2 września – Na razie nie dzieje się nic szczególnego. Poruszam się w jaskrawym blasku cichego, białego światła. Świat wokół mnie zamarł w oczekiwaniu. Śnię o tym, że stoję samotny na szczycie góry, że oglądam rozpościerający się w dole zielony i żółty świat. Słońce świeci z wysoka, mój cień otula mi nogi. Potem słońce zniża się po wieczornym niebie, cień zaś rozciąga się w stronę horyzontu, długi i cienki sięga daleko za mnie…

Chcę powtórzyć tu to, co powiedziałem już doktorowi Straussowi. Nikt nie jest winny temu, co się stało. Eksperyment został starannie przygotowany i był statystycznie uzasadniony. Najpierw dokładnie przetestowano zwierzęta, a kiedy zdecydowano się użyć mnie jako pierwszego człowieka, do minimum ograniczono możliwość, że poniosę

fizyczną szkodę. Nie można było przewidzieć pułapek psychologicznych. Nie chcę, żeby z mojego powodu ktoś miał jakieś przykrości.

Pozostało jeszcze jedno pytanie: Czego mogę być nadal pewny?

15 września – Nemur poinformował mnie, że rezultaty badań zostały potwierdzone. Oznacza to, że błąd jest właściwy hipotezie i podważa jej zasadność. Kiedyś być może będzie można przezwyciężyć ten problem, ale czas ów jeszcze nie nadszedł. Zaleciłem, by nie przeprowadzano już doświadczeń na ludziach, przynajmniej dopóty, dopóki nie wyjaśni się wszystkiego podczas badań na zwierzętach.

Mam wrażenie, że w tej sprawie najwięcej zdziałać mogą naukowcy zajmujący się zakłóceniami równowagi enzymatycznej. Jak w wielu innych sprawach, tak i tu najważniejszy będzie czynnik czasu, i to zarówno przy odkryciu istniejącej nierównowagi, jak i przy decyzji o podaniu sztucznych hormonów. Chciałbym pomóc w tej dziedzinie badań, a także w poszukiwaniu radioizotopów, których użyć można miejscowo do kontroli kory mózgowej, ale wiem już, że na to zabraknie mi czasu.

17 września – Robię się roztargniony. Odkładam rzeczy na biurko albo do szuflad stołów laboratoryjnych i zapominam, gdzie je położyłem, a kiedy nie mogę czegoś znaleźć, tracę panowanie nad sobą i wrzeszczę na każdego, kto jest akurat w pobliżu. Czy to pierwsze oznaki?

Dwa dni temu zdechł Algernon. Znalazłem go o wpół do piątej rano, kiedy wróciłem do laboratorium po spacerze nad wodą. Leżał na boku, rozciągnięty w rogu klatki, jakby we śnie próbował biec.

Sekcja wykazała słuszność moich przewidywań. W porównaniu z normalnym mózg Algernona ważył mniej, wystąpiło także wyraźne wygładzenie fałd i pogłębienie oraz poszerzenie szczelin.

Przerażające jest, że coś podobnego może w tej właśnie chwili dziać się ze mną. Śmierć Algernona uprawdopodobniła to. Po raz pierwszy obawiam się przyszłości.

Włożyłem jego ciałko do małego metalowego pudełka i zabrałem je do domu. Nie miałem zamiaru pozwolić im, żeby spalili je w piecu. Głupie to i sentymentalne, ale wczoraj, późną nocą, pogrzebałem Algernona na podwórku. I płakałem, kładąc na grobie bukiecik polnych kwiatów.

21 września – Jutro idę na Marks Street odwiedzić matkę. Sen, który miałem tej nocy, uwolnił całą serię wspomnień, rozświetlił ogromny obszar przeszłości. Musiałem niezwłocznie go zanotować, bo – zdaje się – szybciej teraz zapominam różne rzeczy. Ten sen dotyczył mojej matki i teraz bardziej niż kiedykolwiek chcę ją zrozumieć, dowiedzieć się, jaka była i dlaczego robiła to, co robiła.

Nie wolno mi jej nienawidzić.

Muszę dojść z nią do ładu, *nim* ją zobaczę. Nie mogę postąpić okrutnie lub głupio.

27 września – Powinienem zapisać to natychmiast, ponieważ najważniejsze jest, by dziennik był kompletny.

Trzy dni temu pojechałem zobaczyć się z Rose. W końcu zmusiłem się jakoś, by pożyczyć po raz drugi samochód Burta. Czułem strach, ale wiedziałem, że muszę do niej pojechać.

Kiedy znalazłem się na Marks Street, pomyślałem, że zabłądziłem. Ulica wyglądała zupełnie inaczej, niż ją zapamiętałem. Była brudna. Widziałem mnóstwo pustych parceli po rozebranych domach. Na chodniku stała stara lodówka z oderwanymi drzwiczkami, przy krawężniku zaś leżał podarty materac, z którego wylewały się wnętrzności. Okna niektórych domów zabito dyktą, inne przypominały slumsy. Zostawiłem samochód przecznicę wcześniej i resztę drogi pokonałem piechotą.

Nie dostrzegłem nigdzie bawiących się dzieci, co różniło Marks Street od obrazu, który zachowałem z przeszłości: wszędzie mnóstwo dzieciaków, a Charlie przygląda im się z okna. Dziwne, że większość moich wspomnień o ulicy oprawionych jest w okienne ramy, że zawsze z domu podglądam bawiące się dzieci. Teraz pozostali tu już tylko starzy ludzie stojący w cieniu zapadających się ganków.

Kiedy podchodziłem do domu, przeżyłem drugi szok. Matka stała na maleńkim ganku, ubrana w stary brązowy sweter, i myła okna na parterze, chociaż dzień był chłodny i wietrzny. Zawsze ciężko pracowała, żeby pokazać sąsiadom, jaką jest dobrą żoną i matką. Dla niej jedno tylko było ważne: co sobie pomyślą ludzie. Pozory miały pierwszeństwo przed troską o siebie i o rodzinę. I mocno się tego trzymała. Od czasu do czasu Matt próbował wytłumaczyć jej, że to, co sobie myślą ludzie, nie jest najważniejszą rzeczą pod słońcem, ale nie był w stanie nic wskórać. Norma musiała mieć ładne stroje, w domu musiały być dobre meble, Charliego zaś trzeba było trzymać w środku, żeby ludzie broń Boże nie domyślili się, że coś jest nie tak.

Stałem przy furtce, patrząc, jak prostuje się, żeby złapać oddech. Kiedy zobaczyłem jej twarz, zadrżałem, ale nie była to twarz, którą z takim trudem próbowałem sobie przypomnieć. Włosy miała prawie całkiem siwe,

z kilkoma szarymi pasemkami, policzki pomarszczone, czoło zroszone potem. Zorientowała się, że ją obserwuję, i spojrzała na mnie.

Bardzo pragnąłem opuścić wzrok, odwrócić się i odejść, ale nie mogłem. Zapytam ją po prostu o drogę, udam, że zgubiłem się w nieznanej dzielnicy. Wystarczy, że ją zobaczyłem. Myślałem o tym wszystkim, ale stałem nieruchomo przed jej domem, czekając, żeby to ona wykonała pierwszy ruch. A ona też stała tylko i gapiła się na mnie.

– Czego pan chce? – spytała w końcu. Jej ostry głos zabrzmiał w korytarzach mojej pamięci łatwo rozpoznawalnym echem.

Otworzyłem usta, nie byłem jednak w stanie wykrztusić słowa. Wiedziałem, że wargi mi się poruszają, byłem tego świadomy, bardzo pragnąłem też coś powiedzieć, cokolwiek, bo w tej właśnie chwili dostrzegłem w jej oczach błysk zrozumienia. Nie takiego syna chciałem jej przedstawić, nie Charliego stojącego nieruchomo, tępego, niepotrafiącego się wysłowić. Ale język miałem jak z drewna, tkwił w ustach niczym wielki knebel, w gardle zaś mi zaschło.

Wreszcie udało mi się wysłowić. Nie tak, jak zamierzałem (planowałem słowa uspokajające i dodające otuchy, dzięki którym przejąłbym kontrolę nad sytuacją i natychmiast wymazał z pamięci bolesną przeszłość), bo zdołałem tylko wykrztusić: „Maaamaaa”.

Mimo wszystkiego, czego się nauczyłem, mimo wszystkich poznanych języków, wobec niej, stojącej na ganku i patrzącej na mnie, zdolny byłem wyłącznie zabeczeć „Maaamaaa” jak spragnione jagnię przy wymieniu.

Wytarła czoło ramieniem i spojrzała na mnie, mrużąc oczy, jakby nie była w stanie wyraźnie mnie zobaczyć. Wszedłem do ogródka i zrobiłem kilka kroków w jej kierunku. Cofnęła się.

Najpierw nie byłem pewien, czy rzeczywiście mnie rozpoznała, ale potem westchnęła: „Charlie!”. Nie krzyknęła, nie szepnęła, lecz westchnęła,

jak ktoś budzący się ze snu.

– Mamo. – Ruszyłem schodkami do drzwi. – To ja.

Zaskoczona cofnęła się i przewróciła wiadro. Brudne mydliny popłynęły schodami.

– Co ty tu robisz?

– Chciałem się z tobą zobaczyć, porozmawiać…

Język nadal odmawiał mi posłuszeństwa. Mówiłem inaczej niż zwykle, ochryple i jękliwie; tak mogłem mówić wiele lat temu.

– Nie odchodź – błagałem ją. – Nie uciekaj przede mną.

Ale ona wbiegła do przedpokoju, zamykając za sobą drzwi. Chwilę później dostrzegłem, jak przygląda mi się zza przezroczystej białej firanki zasłaniającej małe okienko. Jej usta poruszały się, wypowiadając niesłyszalne słowa: „Odejdź! Zostaw mnie w spokoju!”.

Dlaczego? Dlaczego tak mnie odrzuca? Jakim prawem się ode mnie odwraca?

– Wpuść mnie! Chcę z tobą porozmawiać! Wpuść mnie!

Biłem pięścią w szkło tak wściekle, że aż pękło i przecięło mi rękę. Myślała pewnie, że zwariowałem i mogę ją skrzywdzić. Pobiegła korytarzem prowadzącym do mieszkania.

Pchnąłem drzwi. Haczyk puścił, nieprzystosowany do takiego traktowania. Wpadłem do przedpokoju, omal się nie przewracając. Dłoń krwawiła mi, pokaleczona stłuczonym szkłem. Nie wiedziałem, co zrobić, i w końcu schowałem ją do kieszeni, żeby nie zaplamić czyściutkiego linoleum.

Poszedłem dalej. Minąłem schody, które tak często oglądałem w koszmarach. Uciekałem po nich, ścigany przez demony łapiące mnie za nogi i ściągające do piwnicy. Próbowałem krzyczeć, ale nie mogłem

wydobyć z siebie głosu i tylko dławiłem się ciszą, dusiłem językiem. Jak ci milczący chłopcy z Warren.

Ludzie, którzy mieszkali na piętrze, właściciele domu, Meyerowie, zawsze byli dla mnie mili. Dawali mi cukierki, pozwalali przychodzić do siebie i bawić się z psem. Chciałem ich zobaczyć, ale chociaż nikt mi tego nie powiedział, wiedziałem, że odeszli, nie żyją, i że na piętrze mieszkają teraz obcy. Ta droga zatrzasnęła się dla mnie na zawsze.

Drzwi na końcu korytarza, przez które uciekła Rose, były zamknięte. Stanąłem przed nimi, nie wiedząc, co począć.

– Otwórz!

Odpowiedziało mi cienkie szczekanie małego psa. Tego się nie spodziewałem.

– No dobrze – powiedziałem. – Nie chcę zrobić ci krzywdy, ale pokonałem długą drogę i nie odejdę, nim z tobą nie porozmawiam. Jeśli nie otworzysz drzwi, wyważę je.

Wtedy usłyszałem jej głos: „Ciii, Nappie. Uciekaj do sypialni”, a potem rozległ się trzask otwieranego zamka i oto stała w drzwiach, gapiąc się na mnie.

– Mamo – szepnąłem – nie zrobię ci nic złego. Chcę tylko z tobą porozmawiać. Musisz zrozumieć, że nie jestem już taki, jaki byłem przedtem. Zmieniłem się. Jestem normalny. Nie rozumiesz? Wcale nie upośledzony. Taki sam jak inni. Normalny. Jak ty, Matt i Norma.

Mówiłem tak jednym tchem, bełkotliwie, pragnąc zająć ją czymś, żeby nie zamknęła znowu drzwi. Próbowałem powiedzieć jej wszystko naraz.

– Zmienili mnie. Zrobili mi operację i jestem odmieniony, taki, jakiego chciałaś mnie mieć. Nie czytałaś o tym w gazetach? Nowy eksperyment naukowy podwyższający ludzką inteligencję. Ja byłem pierwszy. Nie rozumiesz? Dlaczego tak na mnie patrzysz? Jestem teraz mądry, mądrzejszy

od Normy, mądrzejszy od wujka Hermana, mądrzejszy od Matta. Wiem o tym, o czym nie wiedzą nawet profesorowie uniwersytetu! Powiedz coś! Teraz możesz już być ze mnie dumna, możesz opowiedzieć o mnie wszystkim sąsiadom. Nie musisz już zamykać mnie w piwnicy, kiedy przychodzą goście. Po prostu porozmawiaj ze mną. Opowiedz mi, jak to wyglądało, jak wyglądało moje dzieciństwo, o nic więcej nie proszę. Nie skrzywdzę cię. Wcale cię nie nienawidzę. Ja tylko muszę wszystkiego się o sobie dowiedzieć, muszę zrozumieć siebie, nim będzie za późno. Nie rozumiesz? Nie będę prawdziwym człowiekiem, póki nie zrozumiem samego siebie, a ty jesteś jedyną osobą, która może mi pomóc. Wpuść mnie, chcę posiedzieć z tobą chwilę.

Zahipnotyzował ją raczej ton głosu niż wypowiedziane słowa. Stała na progu, patrząc na mnie nieruchomo. Niewiele myśląc, wyjąłem z kieszeni zakrwawioną dłoń i zacisnąłem ją w błagalnym geście. Kiedy dostrzegła krew, twarz jej złagodniała.

– Skaleczyłeś się – powiedziała.

Nie oznaczało to wcale, że zrobiło się jej mnie żal. To samo czułaby pewnie wobec psa z przeciętą łapą albo kota po ciężkiej bójce. Nie litowała się nade mną, bo byłem jej Charliem, lecz mimo iż byłem jej Charliem.

– Wejdź i przemyj to. Mam gdzieś bandaż i jodynę.

Poszedłem za nią do popękanego zlewu z kratką na odpływie, w którym tak często myła mi twarz i ręce, kiedy wracałem z podwórka albo kiedy szykowała mnie do kolacji lub do snu. Patrzyła, jak podwijam rękawy.

– Powinieneś był bardziej uważać z tym oknem. Właściciel będzie wściekły, a mnie brakuje pieniędzy, żeby za nie zapłacić.

Nagle, jakby zniecierpliwiona, że nie umiem sobie poradzić, zabrała mi mydło i sama umyła mi ręce. Skoncentrowała się przy tym tak, że nic już

nie mówiłem, żeby nie przerwać jej transu. Czasami cmokała, czasami wzdychała.

– Charlie, Charlie, zawsze musisz coś zmalować. Kiedy wreszcie nauczysz się dbać o siebie?

Cofnęła się w czasie o ćwierć wieku, kiedy to byłem jej małym Charliem, a ona gotowa była walczyć o moje miejsce na świecie.

Gdy zmyła wreszcie krew i wytarła mi ręce papierowymi ręczniczkami, spojrzała mi w twarz… i jej oczy zaokrągliły się z przerażenia.

– O Boże! – jęknęła i cofnęła się.

Zacząłem do niej przemawiać, cicho, z naciskiem, tak by przekonać ją, że nie dzieje się nic złego i że nie chcę jej zrobić krzywdy. Widziałem jednak, że nie słucha. Rozglądała się niepewnie, przykładała dłoń do ust, wreszcie znów spojrzała na mnie.

– Nie spodziewałam się gości – jęknęła. – W domu jest taki bałagan.

– Wszystko w porządku, mamo. Nie przejmuj się.

– Powinnam jeszcze raz wypastować podłogę. Musi lśnić.

Zobaczyła ślady palców na drzwiach, porwała ściereczkę i wytarła je. Potem obróciła się, dostrzegła, że na nią patrzę, i zmrużyła oczy.

– Przyszedł pan w sprawie rachunku za elektryczność?

Nim zdążyłem zaprzeczyć, karcąco pokiwała palcem.

– Miałam zamiar wysłać czek pierwszego, ale mąż wyjechał w interesach. Mówiłam im wszystkim, żeby się nie martwili, bo w tym tygodniu płacą córce i uregulujemy od razu wszystkie należności. Nie ma więc potrzeby nachodzić mnie w sprawie pieniędzy.

– Ma pani tylko córkę? To pani jedyne dziecko?

Spojrzała na mnie przenikliwie, a potem wzrok się jej zamglił.

– Miałam chłopca. Takiego mądrego, że aż zazdrościły mi go inne matki. Patrzyły na niego złym okiem. Nazywały to *IQ*, ale to było *złe IQ*. Gdyby

nie ich złe oko, zostałby wielkim człowiekiem. Był bardzo, bardzo zdolny… *wyjątkowy*, tak o nim mówili. Mógłby nawet zostać geniuszem… – Przerwała i wzięła szczotkę do szorowania. – Proszę mi wybaczyć – powiedziała. – Powinnam wszystko tu przygotować. Córka zaprosiła na kolację młodego człowieka. Muszę wysprzątać mieszkanie.

Opadła na kolana i zaczęła czyścić i tak już lśniącą podłogę. Nawet na mnie nie spojrzała.

Mruczała coś do siebie. Usiadłem przy kuchennym stole. Zaczekam, aż z tego wyjdzie, aż mnie rozpozna. Nie potrafiłem wyjść, dopóki Rose nie zrozumie, że jestem jej Charliem. Ktoś musiał wszystko zrozumieć.

Zaczęła nucić pod nosem. Nagle przerwała i znieruchomiała, trzymając ścierkę w pół drogi między wiadrem a podłogą, jakby uświadomiła sobie moją obecność.

Obróciła się. Twarz miała zmęczoną, oczy jej błyszczały. Przekrzywiła głowę.

– Jak to możliwe? – spytała. – Nic nie rozumiem. Przecież ciągle mi powtarzali, że ciebie nie da się zmienić.

– Zrobili mi operację. Jestem teraz sławny. Ludzie z całego świata słyszeli o mnie. Jestem inteligentny, mamo. Umiem czytać i pisać, umiem…

– Dzięki Bogu – szepnęła. – Modliłam się… i przez te wszystkie lata myślałam, że On mnie nie słyszy, ale On słuchał i tylko czekał na właściwą chwilę, by objawić swą wolę.

Wytarła twarz fartuchem, a kiedy ją objąłem, oparła mi głowę na ramieniu i rozpłakała się. Jej łzy zmyły ból i teraz rad byłem, że przyszedłem.

– Muszę wszystkim o tym opowiedzieć – rzekła z uśmiechem. – A zwłaszcza twoim nauczycielom. Tylko zaczekaj, aż zobaczysz, jakie

zrobią miny, kiedy się dowiedzą. I sąsiadom. I wujowi Hermanowi. Muszę opowiedzieć o wszystkim wujowi Hermanowi. Tak się ucieszy! Zaczekaj tylko, aż twój ojciec wróci do domu! I siostra! Ach, nie jesteś nawet w stanie wyobrazić sobie, jaka będzie szczęśliwa!

Przytuliła mnie mocno. Nie przestawała mówić, podniecona snuła plany nowego wspaniałego życia, jakie otwierało się przed nami. Nie miałem serca przypominać jej, że prawie wszyscy moi nauczyciele odeszli ze szkoły, że sąsiedzi dawno się wyprowadzili, że wuj Herman umarł wiele lat temu i że ojciec ją opuścił. Brzemię wszystkich tych lat i tak było zbyt bolesne. Chciałem, żeby się uśmiechała – teraz ja byłem tym, kto ją uszczęśliwił. Po raz pierwszy w życiu uśmiechała się dzięki mnie.

Po jakimś czasie znów zamilkła z zamyśloną miną, jakby coś sobie próbowała przypomnieć. Miałem wrażenie, że w każdej chwili może stracić poczucie rzeczywistości.

– Nie! – krzyknąłem. – Zaczekaj, mamo! Jest jeszcze coś. Nim odejdę, chcę ci coś podarować.

– Odejdziesz? Nie możesz teraz odejść.

– Muszę, mamo. Mam do załatwienia kilka spraw. Ale napiszę do ciebie i przyślę ci pieniądze.

– Powiedz mi, kiedy wrócisz.

– Nie wiem… jeszcze. Ale chcę, żebyś to zatrzymała.

– Czasopismo!

– Niezupełnie. To praca naukowa. Sam ją napisałem. Jest bardzo trudna. Zobacz, nazywa się *Efekt Algernona-Gordona*. Odkryłem coś, co w części nosi moje nazwisko. Chcę, żebyś zatrzymała egzemplarz tej pracy, byś mogła pokazać ludziom, że twój syn wyrósł na wielkiego człowieka.

Wzięła go i przyglądała mu się w pełnym podziwu zdumieniu.

– To… to twoje nazwisko. Wiedziałam, że tak będzie. Zawsze powtarzałam, że tak będzie. Próbowałam wszystkiego, robiłam co mogłam. Za młody byłeś, żeby pamiętać, ale próbowałam. Mówiłam im wszystkim, że pójdziesz na studia, zostaniesz profesorem, zostawisz po sobie jakiś ślad. Oni się śmiali, ale ja zawsze im to powtarzałam.

Uśmiechnęła się do mnie przez łzy, a chwilę później już na mnie nie patrzyła. Złapała ścierkę i zaczęła myć framugę, nucąc coś pod nosem niczym we śnie. Miałem jednak wrażenie, że jest szczęśliwsza niż przedtem.

Pies znów zaczął szczekać. Frontowe drzwi otworzyły się i zamknęły.

– Dobrze już, dobrze, Nappie! – rozległ się kobiecy głos. – To tylko ja!

Podniecony piesek skakał na drzwi sypialni.

Wpadłem w pułapkę, co doprowadziło mnie do furii. Nie chciałem widzieć Normy. Nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia i nie pragnąłem, żeby popsuła mi wizytę. W mieszkaniu nie było drugiego wyjścia, uciec mogłem wyłącznie przez okno, na podwórko za domem, a stamtąd przez płot, bałem się jednak, że ktoś weźmie mnie za włamywacza.

Kiedy usłyszałem obracający się w zamku klucz, szepnąłem do matki – sam nie wiem dlaczego – „Norma wróciła”. Dotknąłem nawet jej ramienia, ale mnie nie słyszała. Zbyt była zajęta nuceniem pod nosem i myciem framugi.

Drzwi się otworzyły. Norma dostrzegła mnie i zmarszczyła brwi. Nie wiedziała, kim jestem, było ciemno, bo nie włączyliśmy świateł. Odstawiła torbę z zakupami, którą przyniosła, i przekręciła włącznik.

– Kim pan… – zaczęła, nim jednak zdołałem cokolwiek powiedzieć, podniosła dłoń do ust i ciężko oparła się o drzwi. – Charlie! – powiedziała dokładnie tak jak matka, z westchnieniem. I nawet podobna była do matki, jaką pamiętałem: szczupła, o ostrych, nieco ptasich, ale ładnych rysach. –

Charlie! Mój Boże, co za niespodzianka! Mogłeś się ze mną skontaktować, jakoś mnie uprzedzić. Powinieneś zadzwonić. Doprawdy nie wiem, co powiedzieć. – Spojrzała na matkę siedzącą na podłodze obok zlewu. – Nic jej nie jest? – spytała. – Nie przestraszyłeś jej chyba?

– Wyszła z tego na chwilę. Rozmawiała ze mną.

– Taka jestem szczęśliwa. Niewiele pamięta. Jest już stara… skleroza. Doktor Portman namawia mnie, żebym umieściła ją w domu starców, ale ja nie potrafię. Nie zniosłabym myśli, że jest w jednej z tych… instytucji.

Otworzyła drzwi sypialni, żeby wypuścić psa, a ten natychmiast zaczął podskakiwać i piszczeć radośnie. Wzięła go na ręce, przytuliła.

– Po prostu nie potrafiłabym zrobić tego własnej matce – powiedziała i uśmiechnęła się do mnie niepewnie. – Co za niespodzianka! Nie marzyłam nawet… Pokaż się, niech cię obejrzę. Nigdy bym cię nie poznała. Minęłabym cię na ulicy. Jak ty się zmieniłeś. – Westchnęła. – Tak się cieszę, że cię widzę, Charlie.

– Doprawdy? Nie sądziłem, że będziesz chciała mnie zobaczyć.

– Och, Charlie – westchnęła, chwytając moje ręce. – Nie mów tak. *Naprawdę* bardzo się cieszę. Spodziewałam się ciebie. Nie wiedziałam, kiedy wrócisz, ale byłam pewna, że któregoś dnia to nastąpi. Byłam tego pewna od chwili, kiedy uciekłeś w Chicago. – Odsunęła się, żeby lepiej mi się przyjrzeć. – Nawet nie wiesz, ile o tobie myślałam, zastanawiałam się, gdzie jesteś i co porabiasz. Dopóki nie przyszedł do nas ten profesor… kiedy to było?… w marcu?… zaledwie siedem miesięcy temu!… nie wiedziałam nawet, że jeszcze żyjesz. Ona mi powiedziała, że umarłeś w Warren. Wierzyłam jej przez te wszystkie lata. Kiedy powiedzieli mi, że potrzebują cię do tego eksperymentu, po prostu nie wiedziałam, co robić. Profesor… Nemur… tak się nazywa, prawda?… nie pozwolił mi się z tobą zobaczyć. Nie chciał cię denerwować przed operacją. Kiedy jednak

przeczytałam w gazecie, że się udało… że jesteś geniuszem… o mój Boże, nawet nie wiesz, jak się czułam, czytając o tobie! Opowiedziałam o tobie wszystkim ludziom w biurze. I dziewczynom w klubie brydżowym. Pokazywałam im twoje zdjęcie w gazecie, opowiadałam, jak to pewnego dnia przyjdziesz nas odwiedzić. I przyszedłeś. Naprawdę przyszedłeś. Nie zapomniałeś nas!

Znowu mnie przytuliła.

– Och, Charlie, Charlie, tak wspaniale jest dowiedzieć się nagle, że ma się starszego brata. Nawet nie wiesz, jak wspaniale. Słuchaj, siadaj, zrobię ci coś do jedzenia. Musisz mi wszystko opowiedzieć. Jakie masz plany? Ja… ja nawet nie wiem, o co powinnam cię zapytać. Śmiesznie się zachowuję… jak dziewczyna, która nagle odkryła, że jej brat jest bohaterem, gwiazdorem filmowym czy coś w tym stylu.

Stałem zmieszany. Nie spodziewałem się takiego powitania po Normie. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że tyle lat spędzonych z matką mogło ją zmienić. A przecież było to nieuniknione. Nie była już rozpuszczoną dziewczynką z moich wspomnień. Wyrosła na ciepłą, współczującą, wrażliwą kobietę.

Rozmawialiśmy. Była pewna ironia w tym, że siedzieliśmy z siostrą, rozmawiając o nieodstępującej nas nawet na krok matce, jakby w ogóle jej tam nie było. Ilekroć Norma odwoływała się do ich wspólnego życia, sprawdzałem, czy Rose nas słucha, lecz ona tak głęboko pogrążyła się we własnym świecie, jakby w ogóle nie rozumiała naszego języka, jakby nic jej nie obchodziło. Poruszała się po kuchni niczym duch, biorąc coś do ręki i zaraz odkładając, i ani razu w niczym nam nie przeszkodziła. Był to przerażający spektakl.

Obserwowałem, jak Norma karmi psa.

– Więc wreszcie się go doczekałaś – stwierdziłem. – Nappie… to skrót od Napoleon, prawda?

Wyprostowała się nagle, marszcząc czoło.

– A skąd wiesz?

Opowiedziałem jej o tym, jak przyniosła do domu klasówkę z historii z nadzieją, że teraz dostanie psa, i jak Matt powiedział „nie”. W miarę jak mówiłem, zmarszczka na jej czole pogłębiała się.

– Nic takiego nie pamiętam. Och, Charlie, czyżbym rzeczywiście była dla ciebie taka okropna?

– Jest coś, co mnie ciekawi. Nie jestem nawet pewien, czy to wspomnienie, czy sen, czy może sam to sobie wymyśliłem. Zdarzyło się to, kiedy po raz ostatni bawiliśmy się jak przyjaciele. W piwnicy. Założyliśmy sobie abażury na głowy, udawaliśmy, że jesteśmy chińskimi kulisami. Skakaliśmy po starym materacu. Ty miałaś siedem, może osiem lat, ja ze trzynaście. O ile dobrze pamiętam, spadłaś z materaca i uderzyłaś głową w ścianę. Nic poważnego się nie stało, miałaś guza, ale mama i tata przybiegli zaraz, bo strasznie krzyczałaś. Powiedziałaś im, że chciałem cię zabić. Mama oskarżyła Matta, że nas nie pilnuje, że zostawił nas samych. Zbiła mnie paskiem tak, że prawie straciłem przytomność. Pamiętasz to? Czy tak się to odbyło?

Norma słuchała zafascynowana, kiedy opowiadałem zdarzenie z przeszłości. Jakbym budził śpiące obrazy.

– Pamiętam coś, jak przez mgłę. Wiesz, do tej pory miałam wrażenie, że to mój sen. Pamiętam, jak założyliśmy sobie abażury na głowy i skakaliśmy po materacach. – Wyjrzała przez okno. – Nienawidziłam cię, bo oni cały czas zajmowali się tylko *tobą*. Nigdy nie dostałeś w tyłek z powodu nieodrobionej pracy domowej albo dlatego, że nie przyniosłeś ze szkoły samych piątek. Przeważnie wagarowałeś i bawiłeś się, a ja musiałam

chodzić na najtrudniejsze lekcje. Jak ja cię za to nienawidziłam! W szkole dzieciaki rysowały na tablicy chłopca w oślej czapce i podpisywały rysunek „brat Normy”, a na dziedzińcu wypisywały „siostra kretyna” i „Gordonowie to wariaci”. Kiedy pewnego dnia Emily Raskin nie zaprosiła mnie na urodziny, wiedziałam, że to przez ciebie. Gdy bawiliśmy się w tej piwnicy, postanowiłam wyrównać rachunki. – Rozpłakała się. – No więc skłamałam, mówiąc im, że zrobiłeś mi krzywdę. Och, Charlie, jaka byłam głupia, zepsuta. Tak się wstydzę…

– Nie powinnaś się za to winić. Musiało ci być ciężko w kontaktach z innymi dziećmi. Dla mnie światem była kuchnia… i ten pokój. Cała reszta nie miała znaczenia, jak długo czułem się tu bezpiecznie. Ty musiałaś stawić czoło reszcie świata.

– Dlaczego oni cię odesłali, Charlie? Dlaczego nie mogłeś zostać, mieszkać z nami? Zawsze się nad tym zastanawiałam. Ilekroć ją pytałam, powtarzała, że to było dla twojego dobra.

– W pewien sposób miała rację.

Norma potrząsnęła głową.

– Odesłali cię ze względu na *mnie*, prawda? Och, Charlie, dlaczego tak się musiało zdarzyć? Dlaczego wszystko to przytrafiło się właśnie nam?

Nie wiedziałem, co jej powiedzieć. Żałowałem, że nie mogę oznajmić, iż jak rody Atreusa lub Kadmosa cierpimy za grzechy przodków albo wypełniamy przepowiednie wyroczni. Nie umiałem odpowiedzieć na to pytanie… ani jej, ani sobie.

– To już przeszłość – oznajmiłem. – Cieszę się, że się spotkaliśmy. Jest mi teraz trochę lżej.

Nagle Norma mocno złapała mnie za ramię.

– Charlie, nawet nie wiesz, co przechodziłam z nią przez te wszystkie lata. Mieszkanie… ta ulica… praca. Koszmar! Co dzień wracam,

zastanawiając się, czy jeszcze ją zastanę, czy nie zrobiła sobie krzywdy, i obwiniam się o takie myśli.

Wstałem i pozwoliłem jej wypłakać się na moim ramieniu.

– Charlie – szlochała. – Jak się cieszę, że wróciłeś. Potrzebowaliśmy pomocy. Jestem taka zmęczona…

Marzyłem o tej chwili, ale teraz, kiedy nadeszła… co mi po niej? Nie mogłem przecież powiedzieć Normie, co ze mną będzie. Lecz czy wolno mi przyjąć jej miłość pod fałszywymi pozorami? Po co się oszukiwać? Gdybym nadal był dawnym, słabym na umyśle, niesamodzielnym Charliem, nie mówiłaby do mnie w ten sposób. Więc jakie miałem prawo do jej uczuć? Wkrótce okoliczności zerwą maskę z mojej twarzy.

– Nie płacz, Normo. Wszystko się ułoży. – Usłyszałem siebie wygłaszającego pocieszające banały. – Spróbuję zająć się i nią, i tobą. Mam niewielkie oszczędności. Biorąc pod uwagę, ile płaci mi fundacja, będę w stanie przysyłać wam regularnie trochę pieniędzy… przynajmniej przez pewien czas.

– Ale nie odejdziesz! Nie możesz nas teraz zostawić…

– Muszę trochę pojeździć, wygłosić kilka wykładów, przeprowadzić badania, ale spróbuję jeszcze do was wpaść. Dbaj o nią. Wiele przeszła. Będę wam pomagał tak długo, jak to tylko możliwe.

– Charlie, nie! Nie odchodź! – Przytuliła się do mnie z całej siły. – Boję się!

Oto rola, którą pragnąłem grać całe życie – rola starszego brata.

W tej jednak chwili wyczułem, że Rose, do tej pory siedząca cicho w kącie, nas obserwuje. W jej twarzy coś się zmieniło. Oczy miała szeroko otwarte, pochyliła się na krześle, jakby zbierała się do skoku. Przypominała mi jastrzębia gotowego spaść na ofiarę.

Odepchnąłem Normę, ale nim zdążyłem powiedzieć choć słowo, Rose zerwała się na równe nogi. W ręku trzymała kuchenny nóż. Mierzyła nim we mnie.

– Co jej robisz? Odsuń się! Ostrzegałam, co zrobię, jeśli jeszcze raz złapię cię na tym, że dotykasz siostry! Wstrętny chłopak. Nie nadajesz się do życia wśród normalnych ludzi!

Odskoczyliśmy od siebie. Z jakiegoś szalonego, niezrozumiałego powodu poczułem się winny, jakby przyłapała nas na robieniu czegoś niewłaściwego. Wiedziałem, że Norma odczuwa to samo. Zupełnie jakby oskarżenie matki wystarczyło, by to, co robiliśmy, stało się nieprzyzwoite.

– Mamo! Odłóż ten nóż! – krzyknęła Norma.

Kiedy zobaczyłem Rose stojącą z nożem w ręku, przypomniała mi się ta noc, kiedy zmusiła Matta, żeby się mnie pozbył. To ją przeżywała teraz powtórnie. Nie mogłem znaleźć słów, nie byłem w stanie się ruszyć. Poczułem mdłości, dławiłem się napięciem, szumiało mi w uszach, żołądek skręcał się i rozdymał na przemian, jakby pragnął wyrwać się z ciała…

Miała nóż, Alice miała nóż, ojciec miał nóż, doktor Strauss miał nóż…

Na szczęście Norma oprzytomniała na tyle, by go jej zabrać. Nie była jednak w stanie wymazać strachu w oczach matki, która wrzasnęła:

– Zabierz go stąd! Nie ma prawa patrzeć na siostrę z brudnymi myślami!

Rose przerwała i opadła na krzesło, szlochając.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Norma podobnie. Oboje byliśmy zażenowani. Teraz moja siostra wiedziała już, dlaczego zostałem odesłany.

Zadałem sobie pytanie, czy kiedykolwiek zrobiłem coś, by uzasadnić strach matki. Niczego takiego nie pamiętałem, lecz czy za barierami mojej udręczonej świadomości nie kryją się przypadkiem jakieś straszne myśli? Czy nie kryją się w jakimś ślepym zaułku, w jakiejś jamie, w których nigdy ich nie znajdę? Pewnie nigdy się nie dowiem. Niezależnie od tego, gdzie

leży prawda, nie wolno mi nienawidzić Rose za to, że próbuje bronić Normy. Muszę zrozumieć jej punkt widzenia. Jeśli jej nie wybaczę, nic mi nie pozostanie.

Norma stała obok mnie, drżąc.

– Uspokój się – powiedziałem jej. – Ona nie wie, co robi. To nie na mnie się wściekła, tylko na dawnego Charliego. Obawiała się tego, co on mógłby ci zrobić. Nie mogę winić jej za to, że próbuje cię bronić. O tym nie musimy jednak myśleć, ponieważ ten Charlie odszedł na zawsze, prawda?

Nie słuchała mnie. Twarz miała nieruchomą, zamyśloną.

– Miałam właśnie jedno z tych przedziwnych doświadczeń, kiedy coś się dzieje, a tobie wydaje się, że to się musiało zdarzyć, jakby już kiedyś było dokładnie tak i tylko się powtarzało…

– To bardzo powszechne uczucie.

Potrząsnęła głową.

– Właśnie teraz, kiedy zobaczyłam ją z tym nożem, miałam wrażenie, że przeżywam bardzo stary sen.

Nie widziałem potrzeby uświadamiania jej, że tej nocy, kiedy była jeszcze dzieckiem, nie spała, że widziała wszystko ze swojego pokoju i że ukrywała to wspomnienie przed sobą, aż wmówiła sobie, że to tylko wyobraźnia. Nie było powodu obciążać jej tą świadomością. W dniach, które miała spędzić z matką, czeka ją wiele prawdziwego smutku. Chętnie przejąłbym od niej ten ciężar i ten ból, a jednak bez sensu byłoby zaczynać coś, czego nie byłbym w stanie skończyć. Czeka mnie zmaganie się z własnym cierpieniem. Nie sposób przecież powstrzymać ziarenka wiedzy przed przesypaniem się w klepsydrze mego umysłu.

– Muszę już iść – powiedziałem. – Uważaj na siebie… i na nią.

Uścisnąłem dłoń Normy. Kiedy wychodziłem, Napoleon mnie obszczekał.

Próbowałem się trzymać, ale po wyjściu na ulicę załamałem się. Trudno mi o tym pisać. Szedłem do samochodu, a ludzie oglądali się za mną, bo płakałem jak dziecko. Nic nie mogłem na to poradzić i nic też mnie to nie obchodziło.

Szedłem, a w głowie rozbrzmiewały mi słowa idiotycznego wierszyka:

Trzy ślepe myszki… trzy ślepe myszki,
Patrzcie, jak gonią! Patrzcie, jak gonią!
Patrzcie, jak gonią tę chłopską żonę,
Co ogonki obcięła im kuchennym nożem.
Widzieliście coś takiego w życiu może
Jak trzy… ślepe… myszki?

Próbowałem uwolnić się od tego wierszyka, ale nie mogłem, a kiedy w pewnym momencie odwróciłem się, by spojrzeć na ganek i dom, w oknie dostrzegłem przyglądającego mi się chłopca z policzkiem mocno przyciśniętym do szyby.

Dziennik 17

3 października – Regres. Myślę o samobójstwie. Chcę skończyć z tym wszystkim, póki mam jeszcze jakąś kontrolę nad sytuacją i jestem świadom otaczającego mnie świata. Ale potem przypominam sobie Charliego stojącego w oknie. Nie wolno mi dysponować jego życiem. Pożyczyłem je na chwilę i teraz muszę zwrócić.

Nie mogę zapomnieć, że jestem jedynym człowiekiem, który przeżywa coś takiego. Jak długo potrafię, muszę zapisywać myśli i uczucia. Ten dziennik to dar Charliego Gordona dla ludzkości.

Czuję niepokój i irytację. Sąsiedzi skarżą się, że słucham muzyki do późnej nocy. Odkąd przestałem grać na pianinie, prawie nie wyłączam adapteru. To oczywiście nie w porządku, ale przy muzyce nie zasypiam. Wiem, że powinienem spać, lecz żal mi każdej chwili na jawie. Nie chodzi tylko o koszmary; boję się, że to nastąpi we śnie.

Powtarzam sobie, że gdy nadejdzie ciemność, będę mógł spać, ile zechcę.

Pan Vernor z mieszkania pode mną nigdy się nie skarżył, ale teraz ciągle wali w rury albo w sufit, aż czuję przez stopy wibracje. Z początku to ignorowałem, ale ostatniej nocy przyszedł w szlafroku. Pokłóciliśmy się i zamknąłem mu drzwi przed nosem. Godzinę później zjawił się z policjantem, który wyjaśnił mi uprzejmie, że słuchanie płyt tak głośno o czwartej nad ranem jest zabronione. Uśmiech Vernora doprowadził mnie do takiej wściekłości, że z największym trudem powstrzymałem się, żeby

go nie uderzyć. Kiedy wyszli, rozbiłem wszystkie płyty, a po nich adapter. I tak było to oszukiwanie siebie. Poza tym nie lubię już tej muzyki.

4 października – Najdziwniejsza sesja terapii, jaką kiedykolwiek przeżyłem. Strauss był zdenerwowany. On też niczego się nie spodziewał.

Co się stało? Nie ośmielam się użyć określenia „wspomnienie”, wolę raczej mówić o doświadczeniu parapsychicznym albo halucynacji. Nie mam zamiaru bawić się w wyjaśnienia lub interpretacje, przekażę tylko fakty.

Wszedłem do gabinetu podminowany, ale Strauss udawał, że niczego nie zauważa. Natychmiast położyłem się na kozetce, a on, jak zawsze, usiadł z boku, trochę za mną, tak bym nie mógł go obserwować, nie odwracając głowy. Czekał na początek rytuału oczyszczającego umysł z całej nagromadzonej w nim trucizny.

Zerknąłem na niego. Sprawiał wrażenie zmęczonego, wyglądał nieco niechlujnie i w jakiś sposób przypominał mi Matta siedzącego na fryzjerskim fotelu i czekającego na klientów. Powiedziałem mu o tym skojarzeniu. Skinął głową, lecz milczał.

– A pan czeka na klientów? – spytałem go. – Ta kozetka powinna być zaprojektowana jak fryzjerski fotel. Wolne skojarzenia? Doskonale. Kładzie się pacjenta jak u fryzjera do namydlenia twarzy, a po pięćdziesięciu minutach podnosi się go i daje mu lustro, żeby ocenił, jak wygląda z podgolonym ego.

Strauss nic nie mówił. Wstydziłem się, że tak sobie na nim używam, ale po prostu nie potrafiłem się powstrzymać.

– Wtedy pacjent mógłby przyjść na następną sesję i poprosić: „Niech pan nieco bardziej podetnie instynktowny niepokój” albo: „Jeśli wolno prosić,

superego niech pan zostawi trochę dłuższe”, albo nawet zażądać ekoszamponu… to znaczy egoszamponu. Aha, cóż za znaczące przejęzyczenie, doktorze. Powiedziałem „ekoszamponu” zamiast „egoszamponu”. Eko… ego… podobne, prawda? Czy oznacza to, że jestem brudny, a pragnę czystości? Że chcę się obmyć z grzechów? Odrodzić? Czy to symbol chrztu w czystej wodzie? A może podgalamy za bardzo. Czy *idiota* ma *id*?

Czekałem na jakąś reakcję, ale on tylko poprawił się na krześle.

– Nie zasnął pan przypadkiem? – zainteresowałem się.

– Słucham, Charlie.

– Tylko „słucham”? Nigdy się pan nie denerwuje?

– Dlaczego chcesz, żebym się na ciebie zdenerwował?

Westchnąłem.

– Strauss Kamienny… Strauss Nieporuszony. Coś panu powiem. Od przychodzenia tu dostaję już mdłości. Jaki w ogóle sens ma teraz terapia? Obaj równie dobrze wiemy, co będzie.

– Ale moim zdaniem ty wcale nie chcesz przestać. Chcesz kontynuować nasze sesje, prawda?

– To idiotyzm. Strata mojego i pańskiego czasu.

Leżałem tam, w mrocznym pokoju, wpatrując się we wzór z kwadratów na suficie… płytki dźwiękochłonne z tysiącami dziurek nasiąkających wszystkimi wypowiedzianymi słowami. Dźwięk pogrzebany żywcem w małych dziurkach na suficie.

Nagle zakręciło mi się w głowie. Umysł miałem czysty, bez jednej myśli i była to niezwykła sytuacja, w czasie sesji bowiem zawsze miałem mnóstwo materiału do przedstawienia i przedyskutowania. Sny… wspomnienia… skojarzenia… problemy… Teraz jednak czułem, że jestem odizolowany od świata. Pusty.

Za mną oddychał powoli Strauss Kamienny.

– Dziwnie się czuję – oznajmiłem.

– Chcesz o tym porozmawiać?

Och, cóż za błyskotliwy, cóż za subtelny człowiek! A w ogóle, co ja tu, do cholery, robię? Bawię się w wolne skojarzenia absorbowane przez małe dziurki w suficie i wielkie dziury w terapeucie.

– Nie wiem, czy chcę o tym rozmawiać – oznajmiłem. – Czuję dziś niezwykłą wrogość do pana, doktorze. – I powiedziałem mu, co przed chwilą chodziło mi po głowie.

Nie widziałem go, ale wiedziałem, że przytakuje.

– Bardzo trudno to wytłumaczyć – mówiłem dalej. – Takie uczucie miałem kilkakrotnie tuż przed zasłabnięciem. Zawrót głowy… napięcie… ale ciało jest zimne, bez czucia.

– Nie przerywaj. – W głosie doktora pojawiła się nuta podniecenia. – Co jeszcze?

– Nie czuję już swojego ciała. Nic nie czuję. Mam wrażenie, że Charlie jest gdzieś blisko. Oczy mam otwarte… jestem tego pewien… Czy mam otwarte oczy?

– Tak, szeroko otwarte.

– A jednak widzę tylko, jak białoniebieskie światło ze ścian i sufitu zbiera się w lśniącą kulę. Kula wisi w powietrzu. Światło… wpija mi się w oczy… wpija w mózg… Mam wrażenie, że unoszę się… a raczej *rozszerzam* na boki i w górę… nie muszę jednak patrzeć, by wiedzieć, że nadal leżę na kozetce…

Czy to halucynacja?

– Charlie, nic ci nie jest?

A może doświadczenie opisywane przez mistyków?

Słyszę jego głos, ale nie mam ochoty mu odpowiadać. Jego obecność mi przeszkadza. Muszę go zignorować. Bądź bierny, niech to – czymkolwiek jest – wypełni cię swoim światłem i wchłonie.

– Co widzisz, Charlie? Co się dzieje?!

Ulatuję, unoszę się jak liść w prądzie ciepłego powietrza. Przyspieszam, atomy mojego ciała odskakują od siebie. Robię się lżejszy, mniej skupiony i większy… większy… eksploduję wprost w słońce. Jestem rozszerzającym się wszechświatem, który wynurza się na powierzchnię milczącego morza. Najpierw malutkim, zamkniętym w ciele, w sali, w gmachu, w mieście, w kraju i wreszcie wiem, że gdybym spojrzał w dół, zobaczyłbym Ziemię przykrytą moim cieniem.

Lekki, bez czucia, płynę i rosnę w przestrzeni i w czasie.

Kiedy wiem już, że zaraz przebiję granicę istnienia jak wyskakująca ponad fale latająca ryba, czuję, że coś z dołu mnie powstrzymuje.

Złości mnie to. Chcę to z siebie strząsnąć. Na granicy stopienia się z wszechświatem słyszę dobiegające spoza świadomości szepty. Najdelikatniejszy uścisk zatrzymuje mnie w skończonym, śmiertelnym świecie.

Fale odpływają i powoli moja wszechogarniająca dusza kurczy się do ziemskich rozmiarów. Nie robi tego dobrowolnie, bo wolałbym się zgubić, ale coś przytrzymuje mnie z dołu, coś ciągnie mnie do mnie samego, we mnie samego, więc przez jedną krótką chwilę znów jestem na kozetce, próbując zmieścić palce świadomości w rękawicy ciała. Teraz już mógłbym poruszyć tym palcem, mrugnąć tym okiem… gdybym tylko chciał. Ale ja nie chcę się poruszyć. Ja się nie poruszę!

Czekam. Jestem otwarty, nie bronię się przed tym doświadczeniem, czymkolwiek ono jest. Charlie nie chce, żebym przebił zasłonę umysłu. Charlie nie chce wiedzieć, co leży za nią.

Czy boi się zobaczyć Boga?

Czy boi się, że nie zobaczy nic?

Gdy leżę, czekając, mija chwila, w której znów jestem sobą w sobie, i ponownie tracę poczucie ciała, nie doświadczam niczego. Charlie ściąga mnie we mnie. Patrzę w siebie, w swoje własne niewidzące oko, na czerwony punkt, który zmienia się w kwiat o wielu płatkach, lśniący, wirujący, świecący kwiat głęboko pośrodku mojej nieświadomości.

Kurczę się. Nie w tym sensie, by atomy mojego ciała zbliżały się do siebie, zbijały ze sobą, to raczej fuzja – jakby atomy mojego ja stapiały się w mikrokosmos. Czekam na niemożliwe gorąco, niemożliwy blask, piekło w piekle, ale nie patrzę w światło, lecz na kwiat, odmnażający się, odpodzielający z wielu w jeden. Na moment ten lśniący kwiat zmienia się w złoty dysk wirujący na nitce, potem w bańkę tańczących tęczy i wreszcie znów jestem w jaskini, gdzie wszystko jest spokojne i ciche, płynę przez wodny labirynt w poszukiwaniu tego, który mnie przyjmie… utuli… włączy… w siebie.

Tu mogę rozpocząć.

W głębi, przez szczelinę w mroku jaskiń, widzę odległe światło – jakbym patrzył przez odwrotną stronę teleskopu – jaskrawe, oślepiające, pulsujące, tańczące, i znów kwiat o wielu płatkach (wirujący lotos – ten, który unosi się obok wejścia w nieświadomość). Tam, przy wejściu do jaskini, znajdę odpowiedź, jeśli tylko wystarczy mi odwagi, by wrócić i rzucić się przez nie w grotę światła.

Nie! Jeszcze nie!

Boję się. Nie życia, nie śmierci, nie pustki, lecz zniknięcia, jakbym nigdy nie istniał. I kiedy zaczynam płynąć, czuję wokół ciśnienie popychające mnie falami ku otwarciu jaskini.

Jest takie małe. Za małe!

Nagle coś ciska mnie na skały, raz i jeszcze raz, i jeszcze raz, i już jestem w środku. Światło jest tak intensywne, że grozi mi oślepnięciem. Znów wiem, że zaraz przebiję granicę jego świętości. To więcej, niż zdołam znieść. Ból, jakiego nigdy nie doświadczyłem, chłód, mdłości, szum nad głową jak ruch wielu skrzydeł. Otwieram oślepione oczy. Biję powietrze, drżę i krzyczę.

* * *

Wyrwała mnie z tego potrząsająca mną energicznie dłoń.

– Dzięki Bogu – powiedział doktor Strauss. – Przestraszyłeś mnie.

Potrząsnąłem głową.

– Nic mi nie jest – zapewniłem go.

– Myślę, że na dziś skończymy.

Wstałem i zatoczyłem się. Powoli odzyskiwałem poczucie perspektywy. Gabinet wydał mi się bardzo mały.

– Nie na dziś – powiedziałem. – Sądzę, że nie powinienem odbywać kolejnych sesji. Nie chcę widzieć więcej.

Strauss był wyraźnie wytrącony z równowagi, ale nie próbował mnie przekonywać. Zabrałem płaszcz, wsadziłem na głowę kapelusz i wyszedłem.

A teraz z cieni skalistej półki za zasłoną płomieni kpią ze mnie słowa Platona: „…a ludzie w jaskini będą o nim mówić, że wyszedł na górę i na dół wrócił bez oczu…”.

5 października – Z trudem zbieram się, żeby usiąść i pisać na maszynie, a nie potrafię myśleć przy włączonym magnetofonie. Od rana odkładałem pisanie na później, ale wiem, jakie to ważne i że muszę coś napisać. Powiedziałem więc sobie, że póki czegoś, czegokolwiek nie napiszę, nie zjem obiadu.

Dziś rano profesor Nemur znów po mnie posłał. Chciał, żebym przyszedł do laboratorium na kilka testów, takich jakie robiliśmy niegdyś. Najpierw powiedziałem sobie, że to w porządku, bo przecież nadal mi płacą i powinni mieć kompletne dane, ale kiedy pojechałem na uniwersytet i przeszedłem testy z Burtem, zorientowałem się, że to dla mnie zbyt trudne.

Najpierw musiałem zaznaczyć ołówkiem przejście przez narysowany na kartce labirynt. Pamiętałem, jak to było wcześniej, kiedy uczyłem się szybko i kiedy ścigałem się z Algernonem. Od razu zdałem sobie sprawę, że znalezienie drogi zabiera mi teraz znacznie więcej czasu. Burt wyciągnął rękę, żeby mi zabrać kartkę, ale szybko podarłem ją i wyrzuciłem do kosza.

– Koniec – powiedziałem. – Mam dość labiryntów. Znalazłem się w ślepym zaułku i nic więcej nie mam na ten temat do powiedzenia.

Burt przestraszył się, że mu ucieknę, więc zaczął mnie uspokajać.

– Wszystko będzie dobrze, Charlie. Tylko się nie denerwuj.

– Co to znaczy „Tylko się nie denerwuj”? Przecież nie możesz wiedzieć, co czuję.

– Nie, ale potrafię sobie wyobrazić. My wszyscy tutaj uważamy, że to okropne.

– Wyrazy współczucia zachowaj dla siebie, a mi po prostu daj spokój.

Burt się zmieszał, a ja zdałem sobie sprawę, że przecież nie jest niczemu winny i że okropnie go potraktowałem.

– Przepraszam za ten wybuch – odezwałem się. – Powiedz, co w ogóle słychać. Praca skończona?

Skinął głową.

– Właśnie ją przepisują. W lutym bronię doktoratu.

– Świetnie! – Poklepałem go po plecach, by pokazać, że już się nie gniewam. – Pracuj dalej. Nie ma to jak wykształcenie. Słuchaj, zapomnij o tym, co powiedziałem. Zrobię dla ciebie wszystko… tylko już żadnych labiryntów.

– No… Nemur chce Rorschacha.

– Żeby zobaczyć, co się dzieje tam, głębiej? I co spodziewa się znaleźć?

Z pewnością sprawiałem wrażenie bardzo zdenerwowanego, bo znów się wycofał.

– Nie musimy – rzekł. – Jesteś ochotnikiem. Jeśli nie chcesz…

– Nie, dobrze. Rozdaj karty. Tylko nie mów mi, co znalazłeś.

Nic mi nie musiał mówić.

Wiedziałem o teście Rorschacha wystarczająco dużo, by rozumieć, że nie liczy się to, co widzi się na kartach, tylko to, jak się na nie reaguje. Czy traktuje się je jako całości, czy jako części, czy widzi się w nich figury nieruchome, czy ruchome, czy przywiązuje się wagę do plamek koloru, czy się je ignoruje, czy ma się mnóstwo pomysłów, czy udziela tylko kilku stereotypowych odpowiedzi.

– Nic z tego nikomu nie przyjdzie – powiedziałem. – Przecież wiem, czego szukasz. Wiem, co powinienem powiedzieć, żeby wytworzyć określony obraz mojego umysłu. Muszę tylko…

Burt patrzył na mnie wyczekująco.

– Muszę tylko…

Nagle, i było to niczym cios w skroń, zdałem sobie sprawę, że nie pamiętam, co „muszę tylko…”. Miałem wrażenie, jakby wszystkie potrzebne informacje wypisane były czytelnie na tablicy mojego umysłu, ale gdy obróciłem głowę, żeby je przeczytać, zobaczyłem, że ktoś pozamazywał fragmenty, a reszta nie ma żadnego sensu.

Najpierw nie mogłem w to po prostu uwierzyć. W panice przewracałem karty i mówiłem tak szybko, że niemal dławiłem się słowami. Pragnąłem rozedrzeć plamy, zmusić je, by wyjawiły mi swe znaczenia. Przecież kryły się w nich odpowiedzi, które znałem jeszcze tak niedawno. Nie, odpowiedzi nie kryły się w plamach atramentu, lecz w tej części mojego umysłu, która nadawała im formę i znaczenie, odciskała na nich moją indywidualność.

A ja nie byłem już w stanie tego zrobić. Nie pamiętałem, co powinienem powiedzieć. Wszystko znikło.

– To kobieta… zmywa podłogę na klęczkach. Nie, właściwie… to mężczyzna trzymający nóż. – Nagle uświadomiłem sobie, co mówię, i poszedłem w innym kierunku. – Dwie postaci ciągnące coś… coś jak lalkę… szarpiące ją każda w swoją stronę… jakby chciały ją rozerwać… Nie! To przecież dwie twarze wpatrzone w siebie przez okno i… – Zmiotłem karty ze stołu i wstałem. – Żadnych testów. Nie chcę przechodzić więcej żadnych testów.

– Dobrze, Charlie. Koniec na dziś.

– Nie na dziś. Nie mam zamiaru tu wracać. Cokolwiek jeszcze ze mnie zostało, a was może interesować, znajdziecie w dzienniku. Dość labiryntów. Nie będę już królikiem doświadczalnym. Zrobiłem dla was wystarczająco dużo. Teraz chcę, żebyście mnie zostawili w spokoju.

– Dobrze, Charlie. Rozumiem.

– Nie, nie rozumiesz, ponieważ to nie dzieje się z tobą. Tylko ja potrafię to zrozumieć. Nie mam do ciebie pretensji. Masz swoje obowiązki, musisz

zrobić doktorat i… ach, tak, nic nie mów, wiem przecież, że pracujesz przede wszystkim z miłości do ludzi, ale masz w końcu swoje życie, a ja nie jestem już na twoim poziomie. Najpierw minąłem cię w drodze w górę, teraz mijam cię, zjeżdżając w dół, i nie sądzę, by udało mi się wsiąść po raz drugi do tej samej windy. Więc po prostu pożegnajmy się, tu i teraz.

– Nie sądzisz, że powinieneś porozmawiać z doktorem…

– Pożegnaj wszystkich ode mnie, dobrze? Nie mam już ochoty się z nimi spotykać.

Nim zdążył odpowiedzieć, już mnie nie było. Wsiadłem do windy, zjechałem na parter i po raz ostatni wyszedłem z laboratoriów Wydziału Psychologii Uniwersytetu Beekmana.

7 października – Dziś rano Strauss znów chciał się ze mną zobaczyć, ale nie otworzyłem mu. Chcę tylko, żeby wszyscy zostawili mnie samemu sobie.

Dziwne to wrażenie wziąć do ręki książkę, którą czytało się z przyjemnością zaledwie kilka miesięcy temu, i stwierdzić, że już się jej nie pamięta. Ciągle jestem świadom tego, że kiedyś uważałem Miltona za geniusza, ale kiedy zabrałem się do *Raju utraconego*, wiedziałem jedynie, że to o Adamie, Ewie i drzewie wiadomości dobrego i złego, ale niczego nie rozumiałem.

Wstałem i zamknąłem oczy. Pod powiekami zobaczyłem Charliego – samego siebie – kiedy miał sześć, może siedem lat. Ślęczał przy kuchennym stole nad otwartym elementarzem, ucząc się czytać, powtarzając w kółko te same słowa. Matka siedziała obok niego… obok mnie…

– Spróbuj jeszcze raz.

– Ala ma psa. Ten pies to Reks. Ala ma kość.

– Nie! Nie „Ala ma kość”! To „Reks ma kość”! – Pokazuje szorstkim palcem właściwe miejsce.

– Ala ma psa. Ten pies to Ala. Ala ma…

– Nie! W ogóle się nie starasz! Jeszcze raz!

Jeszcze raz… jeszcze raz… jeszcze raz…

– Zostaw chłopca w spokoju. Zobacz, jak się boi.

– Musi się nauczyć. Jest taki leniwy, że nawet nie chce mu się skupić!

Ala ma psa… Ala ma psa… Ala ma psa… Ala ma…

– Uczy się wolniej niż inne dzieci. Daj mu czas!

– Jest normalny. Zdrowy, tylko leniwy. Będę go biła, póki się nie nauczy.

Ala ma psa… Ala ma psa… Ala ma psa…

Charlie podniósł wzrok znad elementarza, a ja miałem wrażenie, że widzę jego oczami siebie trzymającego *Raj utracony*, i nagle zdałem sobie sprawę, że ciągnę książkę z całej siły, jakbym chciał ją rozerwać. Złamałem grzbiet, wyrwałem garść stron, po czym i książkę, i luźne strony rzuciłem w kąt, w który cisnąłem wcześniej połamane płyty. Upadła tam i śmieje się, pokazując białe, wywalone języki kartek człowiekowi, który nie potrafi zrozumieć zapisanych na nich słów.

Muszę spróbować zachować coś z tego, czego się nauczyłem. Boże, proszę, nie odbieraj mi wszystkiego.

10 października – Nocami na ogół spaceruję, wędruję po mieście. Właściwie nie wiem po co. Chyba żeby przyglądać się twarzom. Tej nocy zapomniałem, gdzie mieszkam. Policjant odprowadził mnie do domu. Mam przedziwne uczucie, że to wszystko zdarzyło mi się już kiedyś, dawno temu. Nie chce mi się prowadzić dziennika, ale stale powtarzam sobie, że

jestem jedynym człowiekiem na świecie, który może opisać to, co się teraz dzieje.

Zamiast iść, unoszę się w przestrzeni, lecz nie czystej, wyraźnie określonej, ale takiej, w której wszystko obciągnięte jest szarą błoną. Wiem, co się ze mną dzieje, ale nic nie mogę na to poradzić. Spaceruję albo po prostu stoję na chodniku i obserwuję mijających mnie ludzi. Niektórzy patrzą na mnie, a niektórzy nie, lecz nikt jeszcze się do mnie nie odezwał, z wyjątkiem jednego mężczyzny, który podszedł i zapytał, czy mam ochotę na dziewczynę. Zaprowadził mnie w jedno miejsce. Zażądał dziesięciu dolarów z góry, więc mu je dałem, ale on nie wrócił.

Wtedy przypomniałem sobie, jakim byłem głupcem.

11 października – Kiedy rano wróciłem do domu, zastałem w nim Alice śpiącą na kanapie. Mieszkanie było wysprzątane i najpierw pomyślałem, że nie trafiłem do siebie, ale potem zobaczyłem, że nie ruszyła potłuczonych płyt w kącie ani porwanych książek czy resztek partytury. Podłoga skrzypnęła. Alice obudziła się i spojrzała na mnie.

– Cześć – powiedziała. – Przyszła nocna sowa.

– Nie sowa – poprawiłem ją. – Raczej dodo. Wielkie, durne dodo. Jak się tu dostałaś?

– Przez schody przeciwpożarowe. Od Fay. Zadzwoniłam do niej, by dowiedzieć się, co u ciebie, i powiedziała mi, że się martwi, bo dziwnie się zachowujesz i urządzasz awantury. Więc zdecydowałam, że najwyższy czas na odwiedziny. Posprzątałam trochę. Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza.

– Przeszkadza. Bardzo przeszkadza. Nie chcę, żeby ktokolwiek przychodził tu i się nade mną litował.

Alice podeszła do lustra poprawić sobie włosy.

– Nie przyszłam dlatego, że się nad tobą lituję, lecz dlatego, że lituję się nad sobą.

– A co to niby ma znaczyć?

– Nic nie „znaczy”. Chciałam cię zobaczyć.

– A co, znudziło ci się zoo?

– Och, daj spokój, Charlie. Nie musisz walczyć ze mną na słowa. Wystarczająco długo czekałam, żebyś po mnie przyszedł. W końcu zdecydowałam, że to ja przyjdę po ciebie.

– Dlaczego?

– Ponieważ nadal mamy czas. I ten czas chcę spędzić z tobą.

– Była taka piosenka…

– Charlie, nie śmiej się ze mnie.

– Wcale się nie śmieję. Nie stać mnie na to, żeby spędzać z kimkolwiek czas. Ledwie wystarczy go dla mnie.

– Nie potrafię uwierzyć, że chcesz być całkiem sam.

– Chcę.

– Cieszyliśmy się swoim towarzystwem, nim przestaliśmy się widywać. Mieliśmy o czym rozmawiać. Nie nudziliśmy się ze sobą. Krótko to trwało, ale było czymś. Słuchaj, przecież wiedzieliśmy, co się może stać. Nikt nie robił z tego sekretu. Ja nie odeszłam od ciebie, Charlie. Po prostu czekałam. Znów jesteś mniej więcej na moim poziomie, prawda?

Wściekły biegałem po mieszkaniu.

– Przecież to szaleństwo! – krzyknąłem. – Na nic nie możemy mieć nadziei. Nie mam odwagi myśleć o przyszłości, dla mnie istnieje tylko przeszłość. Za kilka miesięcy… tygodni… może dni – kto to, do diabła, wie? – zamieszkam w Warren. Nie pójdziesz tam za mną.

– Nie – przyznała Alice – i prawdopodobnie nie będę cię nawet odwiedzać. Kiedy znajdziesz się w Warren, zrobię co w mojej mocy, żeby o tobie zapomnieć. Nie zamierzam udawać, że będzie inaczej. Lecz póki tam nie jesteś, nie ma powodu, byśmy żyli oddzielnie.

Nim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, pocałowała mnie. Usiedliśmy obok siebie na kanapie. Alice złożyła mi głowę na piersi, a ja czekałem, lecz panika nie pojawiła się. Alice nie przestała być kobietą, lecz Charlie chyba już zrozumiał, że nie jest ani jego matką, ani siostrą.

Westchnąłem z ulgą. Kryzys minął i teraz nic mnie nie powstrzymywało. Minął czas strachu i udawania, ponieważ z nikim nie miało być tak jak z nią. Znikły wszystkie bariery. Rozwinąłem nić, którą od niej dostałem, i dzięki tej nici znalazłem wyjście z labiryntu, wyjście, przy którym na mnie czekała. Kochałem ją bardziej, niż mogło ją kochać moje ciało.

Nie udaję, że pojąłem tajemnicę miłości, lecz tym razem było to więcej niż seks, niż użycie ciała kobiety. Uniosłem się nad ziemię, poza strach i cierpienie, stałem się częścią czegoś większego niż ja sam. Wyzwoliłem się z mrocznej celi umysłu, by złączyć z czymś innym – dokładnie tak, jak w gabinecie doktora Straussa. Zrobiłem pierwszy krok ku wszechświatowi… poza wszechświat… ponieważ w miłości i miłością dawaliśmy życie ludzkiemu duchowi, odtwarzaliśmy go. Rosnąc, ogromniejąc na zewnątrz, cofając się i formując wewnątrz, poruszaliśmy się w rytmie życia – oddychania, bicia serca, dnia i nocy – i ów rytm naszych ciał odbijał się w głębi mojego umysłu. Tak było też w owej zdumiewającej wizji. Szara, spowijająca mi mózg mgła rozproszyła się, a przez nią wtargnął do środka promień światła (jakie to dziwne – wszak powinien oślepiać!), ciało zaś pogrążyło się w wielkim oceanie przestrzeni, obmyte niczym w akcie chrztu. Zadrżałem, dając, a ona zadrżała, przyjmując.

Tak kochaliśmy się, aż noc przeszła w cichy dzień. Leżąc obok Alice, zrozumiałem wreszcie, jak ważna jest fizyczna miłość, jak ważne dla każdego z nas jest, by wziąć kogoś w ramiona, by dawać i brać. Wszechświat eksplodował, jego cząsteczki rozleciały się na wszystkie strony, rzucając nas w ciemną, samotną przestrzeń, zawsze sobie dalekich – dziecko wydobywające się z łona matki, przyjaciele rozdzieleni wyrokami losu. Oddalamy się od siebie, a każdy z nas zmierza własną ścieżką do klatki samotnej śmierci.

I oto znalazłem przeciwwagę, akt zbliżania, łączenia. Jak marynarze, którzy w obawie przed sztormem łapią się za ręce, by fala nie zmyła żadnego z nich za burtę, tak nasze ciała znalazły wspólnie swoje miejsce w ludzkim łańcuchu, który broni nas przed nicością.

Zapadałem już w sen, kiedy przypomniałem sobie, jak to było między mną a Fay. Uśmiechnąłem się. Nic dziwnego, że wydawało się to takie proste. Z Fay uprawiałem seks. Z Alice przeżyłem misterium.

Pochyliłem się i pocałowałem jej oczy.

Alice wie teraz o mnie wszystko. Nie protestuje przeciw temu, że będziemy ze sobą tylko krótką chwilę. Zgodziła się odejść, kiedy powiem, by to zrobiła. Myślenie o tym boli, ale podejrzewam, że już mamy więcej, niż większość ludzi zdobywa przez całe życie.

14 października – Budzę się rankiem, nie wiedząc, gdzie jestem i co tu robię, lecz kiedy widzę ją przy sobie, pamiętam. Wyczuwa, kiedy coś się ze mną dzieje, i cichutko chodzi po mieszkaniu: robi śniadanie, sprząta albo wychodzi, zostawiając mnie samego. O nic nie pyta.

Dziś wieczorem poszliśmy na koncert, ale znudził mnie i wyszliśmy w połowie. Już chyba nie czuję muzyki. Poszliśmy, bo pamiętam, że kiedyś

lubiłem Strawińskiego, ale ostatnio jakoś nie mam do niego cierpliwości.

Jest jedna zła strona mieszkania z Alice – chcę walczyć z tym, co nieubłagane. Chciałbym zatrzymać czas, trwać na tym poziomie i nie dać jej nigdy odejść.

17 października – Dlaczego nie pamiętam? Muszę spróbować oprzeć się tej słabości. Alice mówi mi, że całymi dniami leżę w łóżku i najwyraźniej nie wiem, kim jestem i gdzie się znajduję. A potem świat wraca do mnie, rozpoznaję ją i wiem, co się zdarzyło. Fugi amnezji. Symptomy drugiego dzieciństwa… Jak to się nazywa? Aha, demencja starcza.

Widzę, jak się do mnie zbliża.

Wszystko to jest okrutnie logicznym rezultatem przyspieszenia wszystkich procesów umysłowych. Tak szybko nauczyłem się tak wielu rzeczy, a teraz mózg równie gwałtownie cofa się w rozwoju. Co będzie, jeśli na to nie pozwolę? Co będzie, jeśli się temu sprzeciwię? Myślę o tych ludziach w Warren, o tępych uśmiechach, o pustych oczach, o nieruchomych twarzach.

Wszyscy się z nich śmieją.

Mały Charlie Gordon obserwuje mnie przez okno. Czeka. Proszę, tylko nie to!

18 października – Zapominam tego, czego nauczyłem się ostatnio. To chyba normalne – najpierw znika wiedza najświeższa. Ale… czy to normalne? Chyba lepiej sprawdzić.

Przeczytałem swą pracę o efekcie Algernona-Gordona i chociaż wiem, że to ja ją napisałem, czułem, że to wcale nie ja, tylko ktoś inny. Prawie nic z niej nie zrozumiałem.

A właściwie dlaczego się denerwuję? Zwłaszcza że Alice jest dla mnie taka dobra. Sprząta mieszkanie, układa moje rzeczy, zmywa naczynia, czyści podłogi. Nie powinienem krzyczeć na nią tak, jak nakrzyczałem dziś rano, bo potem płacze, a ja nie chcę, żeby płakała. Ale nie powinna sprzątnąć potłuczonych płyt i książki i wsadzić tego wszystkiego do pudła. To mnie rozzłościło. Nie chcę, żeby ktokolwiek ich dotykał. Chcę, żeby mi przypominały, co straciłem. Kopnąłem pudło, porozrzucałem rzeczy po całej podłodze i zabroniłem jej ruszać cokolwiek.

To głupota. Nie miałem przecież powodu tak postąpić. Chyba rozwścieczyło mnie to, że jej zdaniem głupio tak trzymać te rzeczy, ale nie powiedziała mi, że uważa to za głupotę. Udawała tylko, że wszystko jest w porządku. Nie chciała, żebym wpadł w zły humor. A kiedy zobaczyłem pudło, przypomniałem sobie chłopca z Warren, który zrobił tę brzydką lampę i którego wszyscy pocieszali i mówili mu, jaka jest ładna, a przecież wcale nie była ładna.

Ona zachowała się tak samo.

Kiedy uciekła z płaczem do sypialni, poczułem się źle i powiedziałem jej, że to wszystko moja wina. Że nie zasługuję na kogoś tak dobrego jak ona. Dlaczego nie potrafię się kontrolować przynajmniej na tyle, żeby nadal ją kochać? Przynajmniej na tyle.

19 października – Upośledzenie funkcji motorycznych. Potykam się, wszystko leci mi z rąk. Najpierw myślałem, że to nie ja. Myślałem, że

to ona wszystko poprzestawiała. Kosz wlazł mi w drogę i krzesła, więc myślałem, że je przesunęła.

Teraz dopiero zdaję sobie sprawę, że to szwankuje koordynacja ruchów. Żeby wszystko zrobić dobrze, muszę poruszać się bardzo wolno. I coraz trudniej mi pisać na maszynie. Więc czemu za wszystko winię Alice? I dlaczego ona się nie broni? Denerwuje mnie to jeszcze bardziej, bo wiem, że się nade mną lituje.

Jedyną moją przyjemnością jest teraz telewizja. Większość czasu spędzam, oglądając teleturnieje, stare filmy, opery mydlane, a nawet programy dla dzieci i filmy animowane. I w ogóle nie mogę zdobyć się na to, żeby wyłączyć telewizor. Późno w nocy puszczają stare filmy, horrory, potem jest program rozrywkowy, a po nim kolejny. Oglądam nawet krótkie kazanie przed końcem transmisji i hymn, przy którym powiewa amerykańska flaga, a wreszcie ekran kontrolny gapiący się na mnie przez małe czarne okienko jednym wiecznie otwartym okiem.

Dlaczego zawsze oglądam życie przez okno?

A kiedy program się kończy, wściekam się na siebie, bo mam tak mało czasu, żeby czytać, pisać i myśleć, i powinienem postępować mądrzej, a nie zatruwać sobie umysł idiotycznymi programami skierowanymi do drzemiącego we mnie dziecka. Specjalnie do dziecka we mnie, bo to dziecko właśnie odbiera mi głowę.

Wiem to, ale kiedy Alice mówi mi, że nie powinienem tracić czasu, złoszczę się na nią i mówię jej, żeby zostawiła mnie w spokoju.

Mam wrażenie, że gapię się w telewizor, bo wiem, że to ważne, bym nie myślał, nie wspominał piekarni ani matki, ojca i Normy. Nie chcę już pamiętać przeszłości.

Przeżyłem dziś straszny szok. Znalazłem odbitkę *Über Psychische Ganzheit* Krügera – artykułu, z którego korzystałem w badaniach. Chciałem

sprawdzić, czy pomoże mi zrozumieć pracę, którą sam napisałem, i to, czego w niej dokonałem. Najpierw myślałem, że coś złego stało się z moimi oczami, a potem zdałem sobie sprawę, że nie potrafię już czytać po niemiecku. Innych języków też już nie pamiętam.

21 października – Alice odeszła. Sprawdźmy, czy potrafię to sobie przypomnieć. Zaczęło się, kiedy powiedziała, że nie powinniśmy żyć wśród podartych książek i papierów oraz rozrzuconych po podłodze płyt i że w mieszkaniu jest straszny bałagan.

– Zostaw wszystko, jak jest – ostrzegłem ją.

– Charlie, co to za życie?

– Chcę, by rzeczy leżały tam, gdzie je położyłem. Chcę mieć je wszystkie przed oczami. Nie wiesz, jak to jest, kiedy coś się wewnątrz ciebie dzieje, coś, czego nie widzisz i nie potrafisz kontrolować, kiedy wszystko przecieka ci przez palce.

– Masz rację. Nigdy nie mówiłam, że potrafię zrozumieć to, co ci się przydarzyło. Ani wtedy, kiedy okazałeś się dla mnie zbyt inteligentny, ani teraz. Ale jedno ci powiem. Przed operacją nie byłeś taki jak teraz. Nie tarzałeś się we własnym brudzie, nie litowałeś się nad sobą, nie zatruwałeś sobie umysłu, siedząc dzień i noc przed telewizorem, nie warczałeś na ludzi, nie próbowałeś kąsać. Było w tobie coś, co nakazywało szacunek… tak, szacunek nawet dla kogoś takiego jak ty. Było w tobie coś, co po raz pierwszy widziałam w upośledzonym umysłowo.

– Nie żałuję eksperymentu.

– Ja też nie, ale straciłeś coś, co kiedyś miałeś. Uśmiech…

– Tępy uśmiech kretyna.

– Nie. Ciepły, prawdziwy uśmiech. Chciałeś, żeby ludzie cię lubili.

– A oni robili mi kawały i śmiali się ze mnie.

– Owszem. A ty, chociaż nie rozumiałeś, dlaczego się śmieją, wyczuwałeś, że skoro mogą się śmiać, to będą cię lubić. Chciałeś być lubiany. Zachowywałeś się jak dziecko i nawet śmiałeś się z siebie wraz z nimi.

– Wybacz, ale jakoś nie mam ochoty śmiać się teraz z siebie.

Alice z trudem powstrzymywała łzy, a ja chyba chciałem, żeby się rozpłakała.

– Może dlatego tak bardzo pragnąłem się uczyć – mówiłem dalej. – Myślałem, że wtedy ludzie będą mnie bardziej lubić. Myślałem, że wtedy będę miał przyjaciół. Z tego można by się pośmiać, prawda?

– W życiu liczy się coś więcej niż iloraz inteligencji.

Zdenerwowała mnie. Prawdopodobnie dlatego, że w ogóle nie pojmowałem, do czego zmierza. Ostatnio coraz rzadziej mówiła wprost, o co jej chodzi. Wolała dawać do zrozumienia, a potem oczekiwała, bym się sam domyślał, czego chce. A ja słuchałem jej i udawałem, że wszystko rozumiem, ale w głębi serca bałem się, że wreszcie zobaczy, iż nic nie pojmuję.

– Sądzę, że powinnaś odejść.

Zaczerwieniła się.

– Jeszcze nie, Charlie. Jeszcze nie czas. Nie odsyłaj mnie.

– Przez ciebie jest mi trudniej. Udajesz, że mogę robić i rozumieć rzeczy, które są już dla mnie kompletnie nieosiągalne. Cały czas do czegoś mnie zmuszasz. Zupełnie jak moja matka…

– To nieprawda!

– Ależ tak! Zbierasz moje rzeczy, sprzątasz po mnie, zostawiasz na wierzchu książki, które twoim zdaniem mogą znów mnie zainteresować, rozmawiasz ze mną o najnowszych wydarzeniach, żeby skłonić mnie do

myślenia. Twierdzisz, że te sprawy nie mają znaczenia, ale wszystko, co robisz, mówi mi, jak wiele dla ciebie znaczą. Prawdziwa nauczycielka! Nie mam ochoty chodzić na koncerty, do muzeów, na zagraniczne filmy i w ogóle robić czegokolwiek, co zmusi mnie do myślenia o życiu i o sobie.

– Charlie…

– Po prostu zostaw mnie w spokoju. Nie jestem sobą. Rozpadam się na kawałki i nie chcę, żebyś tu mieszkała.

Popłakała się wreszcie. Wieczorem spakowała walizki i odeszła. Mieszkanie bez niej jest ciche i puste.

25 października – Degeneracja postępuje. Musiałem przestać pisać na maszynie. Zbyt kiepska koordynacja. Teraz piszę dziennik ręcznie.

Dużo myślałem o tym, co powiedziała Alice, i nagle przyszło mi do głowy, że jeśli nadal będę czytał i uczył się *nowych* rzeczy, to, chociaż ciągle zapominam stare, może zachowam trochę tej inteligencji. Jadę ruchomymi schodami. Jeśli będę stał w miejscu, to w końcu dotrę na sam dół, ale jeśli zacznę biec w górę, może chociaż będę cały czas w tym samym miejscu. Najważniejsze, żeby biec do góry niezależnie od tego, co się dzieje.

No więc poszedłem do biblioteki i wziąłem sobie mnóstwo książek. Teraz czytam bardzo dużo. Większość tych książek jest już za trudna, ale nic mnie to nie obchodzi. Jak długo czytam, uczę się nowych rzeczy, no i nie zapomnę, jak się czyta. To teraz najważniejsze. Jeśli będę czytał, to może jakoś wyjdę na swoje.

Nazajutrz po odejściu Alice przyszedł doktor Strauss, więc sądzę, że mu o wszystkim powiedziała. Udawał, że chce tylko odebrać dziennik, ale powiedziałem, że mu go wyślę. Nie chcę, żeby tu do mnie przychodził.

Powiedziałem mu, że nie musi się o mnie martwić, bo kiedy poczuję, że już sam sobie nie radzę, wsiądę do pociągu i pojadę do Warren.

Powiedziałem mu, że wolałbym pojechać sam, kiedy nadejdzie czas.

Próbowałem porozmawiać z Fay, ale widziałem, że się mnie boi. Chyba sądzi, że oszalałem. Wczoraj wieczorem przyprowadziła kogoś. Wyglądał bardzo młodo.

Dziś przyszła do mnie właścicielka domu, pani Mooney. Przyniosła rosół i kurczaka. Powiedziała, że tak sobie pomyślała, że może do mnie zajrzy, by sprawdzić, jak mi leci. Powiedziałem jej, że mam mnóstwo jedzenia, ale zostawiła, co przyniosła, i to było bardzo smaczne. Udawała, że to jej pomysł, ale taki głupi to ja jeszcze nie jestem. Alice albo Strauss kazali jej opiekować się mną i sprawdzać, czy wszystko jest w porządku. Cóż, bardzo dobrze. To miła starsza pani mówiąca z irlandzkim akcentem. Bardzo lubi opowiadać o wszystkich swoich lokatorach. Nawet nie zareagowała na bałagan, więc chyba jest w porządku.

1 listopada – Od czasu, kiedy po raz ostatni ośmieliłem się pisać, minął tydzień. Nie wiem, gdzie się podziały te wszystkie dni. Dziś jest niedziela, wiem, bo widzę przez okno, jak ludzie idą do kościoła po drugiej stronie ulicy. Zdaje się, że cały tydzień przeleżałem w łóżku, ale pamiętam, jak pani Mooney parę razy przynosiła mi jedzenie i pytała, czy przypadkiem nie jestem chory.

I co mam teraz ze sobą zrobić? Nie mogę przecież siedzieć tu całkiem sam i wyglądać przez okno. Muszę się jakoś pozbierać. Powtażam sobie że muszę coś zrobić, ale potem wszystko zapominam a może łatwiej mi nie robić tego co muwię że powinienem zrobić.

Nadal mam kilka książek z biblioteki ale prawie wszystkie są dla mnie za trudne. Czytam dużo kryminałów i książek o królach i królowych z dawnych czasów. Czytałem książkę o jednym człowieku co myślał że jest rycerzem i pojechał gdzieś na starym koniu z przyjacielem. Dużo chciał zrobić ale chociaż próbował zawsze dostawał lanie i go krzywdzono. Jak wtedy, kiedy myślał, że wiatraki są smokami. Najpierw to pomyślałem sobie głupia książka bo przecież tylko wariat nie odróżniłby wiatraków od smoków i nie ma czarodziejów i zaczarowanych zamków ale potem przypomniałem sobie że to wszystko miało oznaczać coś innego coś o czym w książce nie pisało tylko było zasugerowane. Jakieś tam było inne znaczenie. Tyle że nie wiem jakie. To mnie rozzłościło ponieważ kiedyś chyba wiedziałem. Ale nadal czytam i codziennie się czegoś uczę i wiem że to mi pomoże.

Wiem że powinienem trochę dzienikuw napisać przedtem żeby wiedzieli co się ze mną dzieje. Ale trudniej mi pisać. Nawet prostych słów muszę szukać w słowniku i się na siebie złoszczę.

2 listopada – Wczoraj zapomniałem napisać o kobiecie co mieszka piętro niżej w domu po drugiej stronie alejki. W zeszłym tygodniu zobaczyłem ją przez okno w kuchni. Nie znam jej imienia ani nawet nie wiem jak wygląda jej głowa ale każdego wieczora koło jedenastej robi sobie kąpiel. Nigdy nie zasłania okno i pszez moje okno kiedy wyłączę światło widzę ją od szyi w dół kiedy wychodzi z wanny żeby się wytrzeć.

To mnie podnieca ale kiedy ta pani wyłącza światło czuję się przygnębiony i samotny. Czasami to myślę że chciałbym wiedzieć jak wygląda czy jest ładna i w ogóle. Wiem że to nie ładnie oglądać kobietę

kiedy jest tak ale nic na to nie poradzę że muszę. No i co to za rużnica jeśli nie wie że na nią patszę?

Już prawie jedenasta. Czas na jej kąpiel. Więc lepiej pójdę i popatsze sobie…

5 list – Pani Mooney bardzo się o mnie martwi. Muwi że kiedy tak leżę całym dniami nic nie robiąc to przypominam jej syna tuż nim wyrzuciła go z domu. Muwi że nie lubi leniuchuw. Jeśli jestem chory to dobrze, ale jeśli jestem leniuch to niedobrze bo ona tu takich nie potrzebuje.

Powiedziałem jej, że myślę że jestem chory.

Prubuje czytać codziennie po troszku ale czasami musze czytać to samo raz za razem bo nie wiem co znaczy. I cienszko mi pisać. Wiem że powinienem sprawdzać większość słuw w słoniku ale jestem taki zmęczony.

No to wpadłem na pomysł że bende używał tylko łatwych słuw zamiast takich obcych trudnych. To oszczendza czas. Na dworze jest już zimno ale i tak co dziennie noszę kwiaty na grub Algernona. Pani Mooney myśli że to gupie nosić kwiaty na grób myszy ale wyjaśniłem jej, że Algernon był bardzo specjalno myszo.

Poszedłem odwiedzić Fay co mieszka po drugiej stronie korytarza ale powiedziała mi, że bym sobie poszedł i nie wracał. Założyła nawet na drzwi nowy zamek.

9 list – Znowu niedziela. Nie mam nic do roboty żeby się nie nudził, bo telewizor się popsuł i zapominam go wziąć i naprawić. Hyba zgubiłem miesięczny czek z uniwersyteta. Nie pamiętam.

Głowa mnie strasznie boli i nawet asperyna nie pomaga. Pani Mooney uwieżyła wreszcie że jestem naprawdę chory i bardzo mie żałuje. To wspaniała kobieta kiedy ktoś jest hory. Robi się tak zimno że musze nosić dwa swetry.

Ta pani z łazienki zaczęła teraz zaciągać roletę więc już jej w ogóle nie widzę. Takie moje szczenście.

10 list – Pani Mooney wezwała do mnie obcego doktora. Bała się że moge umżeć. Powiedziałem doktorowi że nie jestem bardzo hory tylko czasami zapominam. Zapytał mnie czy mam jakiś pszyjaciuł czy krewnych to mu powiedziałem nie żadnego nie mam. Muwie mu miałem pszyjaciela Algernona ale to była mysz i się ścigaliśmy. Spojrzał na mnie dziwnie jakby myślał że jestem szalony.

Uśmiechnoł się kiedy mu powiedziałem że byłem geniuszem. Rozmawiał ze mną jakbym był dzieckiem i mrugał na panią Mooney. Zdenerwowałem się bo sobie ze mnie żartował i śmiał i przegnałem go z domu i zamknąłem drzwi na klucz.

Już chyba wiem dlaczego miałem pecha. Bo zgubiłem gdzieś kruliczo łapke i podkowe. Muszę szypko sobie kupić kruliczo łapke.

11 list – Doktor Strauss pszyszed dzisiaj pod drzwi i Alice też ale ich nie wpuściłem. Powiedziałem im że nie chce żeby mnie kto odwiedzał. Że chce być sam. Puźniej pani Mooney przyszła i muwi że zapłacili czynsz i dali jej pieniondze żeby mi kupowała jedzenie i wogule co potrzebuje. Muwie jej że ja nie chce ich pieniendzy wogule. Ona muwi pieniondze to pieniondze

i ktoś musi płacić albo musi mnie wyżucić. Potem muwi dlaczego nie pujdę do pracy zamiast się obijać.

Nie znam żadny pracy tylko ta co jo robił w piekarni. Nie chce do nich wrucić bo znali mnie kiedy byłem mondry i może bendo sie śmiać. Ale nie wiem skond moge jeszcze mieć pieniondze. Chce za wszystko płacić sam. Jestem mocny to moge pracować. Jeśli nie moge pujde do Warren. Nie chce łaski od nikogo.

15 list – Oglondałem muj stary dziennik i to bardzo dziwne ale nie umiem pszeczytać co napisał. Czytam niekture słowa ale nie majo sensu. Chyba ja je napisał ale tak dobże to nie pamientam. Mencze sie bardzo kiedy czytam niekture książki co kupiłem w kiosku. Tylko nie te ze zdjenciami ładnych dziewczont. Lubie na nie patrzeć ale potem mam dziwne sny. To nie miłe. Jusz ich nigdy nie kupie. W jednej książce widziałem że mają magiczny proszek co robi cie mocnym i mondrym i jeszcze mnustwo dobrych żeczy. Może wyśle kupona i kupie go sobie troche.

16 list – Alice znowu pszyszła pod dżwi ale powiedziałem jej odejdź nie chce cie wiencej widzieć. Płakała Alice i ja też płakał ale jej nie wpuściłem bo nie chciałem żeby się ze mnie śmiała. Powiedziałem że już jej nie lubie i nie chce być już mondry tesz. Ale to nie prawda i to tesz. Nadal jo kocham i nadal chce być mondry ale musiałem to powiedzieć żeby odeszła. Pani Mooney powiedziała Alice pszyniosła jeszcze troche pieniendzy na opieke dla mnie i czynsz. Tego nie chce. Musze znaleść prace.

Prosze… prosze… tylko żeby nie zapomniał jak czytać i pisać.

18 list – Pan Donner był bardzo miły kiedy poszedłem i poprosił go o te prace w piekarni co robiłem. Najpierw bardzo podejrzewał coś ale mu powiedział co sie mi stało wtedy zrobi smutno mine położył dłoń mi na ramieniu i muwi Charlie jesteś cholernie twardy.

Fszyscy na mnie patrzyli kiedy zszedłem na duł i zaczołem zamiatać w toaletach jak zwykle pszedtem. Powiedziałem sobie Charlie jak sie zaczno z ciebie śmiać to nie złość sie bo pamientasz że nie so tacy mondrzy jak myślo. A poza tym kiedyś byli twoimi pszyjaciułami i że sie śmiejo nie ma znaczenia bo i tak cie lubio też.

Jeden nowy co pszyszed pracować kiedy mnie wywalili nazywa się Meyer Klaus i zrobi mi dużo pszykrość. Pszyszed kiedy ładowałem worki monki i muwi hej Charlie ja słyszał ty bardzo mondry jesteś prawdziwy geniusz. Powiedz coś mondrego. Źle mi było bo z tego jak muwi widział że sie ze mnie śmieje. Wienc nic tylko pracowałem. No wienc on podszed i mocno mnie złapał bardzo mocno i kszykno kiedy do ciebie muwie chłopcze to masz słuchać albo ci złamie renke. Wykrencił mi renke aż boli i ja sie przestraszył że mi jo złamie jak muwi. Śmiał sie i wykrencał mi renke a ja nie wiedział co robić mam. Wienc sie przestraszył jakbym miał płakać ale nie płacze a potem musiał iść do łazienki to okropne. Żołondek cały mi sie skrencał jakby miał penc i zaraz musiał iść… nie mógł wstrzymać.

Muwie prosze puść bo musze iść do toalety ale on tylko śmiał sie i nie wiedziałem co bendzie. Wienc zaczołem płakać. Puść. Puść. A potem zrobił to. Zrobił w spodnie pachniało brzydko a ja płakał. On mnie puści skrzywi się wyglonda jakby bał sie. Muwi nalitość bosko nie chciałem nic złego Charlie.

Potem przyszed Joe Carp złapie Klausa za koszule muwi zostaw go w spokoju cholerny sukinsynu albo ci skrence kark. Charlie to fajny facet i nikt go nie zaczepi żeby za to nie odpowiada. Wstyd mi było to pobieg do toalety umył sie i zmienił ubranie.

Kiedy wróciłem Frank był i Joe muwi mu co sie stało potem pszyjdzie Gimpy to mu tesz muwio on muwi posbenćmy sie Klausa. Mieli poprosić pana Donnera żeby go wylał. Ja muwie im chyba nie potsza go wylać żeby musiał szukać inny pracy bo ma żone i dziecko. A poza tym pszeprosił za co zrobi. I że pamientam jaki był smutny kiedy mnie wylali z piekarni i musiał odejść. Muwie Klaus musi dostać szanse bo teraz to już nie zrobi mi nic złego.

Puźniej Gimpy pszyszed do mnie kulejonc na choro noge i muwi Charlie jak ktoś ci dokucza albo oszuka albo coś to zawołaj mnie albo Franka albo Joego to mu zaraz nałożymy do głowy. Chcemy fszyscy żebyś wiedział że masz tu pszyjaciuł wienc nie zapomnij. Powiedziałem dzienkuje Gimpy.

Dobrze mieć pszyjaciuł.

21 list – Zrobił dzisiaj gupote. Zapomniał że nie jestem już w klasie pani Kinnian w centrum dla dorosłych jak kiedyś był. Poszłem i usiad w mojej dawnej ławce stułu a ona patszy na mnie dziwnie i muwi Charlie gdzieś ty bywał. Wienc ja muwie dzień dobry pani Kinnian jestem gotuw do lekcji tylko zgubił gdzieś staro ksionżke co jej używał.

Zaczeła płakać uciekła z sali i fszyscy sie obrucili na mnie patszo a ja widze że wienkszość z nich to nie ci uczniowie co byli w mojej klasie.

Nagle całkiem niespodziewanie sobie pszypomniał troche o reperacji i jak był mondry i muwie ojej alem wycioł Charlie Gordona dziś. Odszed nim wruciła do klasy.

Dlatego ide stond na dobre do szkoły w Warren. Nie chce nigdy zrobić nic takiego. Nie chce żeby pani Kinnian sie nademno użalała. Wiem że fszyscy sie nade mno użalajo w piekarni i tego też nie chce wienc ide tam gdzie jest mnustwo ludzi jak ja i nikt sie nie dziwi że Charlie Gordon kiedyś był geniusz a teraz nie umie nawet pszeczytać ksionżki albo dobże pisać.

Zabieram ze sobo kilka ksionżek i nawet jeśli nie dam rady pszeczytać to bende prubował i może zostane odrobine mondrzejszy niż był przed reperacjo bez reperacji. Mam nowo kruliczo łapke i szczenśliwy pienionżek i nawet troche tego magicznego proszku wienc może troche mi pomogo.

Jeśli pani kiedyś to czyta pani Kinnian niech mnie pani nie żałuje. Ciesze sie że miał szanse drugo w życiu jak pani muwi i był mondry bo sie nauczył o mustwie żeczy o kturych wcześniej nie wiedział że so na świecie i ciesze sie że je widział choćby przez mgnienie oczuw. Ciesze sie że sie dowiedział tyle o rodzinie i o sobie. Bo było jak bym nigdy nie miał rodziny dopuki sobie nie przypomniał o nich i nie zobaczył i teraz wiem że mam rodzine i był człowiek jak każdy inny.

Nie wiem dlaczego znuw jestem gupi i co źle zrobił. Może za mało prubował a może ktoś żucił na mnie urok tfu. Ale jeśli bende prubował i ćwiczył to może bende troche mondrzejszy i do wiem co znaczo wszystkie słowa. Troche pamientam z tego miłego uczucia jakie miał z to niebiesko ksionżko z podarto okładko. A kiedy zamykam oczy to myśle o człowieku ktury podar ksionżke i on wyglonda jak ja tylko troche inaczej i muwi inaczej ale to chyba nie ja bo widze go jak by pszez okno.

Fszystko jedno tam poszed starać sie zmondżeć żeby znuw sie tak czuć. Dobrze jest wiedzieć rużne żeczy i być mondry i szkoda że nie wiem fszystkiego na świecie. Chciałbym być mondry teraz znowu już tu. Gdybym mug to nic tylko bym siedział i czytał.

No ale założe sie że jestem pierszym gupkiem na świecie co zrobił coś ważnego dla nauki. Zrobiłem coś ale nie pamięta co. Wienc hyba jest tak że zrobił to dla fszystkich gupków jak ja w Warren i na całym świecie.

Do widzenia pani Kinnian doktorze Sztros i wy fszyscy…

P.S. prosze powiedzieć presur Nemur żeby nie był taki ponury kiedy ludzie z niego sie śmiejo to bendzie miał wiencej pszyjaciuł. Łatwo jest mieć pszyjaciuł jak da sie ludziom z siebie śmiać. Tam gdzie ide bende miał mnustwo pszyjaciuł.

P.S. prosze przy okazji jak jest położycie kfiatek na grobie Algernona na podwurku.

Nowa seria klasycznych powieści science fiction

WEHIKUŁ CZASU

Jednym z niezrealizowanych marzeń ludzkości są podróże w czasie. Nasza nowa seria w pewnym stopniu spełnia to marzenie: publikowane w niej powieści umożliwiają czytelnikom wyprawy w przyszłość – do opisanych przez autorów futurystycznych światów, w przeszłość – w historię literatury fantastycznej, a także – części z nich – sentymentalne podróże do czasów młodości, gdy po raz pierwszy sięgali po te książki.

Seria obejmuje tylko najbardziej znaczące, nagradzane, uznane i lubiane tytuły szeroko rozumianej literatury fantastycznonaukowej. Mamy nadzieję, że stanie się drogowskazem dla tych wszystkich, którzy kochają dobrą, ważną i znaczącą literaturę SF.

To seria, którą po prostu trzeba mieć!

W serii „Wehikuł czasu” ukazały się:

Daniel Keyes

KWIATY DLA ALGERNONA

Arthur C. Clarke

KONIEC DZIECIŃSTWA

W przygotowaniu:

Roger Zelazny

ALEJA POTĘPIENIA

Robert A. Heinlein

HIOB. KOMEDIA SPRAWIEDLIWOŚCI

Spis treści

Kwiaty dla Algernona

Dedykacja
Cytat

dźeńk 1 – 3 mażec
dźeńk 2 – 4 mażec
dźeńk 3
dźeńk 4
dźeńk 5 mażec 6
dźeńk 6 mażec 8
Dziennik 7 marzec 11
Dziennik 8
Dziennik 9
Dziennik 10
Dziennik 11
Dziennik 12
Dziennik 13
Dziennik 14
Dziennik 15
Dziennik 16
Dziennik 17

Seria „Wehikuł czasu”

Spis treści

Strona redakcyjna

Tytuł oryginału: *Flowers for Algernon*

Copyright © 1966, 1959 by Daniel Keyes
Copyright renewed 1994, 1987 by Daniel Keyes
All rights reserved

Copyright © for the Polish e-book edition by
REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2018

Informacja o zabezpieczeniach:
W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

W publikacji wykorzystano czcionkę z rodziny Liberation
(https://fedorahosted.org/liberation-fonts/)

Redaktor serii: Sławomir Folkman

Redaktor tego wydania: Błażej Kemnitz

Projekt i opracowanie graficzne serii i okładki: Sławomir Folkman

Ilustracja na okładce: Igor Morski

Wydanie I e-book
(opracowane na podstawie wydania książkowego:
Kwiaty dla Algernona, wyd. II poprawione, Poznań 2019)

ISBN 978-83-8062-702-4

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40, fax 61-867-37-74

e-mail: rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl

e-Book: Sławomir Folkman / www.kaladan.pl